

Magdalena Nawrocka

Krzywe Z zwierciadło

Oh, merde! Nawet tej głupiej kawy mi żalują. Bo już nie mówię o winie. O tym będzie potem. A to niby przecież elegancka, bardzo droga, ekskluzywna, rzecz można, klinika. Nie jakiś tam państwowy gigant tylko prywatny, złotodajny zakładzik.

– Nie mamy nawet stu łóżek – zapewnia mnie na wstępie pielęgniarka. I brzmi to budująco, dumnie. Salon dla wizytujących, salon rekreacyjny dla chorych, sala gimnastyczna i pingpongowa osobno. A jaki piękny park wokół. Ale to na razie nie dla mnie. Ja teraz mam spać. Co najmniej przez siedem dni nie mam prawa odemknąć oka. Więc niech się już nie wygłupiam, kawy nie dostanę, mam być spokojna i nie utrudniać leczenia. A do picia jest mineralna woda, zresztą dosyć świeża, z okresem konsumpcji do września dwutysięcznego roku. Osiem półtoralitrowych plastikowych baniaków wabi swą źródlaną zawartością. Jest też w załączeniu gruba plastikowa musztardówka, mogę więc swoje pragnienie gasić bez żenady.

A niech ich, szprycować się bez końca jakąś przemysłową kranówką. To już w takim szpitalu gigancie była cywilizacja, kultura co się zowie. Panie z obsługi same leciały do mnie od razu z dwiema michami pachnącej kawy, współczująco zazwyczaj komentując, że tam skąd pochodzę, na dzikim Wschodzie pija się na śniadanie albo czystą żywą wódkę albo nie tylko że przez Ruskich zatrute to jeszcze w dodatku kozie mleko.

I co z tego, że ignorancja, ale za to jaka obsługa i zrozumienie potrzeb. Nie wspomnę już o swobodzie, wolności. Z dwumetrowym stelażem kroplówki zjeżdżałam sobie szpitalną windą aż na parter, aby w miarę wzmożonych zapotrzebowań, obsłużyć się przy dystrybutorze wszelkich napoi już sama. Ach, co to za rozkosz taka dymiąca ekspresowa kawka.

Dobre to były czasy, te czasy szpitalne... a teraz? Gdzie ja znowu wylądowałam? Co to za klinika i co ja tu właściwie robię? Pytanie niezłe, tylko z odpowiedzią gorzej. Od kilku dni...

Od kilku dni usiłuję zrekonstruować fakty, przewinać taśmę pamięci, aby dojść do momentu, kiedy się tutaj znalazłam. I nie jest to łatwe. Tym bardziej, że przecież to już prawie tydzień, jak zostałam odcięta, absurdalnie odizolowana od całego świata. Nie mam możliwości porozmawiania z kimkolwiek, kto mógłby być wtedy ze mną, kto mnie widział, a być może i pomógł. Żadnej więc konfrontacji. A to tak męczy taka niemożność odtworzenia faktów, wydarzeń, w których grało się przecież główną, tytułową rolę.

Wyteżam pamięć, przywołuję do porządku obolałą, skołataną głowę. I nic. Tylko jakies zamazane, mgliste strzępy wspomnień, odległe i obce jak gdyby nie mnie dotyczyły lecz kogoś innego, przewijają się przez moją świadomość, niepokoją i intrygują. To jest trochę tak, jak

gdyby na czystą wypolerowaną podłogę wylać wiadro z pomyjami. Brud rozniesie się z wodą po całej podłodze i chociaż woda wyschnie, lecz brzydkie, brudne plamy pozostaną.

I ja też mam w pamięci takie plamy straszdyła. Aż wzdrygam się w przeczuciu ich niechybnej szpetoty. Ale to tylko plamy, a gdzie reszta? Coś tam wiem, coś przeczuwam, różne domysły mi się majaczą, lecz jak to było naprawdę?

Jednego jestem pewna – to był czwartek. Sakralny dzień w moim życiu – urodziny Michałka, śmierć Babci, tak tragiczny w swym epilogu poród drugiego dziecka, dwie operacje, jak również inne pomniejsze przypadłości – wszystkie te fakty miały miejsce w tym samym dniu tygodnia, w czwartek. Tak, to na pewno był ten dzień.

Nie tylko doskonale pamiętałam, że w czwartek o godzinie czternastej miałam *rendez-vous* u mojej miłej znachorki od duszy, nazywanej fachowo psychiatrą, ale niecierpliwie na to spotkanie czekałam. Cierpiałam okrutnie, nie do zniesienia i to wcale nie duchowo, a cieleśnie. I aż wstyd się przyznać, bo źródłem mojej fizycznej udręki były prozaiczne, bezwstydnne pośladki. A zaczęło się wszystko gdzieś przed miesiącem od postawionej przez panią doktor diagnozy o kolejnej, ostrej w przebiegu psychicznej depresji i w konsekwencji wystawieniu przez nią recepty na serię zastrzyków, które miały zapewne za zadanie z tego dokuczliwego stanu mnie wyzwolić. Pomyślałam – dziwne. Zawsze były prochy, a tu nagle jakieś zastrzyki. Nie mrugnęłam jednak nawet okiem. Od urodzenia świetnie znosiłam ten drobny, być może przykry dla kogoś, zabieg.

Z początku wszystko szło OK. Pielęgniarsz przychodził do domu. Ja uśmiechałam się do niego mile, jakby za tę przyjemność miano mi jeszcze zapłacić. Na wszelki jednak wypadek podstawiłam się raz jedną, a raz drugą stroną. Aż któryś z kolei zastrzyk mało mnie nie obalił. Nie tylko, że ledwie go zniosłam, czując wbijające się w ciało rozpalone wiertło, ale i potem nie mogłam za nic dojść do siebie. Myślałam – igła się omsknęła, trafiła w jakieś ścięgno, może w nerw, czy ja wiem? Było jednak marnie. Tyłek spuchł, zaognił się wokół wewnętrznego, wyraźnie wyczuwalnego, twardego jak kamień guza.

Podstawienie się następnego dnia z drugiej strony nic nie załatwiło, a przeciwnie, jeśli tak można powiedzieć, rozłożyło mnie na oba pośladki. Byłam zupełnie do niczego. Każdy, nawet drobny ruch stał się męczarnią, każdy krok udręką, a już zmiana pozycji z siedzącej na stojącą lub odwrotnie wprost niewykonalna. Nawet i noce miałam z głowy. Bo chociaż w czasie spoczynku leżę jak trusia i poza chrapaniem nie wykonuję żadnych czynności, to jakakolwiek

pozycja była nie do przyjęcia. Nie było mowy o najdelikatniejszych manewrach w celu lepszego ułożenia się. Nie było więc mowy i o wypoczynku też. Ciągnęło się to ponad tydzień. Pielęgniarz robił dalej swoje. Sprawdzał wprawdzie podejrzliwie skład zawartości ampulek z dyrektywami recepty, ale wszystko się widać zgadzało. Za to ja snułam się jak uosobienie męczennictwa, coraz bardziej cierpiąca i śpiąca, a zresztą jakby też bardziej zdeprymowana niż na początku kuracji.

Głupi tyłek, a taki kłopot. Sama nie wiem, jak to wytrzymałam. Zwolnienia lekarskiego nikt mi przecież nie dał. Sykając lub złorzecząc, popychałam ten mój domowy kierat do końca.

W środę wieczorem na interwencję nie na żarty już zaniepokojonego pielęgniarza leczenie zostało wstrzymane, a *rendez-vous* na czwartek potwierdzone. I to jeszcze dobrze pamiętam.

Rano przygotowując Małą do przedszkola, usilnie ją zachęcałam, aby ten jeden, ten jedyny raz została w przedszkolu aż do wieczora i jadła na stołówce. Małpiszon słyszeć nie chciał. Tak mnie kokietowała, przymilała się i prosiła, nie wspominając już o próbach szantażu i buntu, że wreszcie załamalam się i obiecałam zabrać ją na obiad do domu.

Jak mi zeszło to przedpołudnie, nie za bardzo sobie teraz uzmysławiam. Pewnie taki codzienny kierat. Jak to ja mówię: gary, pranie, prasowanie. Niby nic, a bez efektu i końca.

Chociaż nie. Zaczynam sobie uprzytamniać, że właśnie wtedy przez te kilka godzin zasunęłam wyjątkowo dużo i to takich głupawych, przykrych robótek ekstra, które normalnie odwalam raz na jakiś czas. Bo każdy chyba przyzna, że zabranie się do porządkowania zabawek, posegregowanie odzieży w przepełnionych, bo jakże, szafach, wypucowanie lodówki, nie mówiąc już o prozaicznych sanitariach czy podliczeniu, ot tak z doskoku, miesięcznego budżetu, to nie żarty. Są to raczej przedsięwzięcia dla osobnika będącego w pełnej formie psychofizycznej. A ja co? To wszystko było trochę tak, jakbym przeczuwała, że tego wieczoru do domu nie wrócę.

Po Małą szłam ze łzami w oczach. Chwilami chciałam zawrócić i uprzedzić w przedszkolu, że zostanie tam na obiad. Kilkakrotnie zastygałam w półobrocie, lecz wyraz jej twarzyczki uparty i błagający zarazem nie pozwolił mi się cofnąć. Zagryzając wargi, przelykając łzy, odmierzałam przebyte kroki. Staralam się chyba bardzo, aby nikt z mijających mnie ludzi nie domyślił się, w jakim jestem stanie.

Natomiast w drodze powrotnej z przedszkola płakałam już głośno. Przerazona Dorotka ciągnęła mnie malutkimi uliczkami wśród willi i ogrodów, co czyniło trasę znacznie dłuższą, ale za to w okolicy zacisznej, niemal bezludnej.

Moja córca podtrzymywała mnie dzielnie, uczepliwszy się mego ramienia całym ciężarem, jak przysłowiowa kula u nogi. Samorzutnie też wzięła na siebie obowiązek sygnalizowania, jeśli w zasięgu wzroku miałyby się ukazać jakiś „człowieczy” obiekt. W razie zbliżenia zatrzymywałyśmy się na moment, a ja nie mogąc się nawet schylić, aby zamarkować drobną awarię buta, zastygałam wyprostowana z głową zadartą do góry, podziwiając imponujące konstrukcje dachowe burżuazyjnych domostw. Potem kuśtykałyśmy dalej. Mała cała przejęta rolą opiekunki. Ja nie mająca już prawie nadziei, że kiedykolwiek dotrzemy do celu. Dochodziło południe.

W domu moja Bidulka też była przeurocza. Umyła się przed obiadem. Zjadła wszystko, co jej przygotowałam bez najmniejszego marudzenia, sama. Ja w tym czasie mogłam pomyśleć o sobie, a konkretnie o tej najbardziej szlachetnej części mojego ciała, która na dwie połowy rwała aż do kości, pulsowała bólem. Pielęgniarz radził kompresy z dziewięćdziesięcioprocentowego alkoholu. Właśnie teraz o tym pomyślałam. Została gdzieś w szafce napoczęta butelka tego aptecznego specjału. Przedtem jednak zafundowałam sobie wspaniałą, pachnącą i gorącą kąpiel, aby te spirytusowe balsamy spoczęły na ciele czystym, dobrze wymoczonym. Z ubrania wbiłam się w moje czarne elastyczne spodnie-rurki tak obcisłe, że ich wkładanie wymaga od pół godziny do czterdziestu pięciu minut, a zdejmowanie akurat odwrotnie. Za to moje kompresy przylegały, że lepiej nie mogły i nie było ryzyka, że je gdzieś pogubię. Widać z tego, że jeszcze wtedy główkowałam wcale niegłupio.

Umalowałam się też i to nawet dosyć okazale. Po czym zaparzywszy sobie kawę, zaczęłam przygotowywać się psychicznie do nieuchronnej konieczności wyjścia. I wtedy zdałam sobie sprawę, że nie ma takiej możliwości, abym po odprowadzeniu Dorotki do przedszkola w odległym zaułku naszej wsi dowlokła się jeszcze parę ładnych kilometrów do lekarza, przyjmującego w innej wsi. A co dopiero mówić o powtórzeniu tej samej drogi już po wizycie jeszcze raz.

Moja desperacja wzmagała się z minuty na minutę. Autentycznie wymagałam doraźnej pomocy lekarza, a nie byłam w stanie się ruszyć. Wiedziałam, że muszę coś zrobić, ale nie potrafiłam skonkretyzować żadnego pomysłu. Moja głowa, jeśli pracowała, to w jakimś jakby oderwaniu od tej całej sytuacji. Coś tam w niej kołatało: rozgoryczenie, nieokreślone pretensje, bunt wobec ciała zniewolonego fizycznym bólem. Nie poddawała mi jednak żadnego wyjścia, sposobu. Czułam się bezwolna, bezsilna.

I gdy teraz wspominam tę moją otumanioną, ogłupiałą głowę, przychodzi mi na myśl być może realne wyjaśnienie tego, co mogło wtedy zaistnieć. Zaczyna mi się wykluwać taki malutki, złośliwy pomysł. Otębiała z bólu, zdeprimowana skądinąd, sfrustrowana dostatecznie jak przed każdą wizytą u psychiatry musiałam sobie gołnąć zdrowego kielicha, ot co. Świadców przy tym nie było. A ze mnie też żaden świadek, bo w takim stanie, to gdzie?

Coś w tym jednak może być. Pewnie przy okazji zalecanego kompresu zażyłam żdziebełko tego dezynfekującego środka również doustnie, przemycając go na przykład w takiej to niby niewinnej kawie.

Trzeba przyznać, że od pewnego czasu, odkąd zaczęłam popijać mocniejsze trunki, nabrałam polotu w nadawaniu alkoholowi smakowo-kolorystycznej oprawy. Wlewasz syrop pomarańczowy, wrzucasz parę kostek lodu, plasterek pomarańczy i masz już gotowy koktajl amerykański. Robisz to samo z innym syropem i innymi owocami w dopełnieniu z większą ilością lodu, a popijasz koktajl tropikalny. Tutaj nawet syrop anyżkowy sprzedają, żebyś w razie braku laku, domowym sposobem spreparował sobie pastisa, a taki śmierdzieć będzie jeszcze gorzej jak oryginalny.

I takie są orzeźwiający, witaminizowane i witalizujące te koktajle w swej urozmaiconej, bogatej kompozycji. Kondycja i zdrowie, a do tego szpan. Bo wymieszanie puszki soku pomidorowego z butelką gorzały i delektowanie się znaną wszystkim „Krwawą Mary” nie uchodzi. Nie jest to już ten elegancki, wyrafinowany koktajlowy styl. Tylko jeśli do takich niewinnych różowych lub zielonych śliczności – obok oliwka, orzeszki, krakersik, a jakże – dofasujemy odpowiednią ilość odpowiednich wódeczności, to cała naprzód, możemy się ululać na cacy.

Będę musiała odszukać tę butelczynę. Zawsze to trochę wyjaśni, czy dziabnęłam sobie tego strzeziennego, czy nie. Aż mi ślina na język przychodzi. Do diabła, mogło tak być. Chyba, żeby się samo wchłonęło, już nie wiem.

Tyle tylko że ani bardziej orzeźwiona, ani bardziej wigorowa się po tej kawie nie poczułam. Za grosz przedsiębiorczości, odwagi. Musiałam też nieźle uskarżać się i chlipać, gdy mój małżonek wykonał swój rytualny poobiedni telefon, jeśli już on sam zaproponował, abym wezwała taksówkę. W czasie ośmioletniego pobytu we Francji z tego środka komunikacji korzystałam zaledwie raz i to do porodu. Byłam więc chyba wtedy mocno usprawiedliwiona. A tu taka propozycja, popatrz, popatrz. Pomysł już jednak był.

Taksówkarza, a do tego Polaka, nawet dobrze znałam. Zawsze dać lepiej zarobić swojemu. Wykręciłam więc szybko odpowiedni numer telefonu. Okazało się jednak że profesjonalista śpi, gdyż taksuje wyłącznie na noce, bo to się bardziej opłaca. Natomiast jego żona jest na luzie i przy samochodzie, a jako że jest moją przyjaciółką (dobre sobie) – nie ma problemu – zawiezie gdzie trzeba, a także zajmie się Małą. *Bon.*

I na tym stanęło. Zrezygnowaliśmy z popołudniowego przedszkola dla Dorotki. Ja miałam wrócić od lekarza prosto do domu, dla Michałka zostawić w umówionym miejscu klucze, a odebrać Małą od przyjaciółki miał tata już po powrocie z pracy. Chyba, żeby mnie zrobiło się lepiej.

Ale mnie wcale lepiej nie było. Ten świński odwłok pod napiętym elastikiem pulsował oszalałą gorączką, zaciął kluciem jak setki wbitych drzazg. Nic nie wiem o jakiejś niestrawności duchowej, psychicznej, gdyż cała byłam skupiona na tej łatwo namacalnej męczarni.

I jak się rozegrało to wszystko dalej, zupełnie już nie kojarzę. Mała do wyjścia wyszykowałą się sama. Nie wiem, czy zostawiłam Michałkowi te cholerne klucze. Nie pamiętam momentu, kiedy koleżanka zgodnie z umową zaklaksonowała na ulicy pod domem. Zdaje mi się, że to ona zawiozła mnie do lekarza, gdyż nie sądzę, abym ten morderczy półgodzinny marsz zaliczyła na piechotę.

Od pewnego momentu nic nie jest już dla mnie jasne. Wszystko wydaje mi się takie diabelnie mgliste, jakbym usiłowała przypomnieć sobie bardzo dawno widziany film. A już na pewno sam przebieg tak brzemienny w skutkach medycznej konsultacji pozostaje jedną niewiadomą, złowieszczą białą kartą. Jak to możliwe? Żadnych skojarzeń, śladów pamięciowych, wspomnienia odczuć – nic, absolutnie nic.

Majaczy mi się jedynie obraz mojej lekarki, która wsadza mnie do wezwanej pod gabinet taksówki i oddając kierowcy jakieś papiery, coś mu gorączkowo tłumaczy. A potem, że on był miły i twierdził, że się z tego wyliżę, bo taka babeczka pełna temperamentu i szarmu musi z takiej kabały wyjść. Zapewniał mnie jeszcze, że na babeczki ma wyrobione taksówkarskie oko, mogę więc mieć do jego optymistycznej prognozy stuprocentowe zaufanie. Póki co, przekroczywszy dwie automatycznie zamykające się bramy i jeden dosyć okazały mostek, zajechał z całym fasonem na główny podjazd przed kompleksem niskich, szarych budynków, gdzie przy drzwiach wejściowych dyskretny acz złocisty napis, nie wiem, informował czy raczej ostrzegał – CLINIQUE DE L'ISLE. KLINIKA NA WYSPIE.

Z panią urzędującą w sekretariacie – taką starą, wyrafinowaną bzdziągwą – coś zupełnie nie mogłam się dogadać. Ona swoje, a ja, że nic nie wiem, że trochę słabo się czuję. Chodziło jej chyba o jakieś papiery ubezpieczenia czy tożsamości. Wzruszałam ramionami. I chyba tylko list od mojej lekarki zaważył, że w ogóle nie wyrzuciła mnie za drzwi.

A ja ze swej strony stawałam się coraz bardziej nerwowa. Zbliżała się już godzina czwarta, pora o której jestem już zwykle w drodze po Dorotkę. Tłumaczę Pani co i jak, że dziecko w przedszkolu, a ja tutaj. Trzeba więc bezwzględnie uprzedzić, że matka dziecka o przewidzianej godzinie nie jest w stanie się zgłosić. Mała jest przyzwyczajona, że zawsze przychodzę punktualnie i wkraczam w bramę jako pierwsza w czubie, a teraz takie świństwo, taki afront. Będzie zrozpaczona. Biadoliłam strasznie. Pamiętałam jednak nawet, o dziwo, nazwę tej wychowawczej placówki. Pani po wyszukaniu numeru, wzięła aparacik i zaczęła wydzwaniać.

Kiedy po długich poszukiwaniach i żmudnych ustaleniach okazało się, o czym absolutnie zapewniono, że takiej to a takiej w przedszkolu nie ma, gdyż w godzinach popołudniowych wcale nie była przyprowadzona, ta kliniczna kwoka zwątpiła zupełnie i ostatecznie przestała mi wierzyć. Teraz chciała rozmawiać już tylko z mężem, o ile taki w ogóle istnieje.

Zła już byłam trochę na nią. Myślę sobie, a niech się pomęczy. Ani w głowie mi było sięgnięcie do torebki w poszukiwaniu jakichś tam papierów. Dałam jej na odczepnego numer telefonu do pracy tego ewentualnego męża. Nie byłam zbyt pewna jego dokładności, poradziłam więc Pani, aby spokojnie doczekała do godziny siedemnastej, kiedy ze szkoły wróci mój synek i on jej zapewne pomoże. Do czasu jego powrotu była jeszcze pełna godzina, a Pani niecierpliwiła się coraz bardziej.

Pod numerem do biura, który podałam nikt się nie zgłaszał. Pani doktor, która mnie tutaj skierowała miała jakąś pilną interwencję i nie mogła podejść do telefonu, a jej sekretarka nie była *au courant*, co do jakiejś pacjentki przysłanej z ich gabinetu. Telefon w domu też nie odpowiadał. Myślę, że podałam jej nawet nazwisko naszych francuskich przyjaciół, państwa Legrandów. Niech może potwierdzą, że jestem tą, za którą się podaję. I ja zaczynałam mieć tego wszystkiego trochę dosyć. Wydzwaniała tak i wydzwaniała, książkę telefoniczną wertując w tę i z powrotem. A wszystko na zasadzie – jest u nas taka a taka *madame*, która przekonuje, która twierdzi itp. To jej grzeczne przypuszczalne „być może” zaczęło doprowadzać mnie do pasji.

Atmosfera stawała się coraz cięższa, coraz bardziej napięta. Trudność z identyfikacją mojej skromnej osoby była już ewidentna. Myślę, że pani urzędniczka zaczęła się serio zastanawiać,

czy nie wezwać wszechmocnej, wszechwiedzącej *Police*, aby oni się pomartwili, co z tym fantem zrobić. Wszak do tego nie doszło. Tylko nie wiem, co zaważyło. Czy dodzwoniła się wreszcie do kogoś, kto mógł zidentyfikować jej „podrzutka” i potwierdzić jego tożsamość, czy też może ja sama umordowana tym wszystkim wyciągnęłam z za pazuchy te tak ważne świstki. W każdym razie Pani odetchnęła i natychmiast rozpostarła skrzydełka swojej urzędniczej, przesympatycznej, gorliwej powinności.

Z wigorem otwierała podwoje szuflad, wyciągając z nich jakieś karteluszkę i druczki. Świeżo zaostrzonym ołówkiem, stawiając w odpowiednich rubrykach bądź to krzyżyki, bądź kreski, z uśmiechem na ustach dokonywała wstępnego wywiadu. Miałam wrażenie, że w nagrodę za swoje poczciwe i pełne ascezy życie jestem teraz wciągana na listę oczekujących do raję. Aż miło było na nią popatrzeć. Taka rozluźniona, przyjacielska, pomocna, z życzliwym uśmiechem korygująca na francuski każde okaleczone przeze mnie sformułowanie czy słowo. Wyraźnie zadowolona i ze mnie i z siebie. A jakże, ich klinice przybywała przecież następna klientka i to w tak kiepskim stanie, że zanim stąd się wyrwie, niezły grosz będzie musiała tu zostawić.

A potem poszło jeszcze dalej. Administracyjny serwis, jego pełna gotowość, wysoka jakość usług zaprezentowały się w całej pełni. Po zakończeniu wstępnych oględzin przedstawiono mnie panu dyrektorowi, wielkiemu gościowi, przed którym urzędniczki biły czołem. I proszę, taki człowiek, a zainteresował się jakże mizerną i jakże mizernie rokującą istotką.

Tak więc jako poważna kandydatka do raję zostałam zaproszona przed oblicze samego Świętego Piotra, który wabiąco podzwaniał bramowymi kluczami. Tyle że moja rogata duszyczka nie doceniła tego zaszczytu. Pozostając w zacządziałych oparach szatańskich mocy, nie chciała się ani otworzyć, ani ukorzyć. Jak ten uparty barani łeb trykała na prawo i lewo. Nie bardzo nawet zdawałam sobie sprawę, że to sam Święty Piotr. Krótko mówiąc, to zaszczytne *tête-à-tête* okazało się kompletnym fiaskiem. Doceniłam wprawdzie nonszalancję szefa, jego niezaprzeczalną męską urodę i moralną siłę, ale ze swojej strony ani urody ani siły nie miałam podstaw, a tym bardziej ochoty, aby je przed moim interlokutorem wdzięcznie wyeksponować.

Pan dyrektor, ten śliczny, ten uroczy był wprost niepokieszony, o czym zapewniał mnie wielokrotnie w dwa dni później, kiedy raczył mi przypomnieć, że do naszego spotkania już doszło. *A bon?* Przyglądam mu się z intensywnym wysiłkiem zlokalizowania w świadomości jego okazałej osoby i znowu nic. Widzę go po raz pierwszy w życiu. Poza tym nigdy nie uwierzę, że przepuściłabym okazję tak budującego kontaktu i to z takim przystojnym mężczyzną.

Snując wspomnienia z tej pierwszej wizyty, pan doktor jako facet szarmancki wysiłał się mocno, aby określić mój stan, w jakim się wtedy u niego znalazłam. Zdesperowana do ostatnich granic – lekko to przełknęłam. W rzeczy samej mogło tak być. A dalej, nie powiedział pijana ni naćpana tylko silnie odurzona. Tak to nazwał – stan silnego odurzenia. Do cholery, odurzona, ale czym? Tego nawet on sam nie mógł stwierdzić, chociaż mnie uporczywie wypytywał: alkohol – co i ile; przedawkowane proszki – skąd miałam, pokazać opakowanie, kiedy i ile zażyłam; narkotyki – te same pytania co wyżej, a także – czy po raz pierwszy, Odwrócić ręce do światła. A może drobna mieszaneczka, co?

– Gówno, panie doktorze, *merde*. Nawet jeśli opędzłowałam tę pokompresową marną resztkę, to by było za mało, żeby mnie obalić aż tak. Od zeszłego wieczora ze względu na tę dziką reakcję tyłka wstrzymałam też wszystkie leki, a o narkotykach to w ogóle nie ma mowy. Więc co? To odurzenie skąd?

A jeszcze do tego, gorliwie nadmienił, miałam wykrzykiwać w histerycznym szlochu, że jeśli mi nikt nie pomoże, jeśli się mnie nie zamknie, to skończę z tym wszystkim ostatecznie i na pewno dziś.

To jakieś bzdury. Chociaż muszę przyjąć, że taka jest opinia pierwszego świadka, kogoś kto tego dnia ze mną rozmawiał, kto mnie widział. A ja nawet tej wizyty nie pamiętam. Jednak fakt, że się tu znalazłam pozostaje faktem, tylko co z niego wynika? Skąd się to wzięło, jak do tego doszło? Zamroczone kołomyja i tyle.

Do licha, zabił mi ćwieka. Czyżbym zaczęła samounicestwiać się podświadomie? Chyba, że ten taksówkarz, a typ był taki prawdziwie podrywalski, odurzył mnie czymś, może upił, a może też i zgwałcił. Nawet pamiętam, że dałam mu górką dwie dychy, przyjęty tu *pourboire*. Ale za taką „przysługę” to chyba jednak trochę za mało, no nie?...

* * *

Jak przetrzymałam tę noc, to właściwie nie wiem. Ale jeśli nie wiem, to nie z powodu dziur w mojej pamięci, co ze względów czysto obiektywnych, gdyż biorąc pod uwagę same już tylko warunki organizacyjno-techniczne, taką noc naprawdę trudno było przeżyć.

Kolację zjadłam z apetytem. Pewnie byłam już mocno zgłodniała, gdyż zdarzało mi się ostatnio obrażać na jedzenie nawet przez kilka kolejnych dni, a tego dnia to na pewno nie w ustach nie miałam. Zresztą zauważyłam u siebie taką upartą iście chłopską zasadę – jeśli zapłacone, to dobre czy nie dobre trzeba zjeść.

W pewnym momencie, nie wiadomo skąd, pojawił się nagle mój małżonek. Do dziś nie wiem, kto go powiadomił, a najpewniej i wezwał. Sam błąd z przerażenia, chyba mnie co do czegoś uspokajał. Potem poszedł.

Zaraz po jego wyjściu wlaźła do pokoju taka biała kwoka, która z punktu mnie pouczyła, że teraz robimy *dodo*. Zabawna, tak się zwracamy do milusińskich, kiedy chcemy, aby poszły spać. Dobra, możemy się zdrzemnąć.

Za nic nie mogła sobie poradzić z moimi super-elastycznymi spodniami wypchanymi dodatkowo od tyłu kompresami na jakieś dobre ćwierć metra. A mnie jakoś nie chciało się jej pomóc. Potem usiłowała ułożyć mnie na łóżku i tu też okazało się, że jestem z tych trudnych. Sama, mając już tego wszystkiego serdecznie dosyć, zagrzebałabym się chętnie w materac, tyle że powoli i ostrożnie, odciążając te najbardziej bolące mnie w wiadomym miejscu miejsca. A ta, że mam leżeć na plecach i myśląc, że nie rozumiem, w sposób wyrafinowanie zawzięty wgniatała moją obolałą pupę w łóżko. Sykałam, pokazywałam, błagałam. Nic nie pomogło. Musiałam widać ulec, bo potem to już się pamiętam w pozycji absurdalnie wznakowej z lewą nogą przytroczoną do łóżka i z wbitą w jedną z mych rąk kroplówką.

Jestem urządzona na cacy. To już widzę, że sobie pośpię. A jeszcze do tego co kilka godzin jakiś cholernie potrzebny, złośliwie przecież nie dożylny, broń Boże, lecz domięśniowy zastrzyczek.

Och, jakże miałam już dosyć. Jak bardzo żałowałam, że zgodziłam się na ten kliniczny eksperyment. Jak szczerze nienawidziłam tej nocy wszystkich lekarzy, pielęgniarzy razem

wziętych z ich pseudo-terapeutycznymi zabiegami, z ich katorżniczymi, nieludzkimi środkami pomocy. Obezwładniona bólem, umordowana bezsennością modliłam się żarliwie. Oby przetrwać tylko jakoś do rana, przespać chociaż tych kilka godzin. I niech wreszcie ta piekielna kuracja się skończy...

Oj, ty naiwna. I znów dałaś się nabrać. To jeszcze nic. To dopiero początek. Najgorsze, to znaczy prawdziwe, zasadnicze kliniczne leczenie zacząć się miało jutro.

* * *

Nazajutrz po przebudzeniu pierwszą moją czynnością, zresztą jak zwykle od przeszło dwudziestu lat, było sięgnięcie po papierosa. Tylko że nadal miałam nogę przymocowaną do łóżka, a tak zwany zestaw papierosowy leżał sobie spokojnie na odległym o dwa, trzy metry stoliku. Kroplówkę zdjęto mi widocznie, jak spałam. Ręce miałam więc wolne i jak się okazało dużo sił witalnych oraz głowę pełną inteligentnych pomysłów sprowokowanych nikotynowym głodem.

Nie znalazłszy racjonalnej metody na odcumowanie się od mojego „madejowego” łoża, napierając co sił – trach – pchnęłam się z całym meblem w kierunku stolika i w chwilę potem – trach – z powrotem. I śladu by nie zostało po tej przedsiębiorczej rozgrywce, ale łóżko nie było na kółkach, a linoleum na podłodze jasne i błyszczące, co zostawiło niestety dwie wyraźne, grube, szaro-brunatne rysy.

A ja nic. Ja sobie siadam i spokojnie palę. Muszę za wszelką cenę pozbierać jakoś te ostatnie wydarzenia, przeżycia, uspokoić się, wyciszyć natłok myśli.

I wtedy wpada ta biała gdaczka i straszliwie zaczyna się wydzierać. Jej piskliwy jazgot wdziera się gwałtownie w skołtunione szuwary mojej zagrożonej jaźni:

– Pa...pie...rooosy?! Od rana?! – cedzi wrzaskliwie. Jej pełen dezaprobaty wzrok świdruje mnie na wskroś.

– To co, może jeszcze pastis, mały poker albo spacerek po Saint Denis?... Dobrze się tu czujemy, nie?...

A ona już od wpół do szóstej na nogach – niby się skarży, a właściwie urąga – i tyle ma tego wszystkiego. Pacjenci są emmerdujący, tyle co upierdliwi, szkudni. Co i rusz dokładają jej jeszcze roboty. I co za odór, tu nie jest bistro. Ona tego nie lubi. Niech ja wiem. Do diabła, a co z tą poduszką? Cała wyświniona. Nie, doprawdy trzeba mieć boską cierpliwość albo jeszcze lepiej diabelski charakter, aby wytrzymać z takimi ludźmi, jak ja. Ona już nie ma sił.

Zobaczyła ślady na podłodze. Myślałam, że ją trafi apopleksja. Wymachując i krzycząc, zaśliniła się cała i miała oczy w kole. Jej wypowiedzi nie przytoczę, gdyż musiałabym zacytować

same bardzo brzydkie, tu się mówi grube słowa, którymi ja, dziewczyna grzeczna, na codzień nie operuję. W tym wypadku stanowczo bym wolała w ogóle ich nie znać. Ale cóż.

Miotła się tak i ciska, za co się weźmie, to za chwilę zarzuca. Parska jak kot, burczy jak zeźlony pies. A ja nic, siedzę dalej. Musiała jednak w końcu dostrzec moją przytroczoną do łóżka kończynę, gdyż wyraz krowiej inteligencji zajaśniał na jej mocno pokraśniałej gębie. Wyleciała z pokoju jak z procy.

Siedzę zdezorientowana i czekam co będzie dalej. Gaszę niechętnie niedopalonego papierosa, zerkam z obawą w stronę pościeli. Z tą poduszką faktycznie trochę głupio. Jak na dłoni wyraźnie odbity chociaż trochę zdeformowany w formie, za to kolorystycznie wierny mój wczorajszy turkusowo-czarny makijaż. Ale przecież wieczorem akcji „mycie” nie było. Położyła mnie „dodo” i już. Rozcieram ścierpniętą nogę. W głowie czuję lekki zamęt. Do papierosa aż mnie trzęsie. Ale nic, trzeba dać na wstrzymanie. Najpierw zobaczę, co tu jest grane, jakie numery jeszcze mnie czekają. W każdym razie wesoło zaczęty dzień.

Nie czekam długo, tamta wpada z powrotem, trzęsąc pękiem kluczy. Przy pomocy jednego z nich uwalnia moją nogę. Nie zdawałam sobie nawet sprawy, że śpię zamknięta na kłódkę. I chyba lepiej, bo mogłabym mieć koszmary. Dopada teraz do okna i przy pomocy takiego małego pokrętła otwiera je do połowy – trzeba wywietrzyć, bo smrodu nie lubi. Kolej na ścianę boczną. Gdzie to tam ściana – jedne za drugimi sraczkowato pomalowane drzwi. Najwyraźniej jest to kolor ochronny maskujący strategiczny obiekt przed ciekawością przebiegłego wroga. Są tam nawet sprytne zamki-otworki. Klamek nie ma żadnych. Ale moja klucznica z wprawą wytrawnego włamywacza otwiera je tym swoim wytrychem bez pudła. Jest wc, dwudrzwiowa szafa, za czwartymi drzwiami nawet ładnie urządzona łazienka. Nie zdawałam sobie sprawy, jak piękny apartament zajmuję. Jak widać, wszystkie te pomieszczenia z oknami włącznie zostały na noc przezornie pozamykane. Teraz pokój wietrzy się aż miło, a my wkraczamy do akcji. *On attaque!*

Drobnymi szturchańcami i wesołkowatymi pchnięciami zostaję przetransportowana do łazienki z udzieleniem autorytatywnej informacji, że teraz będziemy się kąpać. Usiłuję słabo oponować, tłumacząc, że solidną kąpiel łącznie z odżywką na włosy zaliczyłam nie dalej jak wczoraj. A tam, głupie wykręty. Na nic się zdadzą tłumaczenia. Widać solidnej kąpeli nigdy nie dosyć. W porządeczku, *ça va*. Jak czystość to czystość.

Zatyka już wannę wyciągniętym z kieszeni gumowym korkiem, pokręca nerwowo pokrętła,

kuksa mnie niecierpliwie jeszcze niekompletnie rozebraną, a wszystko to przy akompaniamencie bezapelacyjnych wykrzykników – szybciej, dawaj, pospiesz się!

Jedna trzecia wanny jest już wypełniona. Tym swoim nieznoszącym sprzeciwu, gdaczym głosem niezłomna strażniczka higieny i tutejszych reguł każe mi do niej włączyć. Stawiam jedną nogę i czuję, że woda jest stanowczo za gorąca. Nawet nie ma mowy. Wycofuję się więc pospiesznie i próbuję pokręcić niebieskim kurkiem, który jak ogólnie wiadomo daje najczęściej zimną wodę. Ale ta profesjonalistka od wariatów zna przecież ich wszystkie wymigiwania się i sztuczki. Nie pozostawi takiemu inicjatywy ani na moment. Już ona przypilnuje, żeby wszystko było jak trzeba. Jest tu przecież od tego, żeby czuwać. Odtrąca brutalnie moje ręce od kurków i właściwie siłą wpycha mnie do wanny.

Stoję po łydki zanurzona w wodzie i już czuję, że za chwilę zacznę krzyczeć. Nie wiem czy w sensie merytorycznym jest jakaś różnica w pojęciu ukrop i wrzątek, ale w tym przypadku nadaje się jedno i drugie.

Gwałtownym wyrzutem nóg wyskakuję poza ramy mokrego piekła i robię to tak sprawnie, że moje pięty z całym skocznym impetem szczęśliwie trafiają kwoce prosto w brzuch. Widać jednak za mało mnie to jeszcze satysfakcjonuje, aż głupio się przyznać, wręcz cieszy, gdyż chociaż tamta aż zgięła się z bólu, ja już na bezpiecznie suchym i zimnym terenie, tak jak przypuszczałam, zaczynam drzeć się na całe gardło:

– A wleź ty sobie sama, wstrętna żabo, ty zdechła miernoto, do takiego diabelskiego kąpieliska i wymocz w nim do woli swój stary, zaprukwiały kuper. Żeby cię pokręciło, weź ode mnie te ręce. Nie ruszaj mnie ty... ty... ty... Poszła precz.

Konstatuję po chwili, że wyklinam po polsku. Nie przytaczam wszystkiego, bo musiałyby to być same kropki. Chociaż nogi mnie pieką, jakbym wyszła z pieca, trzęsę się cała jak w febrze. Przerażona prukwa robi jakiś gest w moją stronę. Teraz ja agresywnie odpycham jej ręce. Prycham i sykam, jak ona przed chwilą. Jak wariat to wariat, a co?

Na to wszystko zleciała się pielęgniarka. Tamta to widocznie tylko marne popychadło, a kokosi się i rządzi, jak nie wiadomo kto. Druga jest regulaminowa – czepek, fartuch, emblemat, młoda i bardzo ładna. Po kosym spojrzeniu, jakim obrzuca swoją podwładną, nieomylnie wnioskuje, że z niej też musi być dobra żyła. Na razie jest sympatyczna. Zerka na moje nogi czerwone do kolan jak raki. Nie komentuje. Odsyła pomagierkę po szampon, mydło i ręcznik, bo ja jestem przecież jak ta sierota wzięta z ulicy, nie mam przy sobie nic. Manipulując uważnie

teraz już dwoma kurkami, wypełnia wannę do końca. Sprawdza kilkakrotnie ciepłość wody i uprzejmym gestem zachęca mnie do wejścia. Jak ktoś uprzejmy, to i ja grzeczna. Dlaczego nie miałabym się odświeżyć?

Przyleciało popychadło z akcesoriami. Polewa mi głowę jakąś szaro-burą mazią i każe się skrobać. Na butelce nie ma żadnej etykiety, nie bardzo ufam, czy to w ogóle jest szampon. Tym bardziej, że od tej piany cała woda w wannie zrobiła się brzydko brunatna i mętna. Ale nic, robię dobrą minę do złej gry i kąpię się dalej. A teraz główkę spłuczemy. Tu moja opiekunka połówką pociętej plastikowej butelki nabiera rozrzutnie mdławej, mydlanej zawiesiny, w której właśnie siedzę, aby mnie nią obficie polać. Widać boi się już teraz manipulować tymi tajemniczymi, zawiadującymi wodą kurkami. Jeszcze powtóreczka, robi to z dużą wprawą. Teraz tylko osuszyć i skończyłyśmy.

– No jak? – dumna z nienagannie wypełnionego obowiązku kokieteryjnie pochyła się nade mną.

– Tak się pani broniła przed tą kąpielą, a jakoś nam poszło i było przyjemnie, nieprawda, ha, ha. Już czuje się pani znacznie lepiej, to zresztą widać, po kąpieli oczywiste, ha, ha. O, brak grzebyczka. Ale to żadna tragedia. I tak nie ma pani za dużo tych włosków – i tu rozchichotała się już całą gębą – ihi, hi, hi.

A ten koreczek do wanny – anonsuje wciąż strasznie rozbawiona – to już zabieram. Różne pomysły chodzą naszym pacjentom po głowach. Sama pani najlepiej wie, jak to z takimi jest.

Nareszcie poszła sobie. No, takie przeżycie trzeba przepalić, a jeszcze skuteczniej byłoby przepić i to czymś mocniejszym, żeby od razu postawiło na nogi. Chociaż najchętniej wlaźłabym do wanny z czystą już wodą jeszcze raz. I czym mi ona ten łeb wypucowała, śmierdzi jak wszyscy diabli. Skutków tego długo nie zobaczę, bo, do jasnej cholery, przecież tu nigdzie, ale to nigdzie nie ma nawet najmniejszego kawałka lustra. Coś tu najwyraźniej szwankuje, a oni chcą mi wmówić, że to ja.

Ale co przesłama, to przesłama. Mam jednak chociaż tę drobną satysfakcję, że to głupie babsko miało trochę pietra i wyraźnie nabrało dla mnie respektu, gdyż na początku nie tylko, że darła swą gębę, ale zwracała się do mnie na ty, a potem szczebiotała i do tego jeszcze z pewnym respektem na pani.

A co do grzebienia, to może i faktycznie żaden problem. Na wojnie, jak to na wojnie. Daję za wygraną. Przeskrobię sobie tę moją łysinę trzonkiem załączonej do pokojowego ekwipunku

plastycznej łyżki. Inteligentne radzenie sobie z trudnościami to grunt.

* * *

Po śniadaniu zrobiło się jakoś trochę różniej. Popijam z michy lurowatą, ale za to gorącą tę ichniejszą cykorio-kawę, popalam papieroska i siląc się na optymizm, tak sobie dumam.

Może nie będzie to aż tak straszne, może da się tu jakoś pożyć. Zawsze poczytam, porozmyślam, odpocznę, a nie będą mnie przecież kapać codziennie. A te trochę zastrzyków i pigułek, które w siebie wchłonę chyba mi nie zaszkodzi. Zgadzam się przecież z koniecznością farmakologicznego niwelowania depresji. Pokoik też ładniutki, czysty i estetycznie urządzony. Jakoś to będzie. Musi jakoś być.

Te niemal już teraz entuzjastyczne rozważania przerywa pielęgniarka. Przychodzi z jadłospisem ustalić, czy mam jakieś szczególne dietetyczne wskazania, upodobania, animozje. Rozmowa jest na luzie, raczej towarzyska, ogólnie o żarciu. I tu zniemacka pada pytanie, co pijam do posiłków: wodę, piwo czy wino. Jeśli wino, proszona jestem o sprecyzowanie preferencji – tu trzy możliwe kolory. A wszystko z miną bardzo serio, choć ja ciągle myślę, że to zgrywy, taki francuski żart..

Ot i kabała. Zbiła mnie z tropu, zdezorientowała mnie tym pytaniem, nie powiem. Nie bardzo wiem, co oni znów knują, jak zareagować, co odpowiedzieć. Powiem, że nie wodę, będzie, że alkoholiczka jawna. Zaprzysięgnę, że nigdy alkoholu, wyciągną wniosek, że też pijaczka, ale taka przycupnięta, zaprawiająca w ukryciu. A do tego krzywoprzysięzca. A więc? To już lepiej walnę po prawdzie, tak jak sprawy stoją.

Przybieram możliwie naturalny wyraz twarzy i z pewną dozą nonszalancji i dowcipu w głosie zapewniam, że bez wina mogę się wprawdzie obyć, ale jeśli już jest taka możliwość to napicie się winka do obiadu sprawi mi wielką przyjemność. Co do jego gatunku specjalnych wymagań nie mam. Urządzi mnie najzwyczajniejsze stołowe i chyba czerwone. Tak, czerwone może być.

Pielęgniarka przełknęła moją odpowiedź bez zmrużenia oka. Więcej pytań nie miała. Nie miał to być jednak koniec podobnych rozgrywek o alkohol. Czekały mnie jeszcze ostre i liczne starcia. Ale po kolei.

Następny set rozegrał się jeszcze tego samego dnia po południu, kiedy otrzymałam z domu przesyłkę z najpotrzebniejszymi rzeczami.

Wniosła ją do pokoju moja asystentka od kąpieeli. Mimo że torba była ogromna, ortalionowa, tych drobiazgów nie znajdowało się w niej aż tak wiele. Jak na moje potrzeby nawet zdecydowanie zbyt mało. Ale biała celniczka i tak miała robotę. Z zawziętą podejrzliwością, z tresowaną czujnością wyciągała rzecz po rzeczy. Każdą z nich obmacywała, uważnie oglądała. Szukała pewnie narkotyków, żyletki czy może innego narzędzia zbrodni. A szukała sumiennie i... podpadły perfumy. Perfumy moje ulubione, jedyne jakich używam, o ładnej nazwie „*Audace*”, co znaczy odwaga.

Szczerze polecam. Jak się baba tym wypachni, to w żadne męskie towarzystwo nie ma obawy wkroczyć, bo od razu wiadomo, że wszystkich chłopów zauroczy, podbije. Musi to być prawda, pokazywali w telewizyjnych reklamach. O swoich osobistych sukcesach na tym polu nie wspomnę, bo mogłabym jeszcze zrobić dobremu skądinąd artykułowi antyreklamę. W każdym razie woda pachnie uroczo i mój flakonik był już dobrze napoczęty.

Psika się ta stara makolągiew moją „*Audace*” raz i drugi, wachając, aż mruży te swoje charcie ślepia. Mnie akurat pielęgniarzka montuje kroplówkę, jestem więc tylko biernym świadkiem tej całej sceny. Ogląda butelkę na wszystkie strony, wyczytuje się pewnie w skład. Pielęgniarzka kiwa głową – zostaw. Ale ta bezczelna bździągwa wzrusza tylko niechętnie ramionami i wpuszcza flakonik w swą przepastną kieszeń fartucha.

Aż ścierpłam, aż mną wstrząsnęło. Dopiero co wbita igła wysunęła się z żyły. Nie, to już szczyt, więcej jak przesada. To nie służba zdrowia, to policja. Jak ona śmie, jak mnie traktuje? Czyżby przypuszczała, że odgryzę szyjkę od butelki i cały kosmetyk wypiję, aby mieć strzemiennego, czy jak? Cholemie się zdenerwowałam. A tu przy kolacji zachwostka nowa.

Danie mam już zaserwowane, panie bufetowe się oddaliły, gdy do pokoju wchodzi pielęgniarzka. Życząc smacznego, tu kurtuazyjne, szablonowe „*bon appétit*”, stawia przede mną na tacy, tak jakoś jakby wyciągniętą zza pazuchy oryginalną buteleczkę czerwonego wina. Mała, zgrabniutka, plastikowa ćwiarteczka, ot co.

Kombinuję gorączkowo – prowokacja to czy nie? A zamknięta buteleczka stoi i kusi. Co mi tam, myślę sobie i tak już tę grę podjęłam. Na nic się nie zda udawanie. A w końcu, gdybym była w domu, to o tej porze miałabym już w sobie takie flaszeczki ze dwie. Nie będziemy się bawili w podchody. Niech tam, napełniam musztardówkę. Winko, chociaż z tych tańszych smakuje

wybornie. Dawno też nie jadłam z takim apetytem. Już czuję, że mi pójdzie na zdrowie.

* * *

Podjadłam, siedzę i czekam. Zastryk, kilka pigulek, gorzka miksturka na spanie, niezawodne granulki, za przeproszeniem, na kupkę. Zaraz będzie trzecia już tego dnia kroplówka. Nie ma co robić paniki, takie błahe niedogodności były przecież do przewidzenia. Normalny przebieg leczenia, zwykła szpitalna rutyna. Po tym co przeszłam do tej pory, przeżyję pewnie i to.

Z tego wszystkiego najmniej sympatyczna jest kroplówka. Bo nie dość, że kłują, to przygważdża ona człowieka do łóżka na beznadziejnie długi czas. A jeszcze do tego u mnie z tymi żyłkami coś krucho. Są słabe, nikłe, zeszklerowały ze szczętem, toteż każde takie „polowanie” kosztuje mnie zawsze kilka dodatkowych, niezbyt przyjemnych ukłuć. A potem beznadziejnie bezczynne leżenie, głupie czekanie aż całe to świństwo raczy spłynąć do krwi, lekko licząc, od półtorej godziny do dwóch.

Wjeżdża pielęgniarka ze stelażem, ochoczo pokrzykując – *on y va!*, coś jak nasze – „do dzieła panowie, już czas!” I brzmi to jak nawoływanie do ataku, hasło do zajęcia swoich bloków startowych przed biegiem, lub ustawienia koni przed gonitwą w miejscu ich pist.

Gotowe, jestem uziemiona. Ale co ona wyprawia, co jeszcze nowego wymyśli? Trzask, trzask – żaluzje opadają z hukiem, oba okna szczelnie zamknięte na wytrych-kluczyk, zaciągnięte zasłony, choć na zewnątrz jeszcze biały dzień. Co to, jestem już w grobie? Jedno chociaż okno niech zostawi otwarte, niech się wietrzy, bo ja dużo palę, do czytania potrzebuję światła, a tak będzie mroczno, duszno, nabawię się klaustrofobii, jak nic.

Nawet się nie wysiła, żeby mi cokolwiek wytłumaczyć, wyjaśnić. Powiadamia mnie tylko tonem autorytatywnym, nieznoszącym sprzeciwu, że jestem tu w klinice wyłącznie po to, aby się leczyć, odpoczywać i spać. Dużo, dużo, dużo spać. Dlatego też, skrupulatnie wylicza, okna będą zamknięte, żaluzje opuszczone, a światło zgaszone, dopóki będę pozostawać – i tu po raz pierwszy pada zupełnie niezrozumiałe dla mnie określenie – „*en cure*”.

Etre en cure – nerwowo rewiduję ubożuchny zasób mojej francuszczyzny – czyli być w czymś. Tylko w czym? Do cholery, w czym?!

Niech to diabli, nie mam nawet słownika. Coraz mniej mi się to wszystko podoba.

Podejrzewam, że w takim pozostawianiu w czymś, czego zakres i natura pozostaje dla nas niewiadoma, tajemnicza, może wyniknąć tylko niezły kłops. Szczęście, że z kroplówkami już na dzisiaj koniec. Wyjdę więc trochę odetchnąć świeżym powietrzem. Ściągnę tylko ten szlafrok, który tu pewnie obrzydnie mi z kretesem. Idąc, jak to się mówi, do ludzi trzeba się ubrać bardziej elegancko. Moje lekkie, wygodne dżinsowe wdzianko, będzie na te warunki jak w sam raz. Kapatnie też w kącie, mam przecież sandałkowe półszpilki. No, jakoś już chyba wyglądam. Mogę wyruszyć na promenadę. Będę, jak tu się mówi, wizytować, czyli zwiedzać tę wspaniałą placówkę. A i w ruchu łatwiej się wziąć do kupy, pozbierać, uporządkować myśli. Może nawet znajdę jakiś telefon. Zadzwońlibym do domu, aby wspólnie z małżonkiem ustalić, uradzić, co począć z tak pięknie rozpoczętym dniem. Bo może by stąd prysnąć i tylko w domu zażywać grzecznie i jak najbardziej według wskazań, przepisane przez lekarzy te ich tam jakieś antydepresyjne prochy?...

Depczę ja tak sobie jasno-beżowe linoleum dość długiego korytarza. Skręcam raz w prawo raz w lewo, bo korytarz jest w kształcie litery T i główkuję, główkuję, łba mi mało nie rozsądzi.

Nie zdążyłam się jeszcze dobrze rozejrzeć w okolicy, aż tu raptem podbiega do mnie pielęgniarka. Chyba nawet nie moja, bo jej jak dotąd nigdy na oczy nie widziałam. I czego ona może ode mnie chcieć?

Bezczelnie na mnie napierając i coś mi zaciekle perswadując, popycha mnie bezapelacyjnie w kierunku, z którego przyszłam. Zdaje się, że mam wrócić do pokoju. Chyba tak. Jeszcze mam nadzieję, jeszcze się łudzę, że chodzi znów o jakiś zabieg, a mnie akurat na łóżku zabrakło, ale coraz trwoźniej wsłuchuję się w to, co ona do mnie gada, bo coraz częściej pada owo złowrogie słowo „cure”.

I powoli zaczynam rozumieć. Już wiem, że mam zdjąć moje dżinsowe wdzianko i grzecznie ubrać szlafroczek, z pokoju najlepiej nie wychodzić, a już na pewno nie tak ubrana. Żadnych wyjściowych ciuchów, twardego obuwia, makijażu itp. Dla mnie jest przewidziany mundurek typu – łóżko: bielizna nocna, podomka lub szlafrok. Na zbiórkę leków, na wezwanie lekarza, tylko i wyłącznie tak ubrana mogę wyjść. Przymkną też oko, jak to się mówi, na rozruszenie kości. Tylko żeby nie przesadzać, bo znów mnie cofną, jak przed chwilą. O spacerach na razie zapomnieć, a bezcelowe szwendanie się po ośrodku od razu wybić sobie z głowy.

Ja na to, że chcę zadzwonić do męża, aby natychmiast przyjechał i mnie zabrał, gdyż postanawiam zdecydowanie i nieodwołalnie stąd odejść... I już.

– To nieporozumienie, pani nie chce zrozumieć – zostaję pouczona tonem władczym, stanowczym, a nawet powiedziałabym karcącym – żadnych telefonów, żadnych wizyt. Pani mąż jest przecież jak najbardziej *au courant*. Rozmawiał wczoraj z lekarzem, podpisał zresztą co trzeba. To widać tylko pani była tak rozkojarzona, nieobecna, że nie zdawała pani sobie sprawy na jakich zasadach zostaje pani przyjęta, jakiemu leczeniu będzie pani poddana, że decyduje się pani przebyć *cure*.

Tu prycha pełna bezgranicznego zdumienia i dezaprobaty, że w tak ważnym momencie, jakim jest przyjęcie do kliniki, ktoś zgłasza się, nie wiedząc, co robi, będąc w karygodnie nieodpowiedzialnym stanie. Po czym kontynuuje:

Telefon? – Absolutnie i bezwzględnie wybić sobie z głowy, że oni w mojej sprawie będą gdziekolwiek telefonowali. A już tym bardziej, żebym telefonowała ja sama. Wykluczone. Tu nawet nie ma aparatu do użytku chorych. Ktoś z zewnątrz może do kliniki zadzwonić z zapytaniem o zdrowie pacjenta, z prośbą o przekazanie jakiejś informacji, którą personel na ogół przekazuje, pod warunkiem oczywiście, że jest budująca, optymistyczna. Pacjentów nie można denerwować, opowiadać im byle czego. Oni są w klinice po to, aby odpocząć, aby się wyleczyć. Ja też muszę odpoczywać, poddać się ich leczeniu, co jest jednoznaczne z bezdyskusyjnym nagięciem się do obowiązujących tu reguł, a wkrótce będę zdrowa i zrozumiem, że to wszystko tylko dla mojego dobra, że taka jest bezwzględna konieczność warunkująca poprawę mego stanu.

Bah oui – ależ tak. Już czuję się zdrowsza. Aż się trzęsę, cała chodzę, nerwowo wyłamuję palce, spieczone wargi zagryzam do krwi. Za wszelką cenę staram się przywołać szczątkową resztkę spokoju, równowagi, gdyż wzbierające we mnie napięcie staje się nie do zniesienia i czuję, że za chwilę rozsypię się na kawałki.

– Dobrze – mówię – w takim razie, ja chcę widzieć lekarza psychiatrę. Nie ma mowy, to trzeba wyjaśnić do końca. Ja muszę wiedzieć, o co tu właściwie chodzi, czego dotyczy cyrograf podobno wczoraj przez mojego męża podpisany, co faktycznie oznacza i co w sobie jeszcze kryje to choleme, złowieszcze pojęcie *être en cure*.

Nareszcie uderzyłam, gdzie trzeba. Pielęgniarka przybiera postać zasadniczą, meldując:

Tak, do tego mam jak najbardziej prawo. Nie ma przeciwwskazań, wprost przeciwnie. Jeśli już znalazłam się w klinice psychiatrycznej, to mogę w razie potrzeby mieć kontakt z lekarzem, który jest specjalistą od przypadków właśnie takich jak mój. Uzbroić się w cierpliwość. Nie ma

sensu ciskanie się na prawo i lewo, łatanie z furią po pokoju, obijanie własnych kończyn i mebli. Położyć się lub chociaż usiąść. Zająć jeszcze jedną pastylkę. Trzymać ją pod językiem, nie połykać. Nie denerwować się tak, odprężyć. Lekarz zaraz tu będzie. O, właśnie nadchodzi. Trzeba wziąć się w garść.

Lekarzem okazuje się kobieta, raczej starsza pani. Jako typ charakteru pewnie flegmatyczka. Z wyglądu troszkę pączusiowata, głos ma spokojny i śpiewny, ruchy opanowane i jednocześnie pełne gracji. Wszystko co mówi, wypowiada z pewnym namysłem, jakby na gorąco formułowała swoje opinie, sądy. Słucha uważnie, w wyraźnym skupieniu. Jeśli zadaje pytania, to bardzo zasadnicze, trafiające, jak to się mówi, w dziesiątkę. Krótkimi, wyważonymi zdaniami przemawia do mnie łagodnie jak do dziecka.

Wie, że jestem kobietą rozsądną i że chcę jak najszybciej wrócić już zdrowa do swoich dzieci. Chłopiec lat trzynaście i pięcioletnia córeczka, jaka to musi być wspaniała parka. Zrozumiem więc na pewno, że pobyt tutaj jest wyłącznie przykrą koniecznością, której powinnam się poddać ze względu na własne dobro, jak również bezpieczeństwo. Zapoznała się z historią mojej choroby i zdaje sobie sprawę jakże drastyczne, ostre kryzysy ostatnio przechodziłam. Spazmofilia, nadużywanie alkoholu, autodestrukcyjne myśli, w tym jedna, na szczęście nieudana, desperacka samobójcza próba. Za daleko to poszło, stanowczo za daleko. Znalazłam się, można powiedzieć, na zawieszanej nad przepaścią rozhuśtanej linie, na której balansując przy kompletnym braku poczucia orientacji, równowagi, ryzykowałam w każdej chwili karkołomny upadek lub może nawet śmierć. A przecież, o ile jej wiadomo od kilku lat jestem pod stałą psychiatryczną kontrolą i poddawana już byłam różnym kuracjom i psychoterapiom. Czyli coś tu zawodzi, blokuje, zdecydowanie źle działa. Mając w tej specjalności ponad dwudziestoletnią praktykę, odważa się autorytatywnie i z pełnym przekonaniem stwierdzić, że dotychczasowe leczenie nie przyniosło oczekiwanych rezultatów. Boi się nawet czy przez swoją nieadekwatność i zbyt długie przeciągnięcie w czasie mego stanu jeszcze nie pogorszyło. Teraz trafiłam do ich kliniki i znajdę tutaj pomoc. Może mnie zapewnić, że jestem w naprawdę kompetentnych i fachowych rękach. Zdaje sobie sprawę, że zaufanie od nowa lekarzom i proponowanym przez nich metodom może mi przyjść z pewnym trudem, jednak choćby minimum wiary i zaufania jest potrzebne, a nawet niezbędne i dobrze by było, gdybym spróbowała je z siebie wykrzesać, jeszcze raz się na nie zdobyć.

Siedzę obok lekarki wciąż przyuczajona, spięta, ale słucham uważnie i staram się zrozumieć

jej wywody. Od kiedy tu jestem wszelkie informacje docierały do mnie przypadkowo, wrywkowo i agresywnie. Nie umiałam znaleźć dla nich sensownego odniesienia. Czułam się biernym obiektem epizodycznych ataków, zdezorientowana, oszołomiona.

Teraz jest inaczej. Po raz pierwszy ktoś ze mną rozmawia, udzielając mi rzeczowych, logicznych wyjaśnień, argumentów, a jednocześnie odwołując się do moich odczuć i rozsądku, sprawia, że nie czuję się już tylko podmiotem, wyrwanym przypadkiem chorobowym bez możliwości zareagowania, obrony. W tej rozmowie jestem partnerem. Co może sprawić życzliwa uwaga, takt i kultura drugiego człowieka. Miła ta pani doktor, niech mówi dalej...

Przyjrzyjmy się zatem ograniczeniom, niedogodnościom, na które tak rozpaczliwie się uskarżam. Zasłonięte okna, drzwi bez klamek, odcięcie od telefonu czy brak wizyt, ona rozumie, są dość przykre, ale to tylko błahe i prozaiczne aspekty klinicznych reguł, które można zaakceptować i znieść. Bo obejście się bez kawy czy herbaty – sama zapewne przyznam, może mi pójść tylko na zdrowie. Okropne to świństwa, które nie tylko szkodzą, ale i niepotrzebnie ekscytują. I tak widzi, że bardzo dużo palę, a pfe... A ta awantura o szlafroczek – i po co? Jest taki elegancki, twarzowy. Sama chciałaby taki mieć.

Rozglądam się po sobie i trochę jej wierzę. Podarunek z Polski, a więc możliwe. Lekarka, gładząc milusiński plusz mojego rękawa, perswaduje cierpliwie:

– Dalej to już tylko sprawa czasu. Trochę cierpliwości, wysiłek niewielki, bo wystarczy jedynie ściśle i grzecznie przestrzegać tych, powiedzmy, zasad, z dobrą wolą poddawać się wskazanym zabiegom no i oczywiście rzetelnie zażywać wszystkie lekarstwa (a bywają różne małe oszustewka, oj, bywają), a będę pozostawać w stanie sennego letargu i te piętnaście dni faktycznie dość ostrego reżimu naprawdę szybko zleci. A potem zobaczymy. Potem będzie już lepiej.

Byłam pewna, że się przesłyszałam. Co ona powiedziała? Piętnaście? Ale to może godzin?... Nie, wyraźnie słyszałam – „*jours*” – dni. No to chyba nie piętnaście. *Merde!* O co tu chodzi? W co ja się wpakowałam? Przecież piętnastu dni w takich warunkach, to chyba nawet prawdziwy wariat nie wytrzyma, a już na pewno nie ja.

Gorączkowo zbieram myśli, porządkuję argumenty i chociaż nie tak jak ona spokojnie ani tak łagodnie, trajluję z przekonaniem, że jest to niemożliwe, bez sensu. Gadam o tym, jak się tu dostałam prosto z marszu, nie spodziewałam się tego ani z tym liczyłam. Mam dwoje dzieci, którymi muszę się opiekować. Są takie kochane i takie przecież beze mnie bezradne. Dopiero co,

jak wyszłam ze szpitala, więc nawet nie zdążyliśmy się sobą nacieszyć. Dorotka nie lubi jeść w przedszkolu, a Michałkowi obiecałam pomoc w przygotowaniu się do bardzo ważnej kontroli z przyrody. Nie ma mowy, ja nie mogę tu zostać, a do tego aż przez piętnaście dni. Mój mąż musi pracować. Bo we Francji, jeśli już się ma robotę, to się musi! A dzień pracy jest długi. Sama Pani potakuje, potwierdza. Mąż wraca późnym wieczorem, a ja nie chcę, ja nie pozwolę, aby Mała, wbrew sobie, jak ten porzucony psiaczek przesiadywała godzinami w przedszkolnej przechowalni. Moja dłuższa absencja nie była przewidziana. Nic w domu nie jest przygotowane i oni sami na pewno sobie nie poradzą. Ja muszę wrócić i jeśli mam się leczyć, będę to robiła rzetelnie, sumiennie, ale z doskoku, pozostając mimo wszystko w domu.

To chyba wszystko. Więcej argumentów nie znajduję. Bo sam fakt, że mi się tutaj tak wściekle nie podoba, wszystko mnie odstrasza, deprymuje, nie ma nic chyba do rzeczy. Nie wiem, co mogłabym jeszcze dodać, jak uzasadnić, czym przekonać. Wyczerpały się też zresztą moje skromne zasoby, że tak powiem, francuskiej elokwencji. Sama widzę, że jestem trochę jak leniwy uczeń wykrętnie usprawiedliwiający się przed belfrem z nieodrobionych zadań, ale mam to w nosie. Najważniejsze, abym mogła stąd wyjść.

Pani doktor, specjalistka od przypadków takich jak mój, słuchała mnie bardzo uważnie i, można powiedzieć, z pewnym zaciekawieniem. Kilkakrotnie raczyła pochwalić moją „francuszczyznę”. Wyglądało, że chce zrozumieć racje i motywy, które jej przedstawiam. Wyraźnie dawała mi szansę. Okiem też nie mrugnęła, sama niepaląca, gdy wyciągałam z paczki, licząc od rozpoczęcia naszej rozmowy, pewnie piątego albo szóstego papierosa. Pogładziła mnie macierzyńskim gestem po policzku, przytrzymała na moment moją rękę i tym swoim spokojnym, stonowanym głosem zaczęła mi raz jeszcze wszystko od początku tłumaczyć:

Rozumie doskonale moją troskę o dzieci. Teraz jest już babcią, ale dobrze pamięta, gdy bywała chora, mając jeszcze dzieci w takim wieku jak moje. Jest to dla nich bez wątpienia smutne i przykre, nie trzeba jednak wyolbrzymiać, demonizować. Dzieci są odporne i jednocześnie wyrozumiałe bardziej, niż nam się zdaje. Są przecież z ojcem, który został poinformowany, co do zasad i długotrwałości mojego tu leczenia i przystał na nie bez żadnych zastrzeżeń. Zdając sobie w pełni sprawę z sytuacji, uznał, że wszystkiemu podoła, że sobie poradzi. Oczywiście, my matki, bez wątpienia dajemy dzieciom opiekę najlepszą z możliwych. Bywają jednak okoliczności, w których musimy dać się zastąpić. I nie potrzeba aż tak się przejmować, a już na pewno się nie obwiniać. Każda choroba to siła wyższa i teraz tylko

najważniejsze, aby ją przezwyciężyć, z niej wyjść.

Tu pani doktor nabiera oddechu, widząc jak się szarpie i miotam. Jasne jest więc, że nie ze wszystkim mnie jeszcze przekonała. Ale jako osoba kompetentna, a co więcej, rozumiejąca życie, nie rezygnuje i po chwili przerwy z pełną życzliwością powraca do swojej argumentacji:

Tak naprawdę, ma nadzieję, że się z nią w końcu zgodzę, nie ma więc żadnej tragedii. Trochę przesadzam i widzę wszystko w czarnych kolorach. A niepotrzebnie. Są przecież świetlice, stołówki i opieka w nich nie jest wcale taka zła. Wszystko się jak najlepiej ułoży. Nie stanie się dzieciom żadna krzywda, już na to ojciec nie pozwoli. Szkoda tylko, że nie mam do niego zaufania, bo będzie mnie to gryzło, co kuracji na pewno nie pomoże, oj nie. A poza tym...

Niebywale przykro jest jej nawet słuchać moich zdeterminowanych deklaracji o chęci wyjścia, o rezygnacji z klinicznego leczenia. Jakże wyraźnie przemawiają tu niebezpiecznie destruktywne uczucia, takie jak zagubienie, rozpacz i strach. Będzie ze mną ucziwa. Jeśli za wszelką cenę będę chciała opuścić klinikę, istnieje taka możliwość. Nie ma ostatecznego zobowiązania czy jakiegokolwiek przymusu. Czy zdaję sobie jednak sprawę, czym ryzykuję, do czego mogłabym doprowadzić? Już raz i to niedawno wyszłam ze szpitala z własnej inicjatywy, na własną prośbę i sama muszę uznać, że stanowczo za wcześnie. Po co więc powtarzać ten sam błąd jeszcze raz? Ona wie, doskonale zdaje sobie sprawę, że przestrzegane w klinice zasady, same warunki proponowanej mi kuracji mogą być przykre i to nawet bardzo, czy wydawać się wręcz niedorzeczne. To wszystko jednak ma swoje istotne uzasadnienie w sensie medycznym, psychoterapeutycznym. Wyjaśni mi, co i jak.

Przebyć *cure* – oto, co mnie czeka, bo przecież nie grozi. Nie ma mowy o jakimkolwiek niebezpieczeństwie, ryzyku. Dwutygodniowa kuracja na dość specyficznych zasadach w odizolowaniu, zamknięciu, nazywana potocznie leczeniem przez sen. Nie jest to ani niedorzeczne, ani bezpodstawne, jakby z pozoru mogło się wydawać. Niestety, pacjenci nie rozumiejąc, o co chodzi, nastawiają się do proponowanego im programu leczenia zdecydowanie negatywnie. Czują się oderwani, odizolowani nieuzasadnionym gwałtem od świata, w którym żyli, bezwzględnie podporządkowani jakimś bezsensownym rygorom. Dla nich *cure* to jak piekło dla grzesznika, wyrok dla złoczyńcy, to jak dla zadżumionych kwarantanna. Tak więc dominujące poczucie winy, idąca za tym kara za grzechy, a przy tym dużo zbędnej przesady.

Lekarze widzą to inaczej. Maksymalne odcięcie pacjenta od wszelkich bodźców pozaklinicznego świata ma na celu wspomoczenie psychoterapii. Ta kwarantanna ma służyć

odciążeniu psychiki chorego od tego wszystkiego, co istnieje na zewnątrz, a co w jakimś sensie chorobę zainspirowało. Nikt przecież nie popadł na swoje niedomagania w klinice tylko gdzieś w domu, w pracy, w środowisku takim czy innym, a więc poza nią. Zapomnienie, oderwanie się, odpoczynek, rozluźnienie skumulowanych napięć – oto czemu ma służyć takie okresowe zerwanie ze światem. I tu klinika powinna być azylem, wyspą, ucieczką. Mówiąc literacko, taką Arką Noego. Prawda, że to zupełnie ładnie brzmi? Tak więc w klinice poza psychotropowym aspektem jej działalności istnieje ten cały reżim idący w kierunku zminimalizowania wszelkiej aktywności pacjenta, wyciszenia go, uspokojenia. Silne środki nasenne wspomagane lekami antydepresyjnymi, izolacja, bezpieczeństwo i spokój, tym jest właśnie, ostatnio w psychiatrii dość popularna, tak zwana terapia snem.

A już te wszystkie drobne zakazy i ograniczenia – tu gest wskazujący zasłonięte okna i drzwi bez klamek – służą tylko ochronie pacjenta, jakże często niestety, ochronie przed nim samym. Ja też pewnie odczuwam, że jest to bardzo niesprawiedliwe, że nie zasługuję na aż tak kategoryczne traktowanie. Jeżeli jednak prowadzący mnie od kilku lat lekarz-psychiatra wprost ze swojego gabinetu przysłał mnie tutaj, to musiały istnieć ku temu jakieś powody, racje. I racje te są.

A czy nie uważam – tu spojrzenie lekarki lustrujące, dociekliwe – że po wyjściu ze szpitala, w sytuacji w której, co tu dużo mówić, nadal byłam chora, nadal w stanie ostrej depresji i tylko w oczekiwaniu z wizyty na wizytę u lekarza – czy wtedy byłam zdolna zajmować się jak się należy, moimi dziećmi, co im z siebie dałam czy, broń Boże, im nie zaszkodziłam?...

Tu lekarka, widząc moje wzburzenie, zawałała się na moment, lecz po chwili dodała:

– Stan psychicznego załamania, silny rozstrój nerwowy był przykry nie tylko dla pani. On był przykry i męczący, powinna pani zdać sobie jasno z tego sprawę, dla wszystkich, dla całej rodziny. Więc czy nie lepiej teraz troszkę pocierpieć, potęsknić, aby wrócić do dzieci i męża już zdrowa, jako zupełnie inny człowiek?...

Pytanie przebrzmiało. Serce ściska mi się z bólu, czuję w gardle narastającą bryłę płaczu. Ona ma rację. Tym mnie przekonała, ugięła. To jednak prawda, że zawsze byłam cholerna egoistka i samolub. Żyjąc od lat w tym swoim piekle, nie chciałam myśleć, przyznać się do tego, że wciągam w nie również moich najbliższych. Co za podłość, o Boże. Muszę to wreszcie przełamać, uwolnić ich od demonów, które zasiedziały się we mnie. Oni na to nie zasługują. Faktycznie, nie można tego kontynuować. Absolutnie, nie można.

Ocieram dłonią mokre policzki, raz jeszcze zachłystuję się gorzkim szlochem i już

spokojniej, zdając sobie teraz w zupełności sprawę z tego, co mnie czeka, na ponowione pytanie, czy jestem w stanie zaakceptować pobyt tutaj, odpowiadam pani doktor – tak.

* * *

Tak więc zostałam w klinice. Nie ma jednak róży bez kolców i akceptacja pod wpływem szlachetnego, chwilowego impulsu to jedno, natomiast tolerancja wobec narzucających się konsekwencji to już zupełnie inna sprawa. Co tu dużo mówić, szlag mnie trafiał na każdym kroku. Z zawziętą też przekorą zaczęłam borykać się z coraz bardziej ekspansywnym, paradoksalnym reżimem, który bezkompromisowo usiłowano mi narzucić. Zawsze byłam logiczna, zasadnicza, a tu nagle wydumane bzdury i kompletny absurd.

Okna zamykamy na amen. Wywietrzy sprzątaczką, jeśli będzie chciała, w czasie swojej porannej krzątania. Żaluzje opuszczone do podłogi. Nie kręcimy się po korytarzach. Nie wchodzimy bez wezwania do gabinetu zabiegowego, jak zresztą do żadnych pozostałych administracyjnych czy gospodarczych pomieszczeń. Nie odwiedzamy w pokojach innych chorych. Na hasło – lekarstwa! – zgłaszamy się ze swoimi szklankami i ustawiamy się pod gabinetem w układowej kolejce. Mnie to na razie nie dotyczy, jako „uprzywilejowana” będę obsługiwana w pokoju. Medykamenty zażywamy od razu na oczach pielęgniarki, żeby nie było żadnych sztuczek. Co niektórzy będą proszeni o otwarcie ust. Po skończonym posiłku tacek nie oddajemy. Odbierają je bufetowe. No i słusznie, tylko tak można sprawdzić, czy pacjent nie połknął jakiegoś sztućca lub w celu samounicestwienia się nie odgryzł kawałka szklanki. Nie oddalać się, nie grupować, nie przeszkadzać personelowi w pracy. I spać. I jeszcze raz spać. Z przerwą na posiłki i siusiu najlepiej na okrągło spać.

Tylko tyle, bagatela, i to też jak na razie, gdyż z godziny na godzinę wybucha nowa bomba, pojawia się kolejne prawidło lub zakaz. I bądź tu mądry, spróbuj być uległy, grzeczny. Ja jakoś nie potrafię. Wielka szkoda, pouczają mnie na każdym kroku, bo wszystko jest tu przecież tak sensowne, jasne, że nie powinno być mowy o jakichkolwiek wątpliwościach, oporach. Nic prostszego, wystarczy tylko podporządkować się, zastosować, a na pewno wyjdę z tej kliniki silna, odporna i zdrowa, co jest przecież ich – personelu świętym zamierzeniem i co leży w moim – pacjentki zakochanym interesie.

Dobra – myślę. Nie będą mnie tu chyba zamykali w nieskończoność. Wytrzymało już tyłu, to wytrzymam i ja. A tak na dobrą sprawę może i faktycznie oni mają swoje uzasadnienia, racje,

może i nie jest wprowadzony tylko ot tak sobie ten cały wymyślny system ograniczeń?

Bo skąd w takim razie, a widziałam na własne oczy, w elegancko urządzonym salonie pod jednym z krzesełek wzięło się śmierdzące paskudztwo, regularna kupa, *une merde?* O, *pardon*. Nie ma czarów, najpewniej wydalina ludzka, bo jak dotąd żadnych zwierząt tu nie widziałam. Skąd te zdewastowane, a wyraźnie nowe meble, poobrywane listwy lub, jak w moim pokoju, na świeżo otynkowanych ścianach długie, głębokie rysy, rozległe odpady tak jakby ktoś tę ścianę w swej bezsilności drapał, jakby się z nią mocował, a może próbował przebić głową mur?... Jak wariat to wariat. A wiadomo, że z wariatami nie ma żartów. Taki to może wymyśleć byle co.

Sama pamiętam, jak na kilka dni przed moim tu przyjściem, w kolejnej burzliwej rozmowie z małżonkiem, dałam upust swym nerwom i z całej siły gruchnęłam o podłogę znajdującą się akurat w zasięgu ręki niedużą szklaną żaroodporną miseczką, z której to przed chwilą Michałek wypił swoje poranne mleczko. Na ogół nie tłukę naczyń. To znaczy w sensie zamierzonej akcji. Już raczej coś z garderoby lub umeblowania pada ofiarą władającego mną amoku i ślepej agresji. Rety, ile ja tego wszystkiego naniszczyłam, narwałam i jakoś nie było mi szkoda. Natomiast z naczyniami mi nie szło. Zawojowana kucharka, widocznie zbyt lubiłam tak zwane gospodarcze szkło. Ale tym razem coś mnie poniosło. Gruchnęło i mała, może półlitrowa miseczka w gwałtownym kontakcie z podłogą rozbryzgnęła się na setki maleńkich igiełkowatych drobinek. Takie to było cholerstwo, że mimo solidnego uprzątnięcia, wytrząsałam je z szafy, wydłubywałam z wykładziny, znajdowałam w soli jeszcze za kilka dni. Niezbyt mi się więc opłacała taka forma impulsywnej, niekontrolowanej eksplozji. Nic mi też zresztą nie pomogła, a szkoda. Udowodniłam jednak w każdym razie, że stać mnie, na chociaż jeszcze błahy w skutkach, ale już niepoczytalny czyn.

A nawet i tu w klinice mało brakowało, abym potwierdziła bezsprzeczną zasadność mojej hospitalizacji, zamknięcia, kiedy nieopatrznie puściłabym tę całą budę, jak to się mówi, z dymem. Piromanką nigdy nie byłam, boję się nawet zapalanej zapałki i zimnych ognii, a jednak. Wszystko przez papierosa, którego zapaliłam jak zwykle zaraz po przebudzeniu, będąc jeszcze w łóżku. I tylko nie rozumiem, jakim sposobem ta mała, ciupciusia bulka żaru znalazła się nagle na mnie, a ze mnie panicznie strząśnięta wylądowała na otaczającej mnie pościeli. Niskie ciśnienie, opóźniony refleks, senne oszołomienie, diabli wiedzą co. Za to zareagowałam błyskawicznie i poprawnie. Zgodnie z instrukcjami przyswojonymi w młodych latach na zajęciach przysposobienia wojskowego, przydusiłam ten załazek złowrogiego żywiołu, dzielnie

manipulując poduszką. Trzy wypalone dziurki w mojej wyjściowej nocnej koszuli, jedna w poduszce i osmolone prześcieradło to straty niewielkie. Ale zagrożenie było? Było.

Teraz za to już jestem, jak to powiedzieli „bezpieczna”, co można czytać unieszkodliwiona, dla otoczenia niegroźna. Już oni wszystkie takie wariackie wyskoki przewidzieli (czyżby faktycznie? – patrz wyżej), nie dadzą się zaskoczyć. Są przygotowani na różne „eksperymenty”, „wypadki”. Tu żaden wariat nie podskoczy, żaden pomyłony nie wygra. Mają swoje sposoby, aby go okiełznać. Oj mają.

I dobrze. Sama po sobie widzę, że jestem już jakby coś spokojniejsza. Rozumiem ich racje i się z nimi zgadzam. Kooperatywna bardzo jestem. Na ogół.

Bo bywają momenty, że mam dosyć wszystkiego i wszelkie zrozumienie łącznie z kooperacją bierze w łeb. Przystaję być potulna i grzeczna. Tak jak dzisiejszej bezsennej, ciągnącej się w nieskończoność koszmarnej nocy. Tu już nie patrzę, że się narażę, że sobie zaszkodzę. Kto widział film „Lot nad kukułczym gniazdem”, ten zrozumie, o co mi chodzi. Zrozpaczona i umordowana, dyżurującą pielęgniarkę, bez żadnych skrupułów budziłam chyba z pięć razy. Ta była miła. Poza kilkoma wspólnie wypalonymi papierosami wspomagała mnie farmakologicznie jak mogła. Skończyło się na zastrzyku, który pozwolił mi nad ranem wreszcie zasnąć. Pielęgniarka znosząc przez kilka godzin nieproszone, jak to się mówi, towarzystwo nawet nie wydawała się być zła, nie okazała niezadowolenia, czy zawodu z powodu nieprzespanej nocy. Chociaż wiedziałam, że gdyby nie ja, to spałaby sobie na rozpostartym w dyżurce materacu smacznie aż do rana. No cóż, tym razem okazałam się bez wątpienia jako ta nierespektująca, dokuczliwa. Widać panika wobec bezsenności była silniejsza niż zaaplikowany mi już modus uległości.

Bo poza tym jestem pokorna i uległa. Z gorliwym zapalem podstawiam moje tyłki i żyłki pod wszystkie możliwe ukłucia, pozwalam się obstukiwać, obmacywać, prochy i mikstury łykam tak chciwie, że aż grdyka boli. Wszystkiemu potakuję. Jestem przykładnie zgodna i podporządkowana. A na dowód:

Przychodzi gdzieś koło ósmej wieczorem tak zwana nocna pielęgniarka, która po rzetelnym sprawdzeniu kompletnej szczelności okien, pytając mnie, czy nie mam nic przeciwko zamknięciu łazienki na noc, nie czekając na odpowiedź, właśnie tę łazienkę zamyka. Byстрыm okiem i szybkimi, wprawnymi ruchami przemyszkowała zawartość szafy i zastawionej różnymi drobiazgami toaletki. Mimochodem zajrzała pod poduszkę, pod stół i pod łóżko. Siedzę

i obserwuję, ciągle spokojna, a jakże. Z tą łazienką to tak właściwie nie bardzo mi pasuje. Za groma nie mogę pokapować, po co zamykać na noc te drzwi, a poza tym nie zdążyłam się jeszcze nawet przed spaniem umyć. A ona na to, że to nic takiego, umyję się jutro rano. Tu poczułam się w obowiązku sprostować, że zwykle w domu, zupełnie jak z paciorkiem, myję się na ogół dwa razy dziennie, to znaczy rano i wieczorem.

– W domu to w domu – nie dała zbić się z tropu – tam myjemy się, ile razy chcemy i w ogóle, strach pomyśleć, robimy co nam się żywnie podoba, a tu jest klinika, to wystarczy raz. Już od dwunastu lat ciągnie te nocne dyżury i wie, jakie głupie myśli przychodzą nocą chorym do głowy. A ona nie chce żadnych kłopotów. Jak ktoś jest chory, a do tego, co tu owijać w bawełnę, ma coś nie w porządku z głową, to wystarczy mu łóżko, na którym może spać. Natomiast to małe światełko zainstalowane nad szafką ma zostać przez całą noc zapalone, bo widziała już takich zrywających się z koszmarnych snów i wie na co ich stać. A ona w nocy kłopotów nie lubi. Nie chce żadnych hysterii, wrzasków. Zrobić też siusiu na zapas, żeby potem niepotrzebnie nie łązić. Dawka środków, które mi zaaplikowała jest końska, więc niech jej nie budzę, bo muszę (tu wykrzyknik) po niej spać...

I co ja na to? Potakuję. Taka już jestem zgodna i potulna. Nawet na odchodnym, tak od niechcienia, radzę jej jeszcze sprawdzić, czy papier toaletowy w wc jest aby w karteczkach, a nie zrolowany, bo przecież mogłabym się na nim powiesić. Dopiero miałaby kłopot.

* * *

I tak to się toczy. Jestem już świadoma wszystkiego, co mnie czeka do końca tej kwarantanny. Jak mogę, tak sobie radzę. Kiedy muszę, to się naginam. Kiedy mogę, przeciwstawiam się, walczę z tą moją *cure*. Są to potyczki najczęściej o głupstewka, drobiazgi. Jakże jednak w tych i tak już niewesołych warunkach obrzydłe, uprzykrzone. A w praktyce wygląda to tak:

Korzystając, że jestem sama w pokoju, kiedy okno pomyłkowo pozostawiono otwarte, podciągam rolety jak mogę najwyżej, blokując je z obu stron przy użyciu plastikowych kapsli. Znalazioną w śmieciach kolorową wstążeczką podwiązuję ciemne firany. Chcąc uniknąć asysty strażniczki-pomocnicy podczas moich kąpeli, obywam się bez pozostającej w jej władaniu zatyczki z łańcuszkiem, zamykając wylot wanny nakrętką od szamponu. Kawę tak uważnie tu racjonowaną, wyludzam najróżniejszymi sposobami z podwędzaniem jej włącznie. Celowo wyważyłam troszkę drzwi do łazienki, aby się nie domykały i tym bardziej nie dały się zamknąć. Ku mojej uciechu nikt ich jak dotąd jeszcze nie naprawił. Przebudzona o godzinie szóstej rano przez pielęgniarkę w celu zmierzenia ciśnienia i temperatury, natychmiast po jej wyjściu nacieram termometr do 36,6 stopni, aby go od razu odłożyć i spokojnie spać dalej.

Takie są mniej więcej moje małe sposobiki, by sobie tutaj jakoś pomóc, łatwiej to wszystko przetrzymać, w ogóle jakoś żyć. Kompletna głupota, przyznaję, ale jaki przeciwnik, taka gra. Przypomina mi się infantylna zabawa w kotka i myszkę, też skądinąd beznadziejnie głupia. Oni mnie tak, to ja ich siak. Najgorzej było z kropłówką. Po francusku nazwa tego zabiegu brzmi zupełnie ładnie – *une perfusion*.

Każda z nich przy regulaminowo ustawionej częstotliwości opadania kropelek trwa, jak już mówiłam, lekko licząc, około dwóch godzin. Przez dziesięć pierwszych dni po cztery kropłówki dziennie, po czym stopniowe ograniczanie. Łatwo więc policzyć ile, że tak powiem, łóżko-godzin taka przyjemność wymaga.

Leżenie pod kropłówką jest beznadziejne, nieruchome, praktycznie bez możliwości robienia czegokolwiek, a jeszcze na dokładkę, żeby było weselej z absolutnym zakazem palenia. Prawdziwa katorga, autentyczna galera, nic dodać, nic ująć. Papierosami i tak po kryjomu, jak

mogłam, tak się wspomagałam. Ja i zakaz palenia, też coś. Jednak mimo wszystko, tego bezsensownego leżenia było mi trochę za dużo. Już z samego takiego upupienia można zwariować, zgłupieć.

Rzuciłam więc byстрыm okiem, jak przy zakładaniu kroplówki manipuluje przy stole pielęgniarka, a potem manipulowałam już sama. Kropelki opadają kap, kap powolutku i opieszale i dokładnie im wszystko jedno, że ja już nie mogę, że się strasznie męczę, że mam już ich serdecznie dosyć. W zasięgu mojej ręki jest jednak przecież zawieszony na żyłce malutki regulator, którym umiejętnie pokręcając zamiast kap... kap... można spowodować kap, kap, kap, kap. Proszę, jak to obrazowo i do tego fonetycznie ten iście makiawelski wybieg opisałam.

Jechałabym tak na tym małym oszustewku do końca, ale z urodzenia nieufne białe wrony wyraźnie zaczęły mnie podejrzewać. Miały widać rozeznanie, co do czasu potrzebnego na przelanie się tego świństwa z butelki w pacjenta. Dziwiły się, kiwały głowami, coś za szybko to u mnie szło. Zaczęły mnie kontrolować. Wpadały znienacka, bacząc jak cała aparatura działa. Teraz sztuka polegała na tym, aby zależnie od sytuacji, w odpowiednim momencie te zdrowodajne kropelczki przyspieszyć, a w razie zagrożenia zwolnić.

Oj, była to zabawa, boki zrywać, dość nawet ekscytująca, nie powiem. W każdym razie zawsze już jakieś urozmaicenie, niewinne podchody na zasadzie kto kogo. Obudziła się we mnie sportowa dusza. Raz aż przesadziłam, mało nie zgubił mnie mój perfekcjonizm. Opyliłam zawartość całej butelczyny w niecałe pół godziny i potem jak ta głupia już o „suchym pysku” musiałam odczekać przyzwoite minimum z przywołaniem pielęgniarki, która miała mnie z tego sprzętu uwolnić.

Nie ma walki bez porażki, któregoś razu wpadłam z kretesem. Przyspieszyć, przyspieszyłam zresztą pod względem strategicznym zupełnie poprawnie, mając na względzie ewentualne zagrożenie wtargnięcia kogoś z personelu do pokoju. Tylko że regulator coś chyba nawalił i za nic nie mogłam jakoś tego pieruństwa wycumować, zwolnić. I na to wpadła pielęgniarka. Wrzeszcząc na mnie okrutnie, zaplując się cała i najpewniej zresztą zupełnie nieświadomie, żywcem cytowała teksty z kabaretu Smolenia:

– Nie bądźcie wy tacy sprytni, bo w ogóle stąd nie wyjdziecie. Będę musiała zgłosić was do dowództwa. Żeby to było ostatni raz, zrozumiano?! A nie, to będziecie tu siedzieć do usranej śmierci? Wy... Wy... – I tu znów się zaplula, ohyda.

Do mnie ze Smoleniem, od razu czuję się na swoim gruncie i też odpowiadam na razie

jeszcze na wszelki wypadek tylko w duchu słowami komicznego kabarecisty: – A właśnie, że wyjdę. Takiego wała mnie tu zatrzymacie. Możecie mi natrukać, o.

Do niej zaś przymilnie z miną niesłusznie skarconego niewiniątka:

– Ja nic nie wiem, ja się na tym nie znam i niczego tu nie dotykałam. Tylko to małe urządzenie pewnie się oblużowało, bo najpierw się opuściło, a potem w ogóle spadło. Może więc stąd to przyspieszenie, co pani o tym myśli?...

* * *

Byłam już w połowie obiadu, gdy zorientowałam się, że coś jest nie tak. Siedzę i kombinuję, a wychodzi na to, że buteleczki z winem do posiłku nie dostałam. Woda mineralna jak zwykle stoi, a winka nie ma.

Oj, myślę sobie, słabiutko. Porobili mi przecież te jakieś analizy, badania i nic tylko z nich wylazło jak szydło z worka, że jestem moczymorda, okrutna pijanica. I teraz to już ani kropli, nie dadzą alkoholu nawet na ząb.

Znów więc dylemat, sytuacja wysoce stresowa – dopominać się o to wino czy nie? Bo jeśli się zapytam, to pomyślą: – O, jaka zawzięta, już ją bierze. Jeśli zignoruję, to powiedzą: – Jaka sprytna. Chce nas zmylić, że wcale nie musi.

A, do cholery. Sama już nie wiem, co zrobić. Chyba jednak spróbuję wyjaśnić, z jakiego powodu odstawiono mi flaszkę. To jestem w końcu tą alkoholiczką czy nie? Dobrze wiedzieć. Lecę do bufetowej. Ta nic nie wie, to pielęgniarka nie kazała wina podawać. Biegiem do pielęgniarki, a ona że lekarz zalecił wstrzymać. Ja się tam już nie wstrzymuję i natarczywie domagam się uzasadnienia, interpretacji. Coś mi tam klaruje o jakichś globulinach, globulkach czy innych gadzinach, podaje liczby, procenty. A ja nic. Nie kapuję z tego ani trochę. Tylko jeszcze bardziej mi w głowie namieszała. Nie rozumiem już zupełnie, czy ich za dużo mam czy za mało. *Ca va czy ça ne va pas?*

Główkuję gorączkowo i kojarzę w pewnym momencie, że podobny temacik poruszył już kiedyś ze mną lekarz w szpitalu. Oświecił mnie zyczliwie, że nadużywanie winka, w którym tak gustuję, może zrujnować moją wątrobę. Był o tym święcie przekonany. Tyle że mnie, będącą wtedy w stanie zdecydowanie opłakany, absolutnie nie wzruszał ewentualnie opłakany stan jakiegokolwiek mojego organu. Ziarnko wątpliwości zostało już jednak zasiane. Powinnam uważać z winem, bo mi wątroba zaszwanuje. I nic, tylko wykrakał.

Przebadali, podliczyli i musieli mnie nieźle podsumować – skończona pijaczka z żółciodajnym gruczołem rozlazłym jak śmierdzący ser. Wstyd i hańba. Nic tu po mnie. Podkulam uszy pod siebie i chyłkiem wycofuję się z gabinetu. Strasznie się przejęłam. Aż apetyt straciłam.

Siedzę nad tacą i nic nie jem. Butelki z wodą nawet nie ruszam Na to wchodzi robiący codzienny obchód dyżurujący lekarz. I dobra, zagramy w otwarte karty, wyłożymy kawę na ławę. Niech pan medyk mi wreszcie wyjaśni dlaczego, co i jak.

Ma się ten instynkt samoobrony. Święta to była racja z ponownym zaatakowaniem tej drażliwej kwestii, bo jak nie bym się zamartwiła, jaka to już jestem stracona ochlejmorda i ruina człowiecza, a wygląda na to, że wcale nie.

Wyniki badań są w porządku i nie wskazują nawet, o dziwo, na regularne picie. Gdyby nie to, że sama przyznaję, od jak dawna dość ostro popijam, nie stwierdziliby tego na podstawie analiz. Wskaźniki, które uzyskali są typowe dla zatwardziałego abstynenta. Dlatego też odstawiono mi wino, które nie idzie z leczeniem w parze, a bez którego mój organizm może jeszcze (z podkreśleniem) się obyć. To tylko tym ostatnim zatraceńcom podają do posiłków małe ilości napojów wysokowych, aby nie dopuścić do głodu alkoholowego, który najczęściej prowadzi do delirki. O zgrozo. Takiemu beznadziejnie uzależnionemu typowi wygłodzonemu skutek przymusowej wstrzemięźliwości może wywalić na odwyrtek nie tylko mózg z przyległościami, ale i cały przewód pokarmowy wraz z przełykiem i jaki wtedy dla kliniki ambaras.

Aż ciarki po mnie przechodzą, tak obrazowo pan doktor ilustruje końcowe stadium nałogu, w który i ja najprawdopodobniej już wdepnęłam. Ale o tym będzie potem. Póki co, wszystko jeszcze gra, a dzielna wątróbka broni się przed tankowanym w nią winkiem jak może. A tu wino podawane jako lekarstwo – żywy paradoks. Tego jeszcze nie było, dziwy i cuda na tym świecie. A wyjaśnieniom jeszcze nie koniec, bo pan doktor rozgrzał się w temacie i elokwentnie ciągnie dalej:

Nawet nie o to tutaj chodzi, że podważali moją prawdomówność, kiedy od początku zapewniałam, że mogę bez alkoholu się obejść, że nie czuję żadnego przymusu. Mogłam być w swych deklaracjach i uczciwa. Ale człowiek pijący myśli i mówi jedno, a alkohol to złośliwa bestia, pokazuje i robi swoje. W związku z czym, chociaż może się to wydawać niemiłe, wszelkie oświadczenia na gębę dla nich nic nie znaczą. Im potrzebne są konkretne wyniki analiz i zanim je uzyskali, woleli się zabezpieczyć, podając mi pewną dozę alkoholu. Rezultaty badań wykluczają stan alkoholowego uzależnienia. Dlatego też wino zostaje odstawione, a my leczymy się dalej. No i oczywiście uważać (to do nas) – licho nie śpi, podobnie jak papierosy, tak i alkohol jeszcze nikomu nie poszedł na zdrowie.

Uf, aż mi ulżyło, bo już miałam porządnego pietra. Czuję się jak mysz, która tylko przez ślepy przypadek wyrwała się pazurom wrednego kocura. Trzeba faktycznie uważać na to diabelskie świństwo. Nie ma jak abstynencja. Z zapalem otwieram butelkę wody *Evian* i pospiesznie atakuję zupełnie już wystygłe zapomniane żarcie.

* * *

I tak biegną dni jeden za drugim. Na zewnątrz późna, pogodna jesień. Przez ciężkie, ciemne zasłony przebijają słabo pomarańczowe promienie zachodzącego słońca. Czas płynie niemrawo. Na długie godziny przygważdżają mnie kroplówkami do łóżka, zaliczam kilka zastrzyków dziennie, pochłaniam całe masy jakichś piguł, popijam je obficie miksturą z gorzkich kropel.

Kropelek nie żałują, jest ich raczej sporo, wychodzi tego w szklance dobra seta. Nawet działają podobnie jak alkohol. Kilka literatek i jest się nieźle nabuzowanym, jak na dobrym rauszu. Raz nawet zapytałam o ich działanie. Odpowiedziano mi, że są dobre na wszystko, po czym podwojono dawkę. Dobra, ja się nie spieram. Być zamroczoną, trykniętą, dla mnie żadna nowina. Mogą być kropelki. Teraz widać jakaś na nie moda.

Wszystko się toczy według ściśle ustalonego rytmu. Chociaż rytm jest określeniem zbyt słabym, te wszystkie zabiegi tutaj to cały ceremoniał, rytuał. Zmieniają się tylko pielęgniarki i personel pomocniczy. Coraz innemu robiącemu obchód lekarzowi mam przyjemność referować „mój przypadek”. Życie na oddziale, choć ujęte w niezmiennie i sztywne ramy codziennej rutyny, jednak jakoś się kręci, posuwa do przodu. Tylko ja pozostaję zamknięta, nieruchoma i bierna. Ja w tym wszystkim, w sensie dosłownym tkwię.

Z pokoju niemal wcale nie wychodzę. Boję się narazić to jedno, a poza tym jest mi po prostu wstyd paradować w szlafroku między ludźmi ubranymi normalnie, po cywilnemu i do tego jakże elegancko. Co za stroje – moda i ciężkie pieniądze. Chociaż styl zdecydowanie sportowy. Zgłupiałby chyba mój Michałek, gdyby zobaczył tę całą rewię adidasów, lacost i pum. To pewnie wszystko już uzdrowieńcy albo odwiedzający. Takich jak ja, „łózkowych” sierot widzi się tutaj niewiele. Prawdziwy sopocki deptak, zakopiańskie Krupówki. Jeszcze i tutaj, do jasnej cholery, można popaść w kompleksy.

Krępiąc się wychodzić, siedzę całymi dniami w moim bardzo zresztą przyjemnym pokoju. Mam do dyspozycji krzeselko przy stole, wygodny fotel w rogu i oczywiście łóżko. Przemieszczam się z jednego mebla na drugi zależnie od potrzeby i chęci. Chociaż pole do popisu mam więc raczej skromne, urozmaicam sobie scenariusze, jak mogę, żeby nie dostać prawdziwego kręcka.

O zainstalowanie się na łóżku proszona jestem w ciągu dnia wiele razy i tu już niezależnie, czy mam na to chęć, czy nie. Ta przymusowa spoczynkowa pozycja ciała coraz bardziej daje mi się we znaki. Kto by pomyślał, że to takie męczące, a jednak.

Łóżko jest dobre do spania, a tu szkopuł. Z tą całą kuracją snem coś najwyraźniej nie wypała. Były obawy, czy po tych końskich dawkach z założenia obalających, szatańskich w składzie farmakologicznych mieszanek w ogóle będzie można mnie dobudzić, a ja nawet i w nocy nie śpię, tłukąc się i kołacząc ledwo żywa jak zatracony duch. Tyle krzyku, obiecująca nazwa modnej terapii, a okazuje się lipa. Nie mam ja coś szczęścia do tych sprawdzonych i skutecznych psychiatrycznych wynalazków.

Czytać nie mogę. A zresztą jakby coś mniej mnie fascynowały awantury przeuroczej Scarlett O'Hara. Nawet mnie trochę denerwuje, że ona taka silna i twarda, wie czego chce, a ja nie. Poza tym pewnie przez te ogłupiające środki gorzej widzę. Litery skaczą mi przed oczami, jakoś tak się kleją, ślimaczą. Radia ani magnetofonu nie mam. Pustka i głucha cisza. Nie ma kto do mnie zagadać.

Niekiedy zachodzi do mojego pokoju sąsiad z naprzeciwka. Nazywają go tu „Papi”, czyli dziadek. Wejdzie, gdy leżę pod kropłówką, kiwnie z dezaprobatą lub współczuciem głową, podejdzie do okna, posiedzi w fotelu. Nigdy się nie odzywa. Lubi wziąć coś ze stołu, pooglądać, a niekiedy też czymś się posłużyć. Do lusterka robi małpie miny, papierosa pakuje do ust i udaje, że pali, długopisem zasmarowuje moje kartki. Chce widocznie zademonstrować swoją umysłową sprawność. Jest taki kochany, biedny. Szkoda tylko, że te wizyty u mnie raczej szybko mu się nudzą i machając mi na odchodnym „*au revoir*”, drepcze gdzieś sobie dalej. Nie wiem co mu dolega, z jakich powodów tu się znajduje. Pewnie starcza demencja. W każdym razie jest bardzo wychudzony, niesamowicie zaniedbany. Po prostu żal patrzeć. Zdarza się, że jest na wpół goły. Widocznie zsikuje się często i salowe nie nadążają ze zmianą bielizny. Mnie jego widok zawsze przywodzi na myśl mojego ojca, na szczęście jeszcze nie w takim stopniu, ale też przecież zaawansowanego w wieku i w chorobie. I pewnie dlatego za każdym razem, gdy spotykam się z „Papi”, czuję przepełniającą mnie tęsknotę i bezsilny, rozpaczliwy żal.

Kontaktów towarzyskich nie mam więc żadnych, czytać nie mogę, obowiązuje mnie zakaz wizyt, nie zabrałam radia ani kart do układania pasjansa. Wisielcza beznadzieja. Pozostaje mi tylko jedno, co mnie jeszcze jakoś wciąga, zajmuje i jest to pisanie. Chociaż i tu podobnie jak z lekturą mam dosyć spore trudności. Twórcza impotencja, jak nic.

Piszę trochę w ciemno. Formułowanie myśli przychodzi mi z oporem, często się gubię, powtarzam. Nie bacząc na składnię, bazgrzę byle co. Przelewam na cierpliwy papier po prostu to wszystko, co akurat przewija mi się w głowie. Żadnej obróbki, nic. Nie mówiąc już zresztą o ortografii i desperackich, usilnych staraniach, aby chociaż mniej więcej zmieścić się w nikłych liniach pokratkowanego papieru.

Tyle tylko, że mnie właściwie nic nie obchodzi, czy to będzie odczytywalne, czy nie. Mam w nosie odbiorcę, choćbym miała nim być tylko ja sama. Po prostu czuję potrzebę, a raczej jest to jakiś wewnętrzny przymus, aby dać upust skołatanyom myślom, męczącemu kłębowisku uczuć w jakiej by to nie było formie. Muszę je gdzieś przekazać, przesłać, tak jakby z siebie wypłuć. Doraźna wiwisekcja, amatorska psychoterapia na własny użytek. Ktoś powie – swoisty egzorcyzm i też będzie miał rację. Właśnie jak złego ducha wypędzam tym pisaniem czarne myśli, rozpraszam mroczne nastroje. To naprawdę przynosi mi ulgę. To tak jakby zwerbalizowanie pewnych przeżyć, czy odczuć w jakimś sensie je unicestwiało, a w każdym razie wyciszało, tłumiło. Jak gdyby te bolesne aktualne przeżycia odsuwały się, oddalały się ode mnie w dość smutną wprawdzie, ale już niegroźną przeszłość. Podobnie jak w gramatyce zastosowanie pewnych reguł, użycie odpowiednich końcówek pozwala formę czasu teraźniejszego zmienić na tryb dokonany w czasie przeszłym.

Daj Boże, aby spełniło taką rolę to moje bazgranie. Niech dzięki niemu cała smutna teraźniejszość, wszystko to co doprowadziło mnie pod drzwi tej kliniki rozwieje się, przebrzmi już wreszcie jako nieaktualna, dokonana przeszłość. Niech stanie się wspomnieniem, dając szansę przyszłemu, lepszemu wreszcie życiu. I oby jak najprędzej, bo jestem już u kresu sił.

* * *

Poza pisaniem, które mimo swej terapeutycznej roli dosyć mnie męczy, pozostaje mi jeszcze jedno zajęcie jakim jest wyglądanie przez okno.

Za nietłukącymi się szybami rozciąga się przede mną zakreślony aluminiowymi ramami okna wąski, zielonożółty prostokąt trawnika. Nawet poprzez szkło czuję kwaśny, zgniły zapach jesienno usposobionej ziemi. W górze jak z tej więziennej celi rysuje się srebrzysto-miedziany skrawek nieba rozpięty nad ziemią krótkim, ograniczonym łukiem. Straszliwa to monotonia i nuda. Jeden wielki smutek. Dobrze chociaż, że od czasu do czasu przemknie się tędy któryś z pacjentów w swej kuracyjnej promenadzie. Dzięki temu poznałam dwóch kuracjuszy, jak to się mówi, towarzyszy niedoli. Jeden to pan „Spacerowicz Palacz”, a drugiego nazwałam sobie – pan „Spacerowicz Wytrwały”.

Tego „Wytrwałego” widzę niemal za każdym razem, gdy wyjrzę przez okno. Z przerwą na posiłki i nocny spoczynek jest tam zawsze. Przemierza biegnącą poprzez trawnik alejkę w tę i z powrotem bez końca i to bardzo spiesznie, jakby bał się spóźnić na jakiś ważny pociąg. Musi to być raczej starszy pan. Ubrany jest biednie, po wsiowemu: brzydka i przyduża, kraciasta kapocina, a na głowie śmieszny, pognieciony berecik. O, teraz znowu zasuwa. Krok szybki, ale taki bardziej kołowaty, głowa zwieszona do ziemi, cała sylwetka wygięta w ostry pałąk. Aż dziw, że w takiej pozycji nie potknie się, nie upadnie, a podskakujący na wszystkie strony beret utrzymuje się jednak na jego głowie. Może ma jakieś gumki, czy troczki? Ot i ciekawostka. Będę musiała kiedyś podpatrzeć, co i jak.

„Spacerowicz Palacz” ilekroć przechodzi, zatrzymuje się zawsze w tym samym miejscu, dokładnie naprzeciw mego okna pod dużym, samotnym drzewem. A zatrzymuje się niezmiennie w tym samym celu, aby przypalić kolejnego papierosa. Kręci się tak ciągle. Może iść w zawody ze „Spacerowiczem Wytrwałym” z tym, że ten robi sobie dodatkowo te króciutkie przerwy, można powiedzieć, na złapanie oddechu. Zaliczy tę swoją rundkę oraz papieroska i zaraz wraca z powrotem. Kiedyś go podliczyłam. W przeciągu godziny przypalał tak osiem razy, co daje pojęcie nie tylko o częstotliwości palenia obserwowanego pacjenta, ale również o długości tej całej spacerowej alejki. Zakładam oczywiście, że dochodzi do końca widocznego stąd płotu.

Kilkanaście mizernych metrów to wszystko. Osobiście więc wątpię, by mogło sprawiać przyjemność, dać choćby namiastkę poczucia wolności takie wyjście na zewnątrz ośrodka. Spacer jedynie z nazwy, traktowany w tych zwariowanych warunkach jako zasłużony przywilej i luksus jest kolejnym paradoksem. Jak to się mówi, jedno wielkie zawracanie głowy.

Zatopiona w ponurych myślach wciąż wyglądam przez okno. Na czym by jeszcze zatrzymać uwagę, co mogłoby choć trochę rozjaśnić czarną czeluść mojej wyobraźni?

Po drugiej stronie okalającego klinikę parkanu, na mocno zrudziałej już trawie biegają sobie konie. Jest ich kilka, chyba siedem. Brykają sobie wesoło, podszczypując się wzajemnie. Kokietują się i wabią. Jedne z nich uprawiają właśnie tę swoją „końską miłość” i jest to w jakimś sensie piękne. Niechętnie odwracam wzrok. A jeszcze najdą mnie, nie daj Boże, karygodnie grzeszne, niepoprawnie sprośne myśli.

Albo te ptaki. Fruwając swawolnie i beztrudnie, bez trudu przekraczają ograniczony, zamknięty skrawek „mojego” nieba. Latają sobie wolne i spokojne, mając gdzieś na wypadek zimna, czy zmroku swoje domy, swoje gniazda. Zachowują się swobodnie i czują się bezpieczne, bo są w gromadzie, są razem. Tylko ja czuję się taka opuszczona, samotna i bezsilna. Jak ptak, który wyleciał z gniazda i który się zgubił.

Serpentyna złowrogich myśli przewija się w mojej jaźni, coraz bardziej ją oplatając i zacieśniając się aż do bólu. Zapytuję się i ciągle wątpię, czy mój powrót do domu jest potrzebny, czy ma jakikolwiek sens. Ptak by pofrunął do swoich piskląt, nie zostawiłby ich samych w gnieździe, a ja? Mam przecież dzieci, bardzo kochane, udane. Coś mi wszyscy ostatnio wciąż o nich przypominają, perswadując, że to dla nich powinnam być zdrowa, dla nich żyć. Tak jakbym sama nie była o tym przekonana lub takie sprawiała wrażenie.

Och, jakie to wszystko zagmatwane, trudne. Ja przecież usiłuję uwierzyć, że jestem moim dzieciom potrzebna, że jeszcze mogłabym im coś z siebie dać. Tylko że zdarza się, choćby jak teraz, że nadchodzi chwila zwątpienia, kiedy poddaję się uporczywej myśli, że one beze mnie byłyby może szczęśliwsze, a już na pewno spokojniejsze. To przecież wyłącznie za moją sprawą, wskutek moich buntów, niepokoi i żalów zbiera się w rodzinie całe zło. I moje dzieci cierpią. Ja to wiem. Może więc już lepiej ustąpić i odejść. Tylko jak to przeprowadzić? Tylko jak...?

Poczerniałe niebo za szybą jest jak moje myśli, chmurne, zimne, zwiastujące gołoledź. Jesień nieunikniona, wypierająca bogactwo lata i wigor świeżej wiosny to jak moja młodość, która już przeminęła. Opadłe liście mogą być symbolem bezużyteczności. Ogołoczone gałęzie drzew to

opuszczenie, samotność. A brunatna ścieżka tak chyba krótka i nieciekawa jest jak to moje głupie, pokielbaszone życie. Ckliwe banały, kiczowate metafory. Zgoda. Jestem beznadziejna i nic głębszego nie potrafię z siebie wykrzesać. Tylko na tyle mnie stać.

Podnoszę się z fotela. Próbuję się otrząsnąć, choć trochę zmobilizować. Czuję się fatalnie. Ot i do czego prowadzi takie wyglądanie przez okno. Może i lepiej, że wjeżdżają właśnie z kolejną, trzecią już tego dnia kropłówką.

* * *

Muszę jednak faktycznie ruszyć się z tego pokoju, bo inaczej naprawdę tu jeszcze zwariuję. Łóżko odpycha, ściany przytłaczają, łapię się na tym, że gadam sama do siebie. Żadnej więc poprawy, wprost przeciwnie, zdecydowane pogorszenie, ewidentny regres.

Tylko nie wiadomo, czy metody leczenia szwankują, czy też ze mnie jest aż tak trudny, zagmatwany przypadek. Tutejsi specjaliści dużo mówią o cierpliwości. Dobrze sobie. Takie rady mogą zachować dla siebie. Zresztą z nimi nie ma problemu. Są bardzo spokojni i cierpliwi, znajdując jak najbardziej normalne, że ja normalna nie jestem.

Wychodzę, a właściwie wymykam się z mojej indywidualnej celi. Najpierw bardzo ostrożnie, potem coraz śmielej posuwam się długim korytarzem rozwidlającym się u szczytu na dwie strony.

Gabinet medyczny znajduje się dokładnie na wprost, tak więc gdziekolwiek się idzie, trzeba koło niego przejść. Poznawszy już trochę tutejsze mechanizmy, jestem święcie przekonana, że takie właśnie jego usytuowanie jest jak najbardziej przemyślane i celowe. Tu nic nie jest przypadkowe. Pomysły architekta a nawet dekoratora zostały podporządkowane wiadomej funkcji, jaką miał pełnić konstruowany przez nich ośrodek. Przetrzymanywianie ludzi chorych na głowę, typów niepczytalnych, często groźnych, to ci dopiero budowlano-medyczny szkopuł.

Dom wariatów: kraty w oknach, drzwi bez klamek, przysłowiowe mydło na łańcuchu. Znamy te rzeczy. Na samą już myśl przejmuję nas niesmak i zgroza. Jednak one istnieją. Jako studentka pedagogiki miałam okazję zwiedzać takie zakłady w Polsce. Teraz jako pacjentka znalazłam się tu.

W kraju w czasach komuny życie nikogo nie rozpieszczało, to też i wariatom za lekko nie było. Ośrodki, w których ich umieszczano była to najczęściej tak zwana bida z nędzą. Sceneria i relikty z końca minionego wieku. *C'est la vie*, jak mówią Francuzi. Przykre chociaż prawdziwe.

Natomiast tu, wiadomo, Francja – elegancja: dostatek w połączeniu z estetyką, a do tego pewna dyskrecja, kamuflaż. Nie zmienia to jednak faktu, że i tutaj wszędzie pełno jest najróżniejszych zmyślnych zabezpieczeń, tyle że nie są one aż tak bardzo rażące. Istnieją jednak, można je spotkać na każdym kroku i pewne, że jeszcze nieźle dadzą mi się we znaki.

Zbliżam się do oszklonego na całej szerokości gabinetu, drżąc w duchu, aby nie podpaść personelowi, którego jednym z odpowiedzialnych zadań jest trzymanie „spacerowiczów” na oku. Przechodzę bez pudła. W gabinecie odchodzi, zdaje się, jakaś poważniejsza interwencja. Widzę liczne białe fartuchy zgromadzone wokół leżącego na kozetce piżamowego delikwenta. Dobra nasza, posuwam do przodu.

Na deptaku pacjentów mało, bo jest to akurat pora sjeisty, a ci których mijam, wcale nie zwracają na mnie uwagi. I lepiej. Z ciekawością rozglądam się na boki. Mijam po prawej niechybnie salon: stoliki, fotele, sztuczne kwiatki.

Myślę sobie – dobrze. Pełna kultura, mówiłam. Tyle że znów się chyba pomyliłam, bo z tą kulturą coś raczej nie tak. Patrzę i oczom nie wierzę. Pod jednym brokatowo wytapicerowanym meblem zauważam nagle ze zdziwieniem, oburzeniem, jak też z pewną dozą złośliwej satysfakcji chyba świeżo uwalone, ordynarne i szpetne z definicji kupsko. Trochę mnie zatkało, przyznaję. Początkowo obawiałam się nawet, że zaczynam mieć halucynacje wzrokowe. Tylko jeszcze tego mi brakowało. Dlatego też upewnienie się, że to żaden omam lecz bezsprzeczny, oczywisty fakt, zdecydowanie mi ulżyło. Za to coś jakby mniej zdecydowanie podejmuję przerwany rekonesans. Diabli wiedzą, co jeszcze może mnie zaskoczyć.

Rozglądam się dookoła już nie tyle wyłącznie ciekawie, co z rezerwą i bacznie. I faktycznie, nie ma lipy. Jest sala ze stołem pingpongowym, osobno sala gimnastyczna z różnorodnym sprzętem, jak również pomieszczenie do uskuteczniania terapii chyba plastycznej, bo pełno w niej zapewne wysoce artystycznych wytworów. Na widok malowidła przedstawiającego ogromnego czarnego z zielonymi ślepiami nietoperza aż cofam się na dobre dwa kroki. Inne obrazy i rzeźby też raczej mocne w ekspresji. Ekspozycja zdecydowanie w swym wyrazie koszmarna. Nie wiem dlaczego nasuwa mi się wspomnienie wstrząsającego wrażenia, jakie zrobiła na mnie widziana przed laty w Zakopanym wystawa prac Jana Hasióra. Czyżby on też miał coś nie tak?

Wewnętrznie zbulwersowana, pokryta gęsią skórką, z ulgą opuszczam przybytek artystów, angażując się w dalsze partie pawilonu. Jest sala telewizyjna. Fajnie, posiedzę sobie, pooglądam. Leci chyba nawet jakiś film.

Przytulny półmrok, ciepłko. Na dworze silny wiatr i jednostajny, brudno szary jesienny deszcz. Zanurzając się w fotelu, wypatrzywszy zawczasu dwie duże popielniczki, z przyjemnością zapalam papierosa.

I proszę, jaki komfort: wygodny fotel, miękkie kapcie, głupkowy program w telewizji, a do tego wśród ludzi. Zupełnie nieźle, a ja głupia tak się sama w tym pokoju kisiłam. Teraz na pewno poczuję się lepiej.

Jak to złudzenia są dobre na wszystko. Znow dałam się nabrać, ale po kolei.

Będąc palaczką, korzystam z popielniczki. Przysuwając teraz do siebie jedną z nich, ze zdziwieniem stwierdzam, że cała podłoga wokół usłana jest niedopałkami, a elegancka wykładzina wręcz upstrzona śladami gaszonych na niej papierosów. Pety są wszędzie. Nawet z fotela, na którym siedzę strząsam ze trzy. Chociaż może to jeszcze o niczym nie świadczy, pełna dobrych chęci próbuję uspokoić się w duchu. Potoczna jest niepochlebna opinia o Francuzach jako strasznych flejtuchach. Chyba, żeby to było coś więcej niż nieszkodliwy, prosiakowaty sposób bycia? Teraz już wiem, że nawet najbardziej zwariowanej ewentualności nie wolno mi zignorować. Wszystko co zwariowane może tu pasować jak ulał.

Głupstwo, mogę siedzieć i w brudzie. Postanawiam pety zignorować i mimo wszystko obejrzeć film.

Myślę sobie, jestem wśród ludzi, trochę kurtuazji nie zawadzi. Dobrze byłoby też nawiązać jakiś kontakt. Głosem odpowiednio ściszym, dyskretnie stonowanym, a także z czarującym uśmiechem zwracam się do siedzącej obok sąsiadki. Jestem trochę spóźniona, pytanie zatem o tytuł filmu i zaawansowanie akcji wydaje się być jak najbardziej na miejscu. W oczekiwaniu na odpowiedź przysuwam się bliżej, aby naszą konwersacją nie przeszkadzać innym widzom. Cisza. Odpowiedzi nie ma żadnej.

Co tam, tłumaczę sobie z lekkim jednak rozczarowaniem, może ta pani nie ma akurat przyjemności ze mną porozmawiać. Zdarza się, trudno. I dałabym pewnie za wygraną, ale pomyślawszy, że być może nie zrozumiała mojej koślawej francuszczyzny, zwracam się do niej grzecznie jeszcze raz. Przyglądam się teraz już zupełnie z bliska mojej potencjalnej rozmówczyni i nagle, jak za sprawą iskry, ostrego impulsu dociera do mnie obraz tej postaci, a w szczególności wyraz twarzy, w jego całym nieprawdopodobnie zdeformowanym kształcie. Zdaję sobie sprawę, że oczy sąsiadki są zupełnie nieprzytomne, nieobecne, zawieszane gdzieś w próżni, zapuszczone, jak to się mówi, w siną dal, a cała twarz wykrzywiona w jakimś niesamowicie rozpaczliwym grymasie, jakby działa się jej, nie wiadomo jaka krzywda, jakby się miała za chwilę głośno i żałośnie rozplakać.

A ona sobie tu siedzi i niby ogląda telewizję. Ale cyrk, nieźle się nabrałam. Ja z nią do

rozmowy, a przecież to zupełny odlot. Nie sądzę bowiem, aby ta pani dostrzegła cokolwiek, czy kogokolwiek. Być może można by spróbować ją obudzić na zasadzie: „ku-ku”, „ku-ku”. Chociaż nie jestem pewna, czy i to by się na coś zdało, a zresztą po co?

Nic, mówię sobie i siedzę dalej. Czuję jednak, że cała ścierpłam i jest mi trochę niedobrze. Żałuję też mocno, że wybrałam fotel akurat przy tej telewizyjnej maniaczce.

Akcja filmu rozwija się burzliwie. Zdaje się, że chodzi o wyjątkowo złośliwy zbieg pechowych okoliczności i zdarzeń. Coś jak najbardziej z życia, przymierzam się więc do odbioru. Dla otuchy zapalam kolejnego papierosa. Siłą woli skupiam całą uwagę, starając się skoncentrować wyłącznie na ekranie. Aż tu nagle ktoś wchodzi z impetem i na pewniaka. Chwilę kontempluje nadawany program i widać coś mu nie pasuje, gdyż podchodzi do aparatu i przerzuca kanał na inny. Po czym zasiada jak do oglądania, a za kilka minut podnosi się i wychodzi. Pozostajemy przy programie, który on nastawił. Myślałam nawet, że może to ktoś z obsługi, w cichości ducha odżałowałam końcówkę interesującego mnie filmu. Za chwilę jednak identyczna sytuacja, dokładnie ten sam numer się powtarza. Inny osobnik też zmienia kanał i też za moment wychodzi. I jeszcze ktoś i jeszcze raz, a telewizzowiec nic. Któryś tylko głośno puścił gazy, ale za to natychmiast rzucił grzeczne „*pardon*”.

O co tu chodzi? Nie mogę się jakoś połapać. Dlaczego nikt nie protestuje? Bo przecież ja nie będę chyba się wtrącać. Jestem tu nowa, zaledwie obserwator i świadek. Poza tym niech ten mierny cyrk rozgrywa się beze mnie, czuję się w nim jak nieproszony gość.

Już na odchodnym przyglądam się uważniej otaczającym mnie ludziom. Widzę twarze nieobecne, tępe, bez wyrazu, dziwne i niesamowite w swojej ekspresji, jakby były od wewnątrz zdeformowane jakąś tajemniczą siłą, podobnie jak w przypadku mojej sąsiadki z boku.

A więc to tak. Kolejne nieuchronne rozwianie się naiwnych złudzeń. Oczekiwałam możliwości miłego spędzenia czasu, okazji do nawiązania kontaktu, łącznie z kulturalną wymianą zdań. Niepoprawna optymistka, która jak zwykle dostaje w kość.

Jak mogłam wcześniej tego nie zrozumieć, że tu nikt, absolutnie nikt nie przychodzi, aby oglądać telewizję w normalnym tego słowa znaczeniu i to bez względu na emitowany program. To co dzieje się na ekranie, zupełnie nikogo nie interesuje, nie obchodzi. Oni tu przyszli z nawyku, oglądali pewnie telewizję w swoim normalnym, jeszcze zdrowym życiu. Albo przyciąga ich wysyłający kolorowe sygnały aparat lub być może jest to najbardziej naturalna chęć bycia wśród ludzi. Kto ich tam wie? W każdym razie nawet jeśli przesiadują tu dłużej to nie

po to, aby obejrzeć jakiś program. Tego co dzieje się na ekranie w ogóle nie śledzą. Zapatrzeni są zupełnie gdzie indziej, gdzieś w głąb siebie i widzą pewnie coś innego. Retoryczne pytanie – tylko co?...

* * *

No, oglądania telewizji będę miała zapewne na razie dosyć. Na długie godziny zamykam się w pokoju. Po tym co przeżyłam na dzisiejszym spacerze, można traktować, że się w nim po prostu chronię. Dojdzie jeszcze do tego, że te zabite cztery ściany staną się dla mnie błogosławieństwem, ucieczką. Byłby to kolejny paradoks. Normalne, w tak świrowatych warunkach paradoksom nie ma przecież końca.

Wychodzę dopiero późnym wieczorem i to też tylko dlatego, że muszę. Przebrzmiał gromki okrzyk – lekarstwa! Trzeba więc wziąć swą szklankę i posłusznie udać się na zbiórkę. Do tej pory otrzymywałam medykamenty w pokoju. Teraz mnie pouczono, że na umówione hasło mam się zgłaszać jak wszyscy pod gabinet. Pewnie stwierdzono, że ponieważ i tak nie śpię i wciąż jestem na chodzie, zresztą wbrew wszelkim przewidywaniom, nie ma więc sensu, by jeszcze koło mnie skakać. Po lekarstwa mogę pofatygować się sama.

Podchodzę więc pod gabinet. W drzwiach za małym kontuarem panoszy się pielęgniarka. Przed nią na stoliku stoi specjalne, bardzo zmyślne w konstrukcji, poszufladkowane pudło. Z odpowiedniej szufladki odpowiedniemu pacjentowi wygarnia ona odpowiednie lekarstwa. Wspaniała organizacja pracy.

A pacjenci są cichutcy, skupieni. Stoją przykładowie jeden za drugim, kurczowo ściskając szklankę. Żadnego przepychania się, żadnych uwag. Są jak te barany tępe i zniewolone. Na polskie warunki nie do pomyślenia, taka to grzeczna, równa kolejka.

Podchodzą więc po kolei, odbierając rację swoich prozków w garstkę i swoją porcję kropelek do szklanki. Gdybym nie obawiała się popełnienia świętokradztwa, powiedziałabym, że jest to trochę jak przyjmowanie Komunii, jak Święty Sakrament. Bo i atmosfera jest jakaś podniosła, w każdym razie strasznie na serio. A wśród tych, którzy jeszcze nie „dostąpili” narasta stan podnieconego napięcia, egzaltowanego oczekiwania. Upieram się przy porównaniu z mistyczną ekstazą. Jestem świadkiem celebrowanego z namaszczeniem nabożeństwa. Nie pozostaje nic innego, jak walenie się ze skrucną w piersi i z mocnym postanowieniem poprawy przyjęcie z radosnym sercem wyznaczonej pokuty. Nadstawiam łeb. Przychodzi moja kolej.

Staję przed pielęgniarką, usilnie starając się uniknąć podpatrzonego u innych wyrazu

wniebowstąpienia. Nawet nie wiem, czy mi się to udaje, bo sam nastrój tutaj jest mocny, zagęszczony, a ja zawsze byłam bardzo podatna na nastroje. Otrząsnęłam się jednak trochę i stanęłam na bardziej ziemskim gruncie, gdy po otrzymaniu już swojej pajdy chciałam oddalić się od stoliczka-wózka, za co zostałam ostro i wcale nie nabożnie skarcona. Znanym mi już skądinąd bezapelacyjnym tonem poproszono mnie o natychmiastowe zażycie lekarstw, na oczach pielęgniarki przy ołtarzu. Nie przewidziano widać w tym obrządku wagi samotnej kontemplacji. Więcej, oskarżono mnie nawet o zamyślanie przebiegłych sztuczek. Że niby tylko zamarkuję, a lekarstw nie przyjmę, pozbywając się ich przy najbliższej okazji. Pomysł nie byłby może i taki głupi, mając na uwadze dotychczasową skuteczność aplikowanej mi kuracji. Pielęgniarce jednak żadnych zastrzeżeń nie zgłaszam, rozwodzę się za to o potrzebie wzajemnego zaufania, o samoświadomości i własnym interesie. Ona na to jak na lato. Wciska mi w gębę garść pastylek, kładąc je popić jakimś gorzkim i śmierdzącym świństwem. Mało się nie udławię i nie zakrztuszę, taka jest obcesowa, bez pardonu. Przelykam wreszcie i tylko patrzę, czy od razu na miejscu szlag mnie po tym wszystkim nie trafi. Albo apopleksja, z nerwów oczywiście. Strasznie nie lubię, jak ktoś traktuje mnie jak oszustkę i mnie opieprza, a do tego niesłusznie.

Na uspokojenie najlepszy jest spacer. Przejdę się trochę przed snem. Wprawdzie wielką piechurką z natury nie jestem, ale mimo wszystko przesadnie nieruchawe życie, jakie tu prowadzę, zaczyna mi się mocno dawać we znaki. Bezustanne i bezczynne przesiadywanie w pokoju nawet dla leniwego piecucha i domowego gada jakim jestem, staje się wręcz nie do wytrzymania. Tak bardzo chciałabym móc gdzieś sobie wyjść, po prostu się przejść. Ale co zrobić? Na mocnych nie ma mocnych. Pozostaje tylko modlić się o anielską cierpliwość i póki co zadowolić się wewnętrznym korytarzowym bulwarem. Zaliczę w tę i z powrotem kilka rundek, dopiero się rozruszam i dotlenię. Może nareszcie będę mogła spać.

Takich jak ja amatorów małego spacerku przed snem jest wielu. Korytarze są zaludnione, tyle że prawie każdy przemierza tę wieczorną promenadę sam. Ja wprost przeciwnie, mimo ewidentnego niepowodzenia w sali telewizyjnej, wciąż pełna jestem jak najlepszych chęci, aby z kimś porozmawiać, zawrzeć jakąś interesującą znajomość. Zawsze byłam bardzo towarzyska, nie widzę żadnego powodu, aby teraz nagle to zmienić. Nie dziczeje się przecież z dnia na dzień.

Przyglądam się ludziom, których mijam. Oni na mnie nie patrzą. Za to ja obserwuję krytycznie, dociekliwie, zwracając uwagę już nie tylko na ich wygląd zewnętrzny, ich drogie przyodziewki i modne detale. Doświadczyłam już dzisiaj, jak samo powierzchowne spojrzenie

bardzo może zmylić. Drugi raz nie dam się oszukać. Teraz już oceniam również zachowanie się, sposób bycia napotykanymi ludźmi, lustrując wpatruję się w ich twarze.

Zaczyna się od razu ciekawie. Pierwszą osobą, którą mijam jest stara, bardzo nieproporcjonalnie zbudowana, cała jakby pokurczona kobieta. Przy bardzo niskim wzroście, karygodna nadwaga, za to nogi i ręce cienkie jak patyki. To Arabka. Wygląd ma okropny, jedna wielka kupa nieszczęścia. Malutkie, czarne, dziko rozbiegane oczy, zamiast nosa otwarta dziura dochodząca niemal do zapadniętych, bezzębnych ust. Widocznie miała jakiś wypadek. Dostrzegam jeszcze z przerażeniem, że poza brakiem zębów nie ma także jednego ucha. Huśtaniem, balansującym ruchem powolutku przesuwa się do przodu, coś tam do siebie bełkotliwie mrużąc. Przypomina mi okaleczoną wańkę-wstańkę. Strasznie mi jej żal, ale stanowczo i egoistycznie oceniam, że się absolutnie na moją koleżankę nie nadaje. Idę dalej i szukam dalej.

W kąciaku na podłodze w pozycji silnie skurczonej siedzi sobie młody mężczyzna. Ręce skrzyżował na piersi, nogi podkulił pod siebie. Ma bardzo miłą powierzchowność, bujne i zadbane, ogniste w kolorze włosy. Jednak widzę od razu, że i z nim nie uda mi się porozmawiać. Już ja znam dobrze i tę pozycję, taki wyraz twarzy i wygląd. Pełna serdecznego współczucia i szczerzej życzliwości moja pamięć natychmiast przywołuje mi na myśl głęboko upośledzone dzieci, z którymi przez kilka lat pracowałam w specjalnym opiekuńczym zakładzie. On też, podobnie jak one będąc zmęczone lub czymś zdenerwowane, kiwa się nieustannie i miarowo by od czasu do czasu zgodnie z jakimś wewnętrznym rytmem mocno, z całej siły uderzyć głową w ścianę. Przy tym charakterystyczne wyciszone, lecz jakże żalosne zawodzenie, skomlący jęk wydawany odruchowo, jak gdyby mimo woli, a zaadresowany nie na zewnątrz tylko gdzieś w głąb siebie. Patrząc na młodego, przystojnego chłopaka i serce ściska mi się nad nim z żalu. Mocne to i niesprawiedliwe. Poruszona i przygnębiona ruszam dalej.

Nareszcie coś się dzieje. Po przeciwnej stronie korytarza widzę grupkę osób prowadzących najwyraźniej żywą dyskusję. Nie słyszę jeszcze słów, dostrzegam tylko ich przekonujące gesty. Natychmiast decyduję, że przyłączę się do nich. Posłucham chociaż o czym rozmawiają. Muszę przełamać tę dziwną nieśmiałość, a raczej obawę przed nawiązaniem nowych kontaktów. Nie mogę zachowywać się jak zahukana gąska. Nie spędzę też całego tu pobytu zupełnie sama. Wystarczy zrobić tylko pierwszy krok. Trochę podobnie jak na jakimś wyjeździe czy wczasach. Początkowo sztywne kurtuazje i dystans, potem rąsiami-rąsiami, pierwsze pogaduszki, małe wspólne

picie. Lody zostają przełamane, a później to już długie spacery, wesołe plażowanie, przegadane zwierzeniami noce i wielka wczasowa przyjaźń gotowa.

Podchodzę, zbliżam się do dyskutującego grona. Staję jednak troszkę na uboczu, żeby się tak od razu nie narzucać, nie wpychać.

I jest grupka ludzi. Stoją skupieni przy wysokiej, wielce dekoracyjnej palmie. Do mych uszu dochodzą pojedyncze, głośno wypowiedziane przez nich słowa. Cała scenka jest też bardzo animowana. Dyskutanci są nad wyraz podnieceni, każdy żywo gestykułuje, przekonując widać o swoich racjach. Przyglądam się im, mocno już zaintrygowana. O czym też oni tak rozprawiają, czyżby się ze sobą kłócili?... Patrzę, wsłuchuję się, oczom i uszom nie wierzę. Do diabła, przecież to wszystko nie ma najmniejszego sensu. Znowu jakaś szopka, mistyfikacja, żalony wariacki cyrk. Tu każdy mówi do siebie albo być może do bliżej nieokreślonego rozmówcy. Gesty tak żywe i z pozoru tak przekonujące nie są nawet w najmniejszym stopniu adekwatne do wyrażanych treści. Same w sobie, absurdalnie oderwane od logicznego kontekstu, stanowią spektakl szokujący w odbiorze. Także poszczególne wypowiedzi są chaotyczne, bez sensu. Oczekiwałam argumentów, osądów, a w bezpośredniej konfrontacji stwierdzam zaledwie strzępki zasłyszanych gdzieś zapewne kwestii, kilka stereotypowych zdań. Zresztą sama już nie wiem, może to z moim odbiorem jest coś nie tak. Zauważyłam nawet, że mój słabiutki francuski, ostatnio przysparza mi znacznie więcej problemów. Nie mnie więc osądzać przekazy tych ludzi. Są może tylko trochę dziwne, nic więcej. Nie znam rozmówców, wtargnęłam nagle pomiędzy nich jak intruz. Nie ja jestem ich adresatem. Skąd mogę więc wiedzieć, o co im chodzi?

A „dyskurs” toczy się dalej. Najwyraźniej nikt tu nikomu nie przeszkadza i wszyscy zdają się być w pełni usatysfakcjonowani, zadowoleni. Ale teatr, o rany! Jak nic zaraz sama się do niego podłączę. Wejdę odważnie i dumnie na podest, na niewidzialne podium i przepowiem sobie na przykład chociażby skromny mój życiorys. Można tak wywalić z siebie wszystko, co leży na wątrobie, bez żadnych skrupułów i zbędnego owijania w bawelnę. I tak nikt nie słucha, za to co za ulga. Grupowa psychoanaliza na wariackich papierach. Może to też jest jakiś sposób, czy ja wiem?

Czuję się dziwnie. Nie, to za słabo powiedziane, czuję się podle. Sama już nie wiem, gdzie się udać, co robić. Aż tu nagle z pobliskiego pokoju wybiega, krzycząc straszliwie na wół rozebrany młody chłopak. Tuż za nim skocznym truchtem podąża pielęgniarka. Wszystko teraz rozgrywa się żwawo i z dreszczykiem, jak na miernym gangsterskim filmie z lat trzydziestych.

Krwawa wendeta, człowiek z mafii i te rzeczy. Tyle że tu nie Hollywood, lecz zwykły przytułek dla nieszczęśliwych czubków. Jakby nie było, czuję się jak na filmowym planie.

Młodzieniec w lekkich, miękkich podskokach zmierza wprost ku rozgadanej gromadce. „Dyskusję” jak nożem uciął, a młody gniewny prezentując butnie obie zaciśnięte pięści, przypomina wszystkim, jakim to niezrównanym jest bokserem. I nic to że jest Marokańczykiem. Biada wszystkim, którzy Arabów nie kochają. Już on ich teraz nauczy. Zaraz zobaczą, jaki jest mocny i w walce skoncentrowany. Na ringu jest najlepszy. Musi się tylko trochę rozgrzać, a pokaże, co potrafi i tu.

„Bokser” się rozgrzewa, napięcie wzrasta. „Dyskutanci” cofają się w sam kącik sali, zbijając się w ciasną gromadkę drżącą w lęklwym oczekiwaniu na zapowiadający pierwszą rundę złowieszczy gong. Wyglądają teraz jak stadko domowego ptactwa śmiertelnie wystraszonego przez chytrze skradającego się lisa. A Marokańczyk szaleje. Krzyczy coraz zacieklej, dobitniej. Wokół niego bezradnie krąży pielęgniarka. Chłopak mówi wyraźnie i wystarczająco głośno, że nawet ja mogę go zrozumieć. To znaczy poszczególne słowa lub nawet zwroty, bo dalej, o co mu w ogóle chodzi, jaki jest jego problem to już nie bardzo mogę się połapać. 88888888

Na pewno buntuje się, że na kolację znów podano wieprzowinę. I było to, krzyczy z przekonaniem, świadomie złośliwe, wiadomo bowiem, że wyznawcy Mahometa brudnego świńskiego mięsa nie jedzą. Teraz on jest głodny, ma dosyć takiego traktowania, a poza tym ma wszystkich obecnych w czterech literach. Tu macha piąchą przed najbliższymi nosami i bezapelacyjnie zapowiada, że się za chwilę okrutnie zemści. Agresja się wzmacnia. Zagrożone nosy cofają się w popłochu, a zbuntowany gładko i bezkolizyjnie z tematu o schabowym przerzuca się na zagadnienia filozoficzno-mistyczne. Opowiada o swoim narodzeniu i jak to połknął w trakcie tego aktu język własnej matki, za co teraz słusznie pokutuje i my wszyscy będziemy pokutować razem z nim. Musi też widać cierpieć na ostre kompleksy rasowe, gdyż słowa takie jak rasizm, szowinizm, faszizm z Hitlerem włącznie padają co i rusz. Wspomniał też coś chyba o apartheidzie w Afryce Południowej. Szkoda, że nie jestem w tej dziedzinie zbyt mocna.

Chwila oddechu i nowy napad furii skierowany na zbitą gromadkę sterroryzowanych pacjentów. Padają coraz mocniejsze argumenty, nastrój przerażenia i zgrozy coraz bardziej się zagęszcza. Wszyscy modlą się pewnie w duchu, by się stąd wyrwać, uciec. Nikt się jednak nie rusza. Obserwatorzy, a raczej uczestnicy spektaklu stoją jak zahipnotyzowani, jakby nie byli

w stanie zrobić najmniejszego kroku. Mnie samej ciarki przechodzą po plecach, patrząc na tego dotąd tylko zwariowanego, ale nieszkodliwego sportowca, zamieniającego się teraz w oszalałego, nawiedzonego proroka.

Właśnie złowieszczo urąga zebrany, powołując się na kogoś tam w górze, którego nazywa Wielki. To Wielki nadszedł na niego Szatana, aby mógł zabijać i on będzie zabijał, taką ma władzę i moc. A zacznie dzisiejszej nocy. Tu z groźnym grymasem na twarzy, zdecydowanym ruchem wskazuje jedno z ogłupiałych ze strachu „ptasząt”, na które zapadł już wyrok. Ptaszyna się cofa, chce wcisnąć się w głąb gromadki, szukając w niej ochrony i pomocy, lecz wszyscy jak na umówione hasło rozstępują się, odsłaniając ją na pastwę rozszalałego „Proroka”.

A ten dalej. Podnieca się coraz bardziej, o ile to w ogóle jest jeszcze możliwe. Twarz purpurowa, nabrzmiała, oczy nabiegłe krwią. Już ledwo mówi, prawie chrypi, chyba brak mu oddechu. Jednak nie ustępuje i zachłystując się własną elokwencją, dobitnie przekonuje o biegłej znajomości aż ośmiu języków, co jest przecież oczywistym dowodem, że Zły go nawiedził, że jest w nim. I niech sobie wołają egzorcystę. Ma to w czterech literach. Tu wymowny gest. A i tak zdąży wszystkich pozabijać. Ostatni raz uprzedza, że zaczyna od dziś.

I faktycznie, własnym uszom nie wierzę, lojalnie jednak muszę przyznać, że ten szaleniec wcale nie blefuje, gdyż zaczyna teraz wrzeszczeć już nie tylko po francusku, ale i w jakichś innych językach też. Poliglotka ze mnie raczej żadna, potrafiłam jednak w tej całej mieszaninie rozróżnić język angielski, włoski i hiszpański. Pozostałych czterech nie znałam.

Pielęgniarka oddaliła się gdzieś w pośpiechu. Pomyślałam, że po zastrzyk. Osobiście przyniosłabym raczej niezawodny kaftan bezpieczeństwa. Zbita w kącie sali gromadka pacjentów trzepotała się w bezbronnym lęku, w paraliżującym strachu, a „nawiedzony” osiągał chyba szczyt, widać niezmiernie wyczerpującej furii, gdyż wyglądał okropnie. Zapłuł się cały, pokrył gęstym potem, a węzły żył tak mu nabrzmiały, jakby miały za chwilę pęknąć lub przebić skórę, a „nawiedzonego” trafić apopleksja. Ale on kontynuował niezmiernie swój wielki monolog, który właściwie był jednym histerycznym wrzaskiem. I znów było o potępieniu i pokucie, o wszechmocy, zemście, o krwi zwierząt, a nagle ni stąd ni zowąd o przebiegu i wynikach jakiegoś ważnego bokserkiego meczu. Tu znów poczuł w sobie sportowca, przyjął odpowiednią postawę i dłuższy czas perorował już tylko na ten temat. A wszystko z autentycznymi pozami zawodowego boksera: zaciśnięte pięści, ruchy rąk jak przy zadawaniu bądź odbieraniu ciosu, poprawna kontra i osłona. Praca nóg też, bez dwóch zdań, sportowa. Przy lekkim ugięciu kolan

wykonuje typowe kogucie podskoki, o ile uważnie spojrzalam na zegarek, już dobre dwadzieścia minut.

Cholera, może nawet był tym bokserem. Chyba niemożliwe, żeby wariat aż tak dobrze potrafił wczuć się w rolę. Zresztą to wszystko jest niesamowite, cały ten spektakl, oceniając zarówno numer mistyczny jak i numer sportowy. Oba zostały zaprezentowane nie tylko z ogromnym zaangażowaniem, bezsprzeczną siłą ekspresji, jak i wysokim kunsztem aktorskim, ale i z energią godną błyskawicy, z furią huraganu. Nigdy bym nawet nie przypuszczała, że zwykłego wariata aż na tyle stać.

Wraca pielęgniarka. Zamiast strzykawki trzyma w dłoniach spory kawał bagietki i kilka małych pojemniczków z dżemem. I tu dziw nad dziwy. Tak jak na zjadliwą kobrę działa magiczny, urokliwy dźwięk fletu, tak na naszego „Proroka” i „Boksera” w jednej osobie zadziałały powyższe rekwizyty. Otrzepuje sobie ręce. Raz jeszcze, ale już znacznie słabiej przypomina, kto jest dzisiejszej nocy skazany na nieodwołalną egzekucję. Po czym okręciwszy szyję po fachowemu rącznikiem, schodzi dostojnie z ringu, by dumnym krokiem zdobywcy złotego medalu oddalić się w kierunku własnej przebieralni. Nie czeka nawet na oklaski.

Wśród domowego ptactwa odetchnięto. Chociaż „naznaczony”, a padło na małego, zasuszonego staruszka, chyba się nawet zsiakał, bo cała nogawka jego piżamy jest najwyraźniej mokra. Ale ogólnie ogromna ulga. Jeszcze tylko chwilkę każdy do siebie o czymś pogdakał i całe towarzystwo rozeszło się powoli po swoich kurnikach.

Ja też postanawiam zakończyć ten mający służyć jako wypoczynek i relaks wieczorny spacer przed snem. I pomyśleć, że lekarze upierają się jeszcze, wmawiając nam tępakom, że to sama higiena i zdrowie. A niech ich. W głowie mi huczy, czuję się jak po wyjściu z kina, w którym pomyłkowo obejrzałam pośledni, za to wykańczający nerwowo film. Jestem kompletnie roztrzęsiona, dygoczę. Może to te końskie lekarstwa tak na mnie działają? Trzeba będzie przedyskutować z medykiem nabrzmiewającą kwestię mojej i tak już zaburzonej równowagi, w tych warunkach tylko jeszcze bardziej narażonej na szwank. Za wszelką cenę muszę się bronić, bo mnie tu wykończą jak nic.

Stan bliski nerwowego załamania, w jakim się znajduję, widać tylko jeszcze dodaje mi uroku, gdyż w drodze powrotnej, o ile można to tak traktować, mam u płci przeciwnej jawne powodzenie. Jestem bowiem, jak to się dawniej ładnie mówiło, konkietowana aż przez dwóch młodych panów.

Ten pierwszy podchodzi do mnie, bardzo grzecznie przeprasza i wskazując na mojego przed chwilą przypalonego papierosa, wciąż bardzo grzecznie choć usilnie prosi, abym go zgasila, bo... bo to niebezpieczne. Przemawia do mnie tonem niemal pieszczotliwym, czułym, trochę jak zaniepokojona matka do zagrożonego dziecka, a brzmi to mniej więcej tak:

– Nie rób głupot z ogniem, uważaj kochana. Wyrzuć papierosa. Pożar to str...a...a...a...szenie niedobra rzecz. Obiecujesz, że będziesz uważać? Zgaś go lepiej, tak bardzo, bardzo cię proszę. Ogień to niebezpieczna rzecz.

I tak w kółko. Ledwie go rozumiem, tak niewyraźnie mówi, wręcz bełkocze, choć słowa wymawia bardzo, ale to bardzo powoli. Jest dużo wyższy ode mnie, próbując zaglądać mi w oczy, zgina się niemal wpół. Przymila się do mnie, łasi jak milusiński kot. Jego ruchy są nieskoordynowane, powiedziałabym kołowate, niepewne. Mimo że usiłuje dosięgnąć mego papierosa, błądzi tylko nieporadnie rękami i nie udaje mu się nawet mnie dotknąć. Zresztą na szczęście, bo jak nic zaczęłabym histerycznie krzyczeć. Na odchodnym jeszcze mi macha przyjaźnie ręką na pożegnanie. W jego spiekłych, spierzchniętych wargach tkwi zapalony papieros.

Już przed samymi drzwiami pokoju podchodzi do mnie drugi młody człowiek i równie grzecznie jak poprzedni zapytuje, czy nie mogłabym mu odstąpić lub tylko pożyczyć kilku małych orzeszków. Kilkakrotnie powtarza swoje bzdurne pytanie, ponawia nedorzeczną prośbę i nawet zaczyna się już niecierpliwić. A moja głowa gorączkowo pracuje – o czym on mówi, czego chce, na cholerę mu jakieś orzeszki? Próbuję go zbyć, częstując papierosem, ale jeszcze tylko bardziej go tym rozeźlam. Głosem pełnym wyrzutu i stanowczej dezaprobaty, z dosłownym uporem maniaka klaruje mi swoje. Przecież mi tłumaczył, jemu nie o papierosa chodzi. Wyraża się, ma nadzieję, dość jasno. Potrzebne mu są ze trzy, no choćby dwa zwykłe, małe orzeszki i to koniecznie i natychmiast. Dlaczego go nie rozumiem, dlaczego nie chcę mu pomóc? Przecież on tak się stara, aby być grzeczny i miły, mogłabym mu więc te trzy głupie orzeszki dać.

Nie zrażając się wcale moim głupkowatym zdziwieniem, kontynuuje bez końca. Wciąż w tym samym pojękliwym stylu, chwilami uprzejmie, częściej natarczywie. Myślałam, że się już z tego nie wywinę. Zupełnie nie wiedziałam, jak się go wreszcie pozbyć. Za to on przedłużając jeszcze konwersację, zwraca się do mnie z delikatną pogroźką, żebym tylko, broń Boże, nie powtórzyła o jego prośbie glinom, bo znów go jutro zamkną i patron też o wszystkim się dowie. Na pewno nie da mu podwyżki, a to bardzo ważne, bo on ma dwoje małych dzieci. I tu wyciągnął

zdjęcie. Bardzo się przy tym wzruszył.

Ja też jestem bliska łez, nerwowo pociągam nosem, właściwie rozkleiłam się zupełnie. Na nic już nie zważając, wpadam do pokoju jak bomba. Zatrząskuję za sobą drzwi. To się udziela. Sama zachowuję się teraz jak wariatka. Podstawiam pod próg wielki fotel, mając w zamiarze zaparcie nim drzwi, by odeprzeć każdy ewentualny pochodzący z zewnątrz atak. Z duszą na ramieniu sprawdzam jeszcze sumiennie, czy aby kogoś nie ma w ubikacji i w łazience. Uff, jestem nareszcie zupełnie sama. Ale nic mi nie lepiej. Ja się chyba obalę. Coś dusi mnie w gardle, trzęsę się w sobie, cała chodzę. Łba mało mi nie rozsadzi. To wszystko jest za mocne, zbyt drastyczne. Ja tego nie wytrzymam. Wszystkie widziane obrazy, odebrane wrażenia cisną się teraz gwałtownie, coraz natarczywiej atakują świadomość, napierają na wyobraźnię.

Prawdziwa paranoja. Co ja tu robię? Jak się tu w ogóle znalazłam? To jawne nieporozumienie, które trzeba jak najszybciej sprostować. Myślałam – depresje, stan przykry, ale przejściowy, zaburzenia emocjonalne to wszystko. I gdzie jestem? Przecież ci pacjenci tutaj to ciężko chorzy psychicznie ludzie. Najzwyklejsi wariaci. Określenie potoczne, niezbyt może uprzejme, za to niestety bardzo adekwatne. O rany, ale się wpakowałam. Jestem w domu dla obłąkanych. Co za absurd. Wzywam pielęgniarkę, lekarza, jeśli będzie trzeba to i samego dyrektora. Ja muszę stąd natychmiast wyjść!...

* * *

I musiałam dać za wygraną. Porażka była kompletna.

Dyskutowałam zaciekle z kilkoma z rzędu lekarzami o bezsensowności, a nawet ryzyku, więcej, niewątpliwym dla siebie zagrożeniu, którego się obawiam w przypadku dłuższego tu pozostawania. Jednak wskutek bombardującego kontrataku, raz jeszcze zważyłam w sobie i własne racje. Skapitulowałam na całej linii.

A jeszcze się dowiedziałam, że mam paskudny charakter i jestem wielce zarozumiała, bo uważam się za lepszą, zdrowszą od innych. Diagnozowanie poszczególnych jednostek chorobowych jest obowiązkiem i przywilejem lekarzy. Nie do mnie zatem należy roztrząsanie wyimaginowanego problemu, czy jestem we właściwym dla mnie ośrodku czy też nie. *Summa summarum*, żeby się niepotrzebnie nie rozwodzić, według kompetentnej i zbiorczej diagnozy w niczym nie różnię się od tych biednych osobników, którzy napawają mnie litością i zgrozą. Dobra nasza. W każdym razie wiem, na czym stoję, a to już jest zawsze coś.

Wyczerpana stoczoną walką rekapituluję sytuację. Robię to nieopatrznie, gdyż zwięzłe zdefiniowanie narzuconych mi warunków doprowadza mnie do rozpacz. Przeważenie, oburzenie, bezsilny bunt, te uczucia przepelniają mnie bez reszty. A są to uczucia destruktywne, wielce szkodliwe i ja o tym wiem. Bo też i sytuacja wygląda fatalnie. Rozwiano wszelkie moje złudzenia, nie pozostawiono mojej woli i decyzji żadnej furtki. Tak więc wyjście stąd na własne żądanie wykluczone. Natomiast co mnie czeka, to nieodwołalny, przymusowy pobyt tutaj, co do czasu trwania bliżej nieokreślony wraz z koniecznością podporządkowania się obowiązującemu reżimowi. Tylko tyle, bagatela. To już lepiej strzelić sobie w łeb.

Porażka jest bolesna. Nie mogę sobie poradzić z narastającym poczuciem upokorzenia i ewidentnej bezsilności. Będąc z natury zbuntowana i przekorna, pokazuję teraz co potrafię. Szantażem, bojkotem, arogancją, a w ostateczności nawet chamstwem odpowiadam na narzucony mi stan rzeczy. Nie przebieram w środkach i w myśl porzekadła: jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie, wysilam na maksa swą wrodzoną zresztą złośliwość i jak mogę, tak zatruwam personelowi życie, utrudniam to całe ich leczenie.

Przez trzy dni nie wychodzę z pokoju, nie zgłaszam się pod gabinet po lekarstwa.

Serwowane posiłki zostawiam nietknięte, niech widzą, że z desperacji przymrę im tu jeszcze głodem. Proszki i mikstury wypluwam, na ile to tylko możliwe przeszkadzam w trakcie zabiegów. Jestem złośliwa, oporna i krnąbrna. Każda interwencja personelu to kolejne starcie, konfrontacja wrogich sił.

Teraz to już naprawdę muszą mnie kontrolować, pilnować, ale sami mnie przyrównali do tych bezwolnych, groźnych dla siebie i otoczenia nieszczęśników. Podniecam się do walki, coraz bardziej zacynam się w swym zacierzewieniu, uporze. Nie rozczaruję ich. Chcieli wariatki, to będą ją mieć.

Wiem, że to tylko nie przynosząca mi chluby zwykła dziecinada. Nie czuję się jednak na siłach, aby zareagować mądrzej, bardziej dojrzałe. Na okazany mi brak jakiegokolwiek respektu odpowiadam tym samym. To wszystko, na co mnie w tej chwili stać. Czuję się nieszczęśliwa. Żołądek ściska mi się z głodu, bezradność dokucza, szarpie nerwy, przymus podporządkowania przygniata boleśnie, dla mojego nadwrażliwego ego jest jak gwałt.

Zamknięta, odizolowana od świata, bez możliwości skonsultowania się z kimkolwiek, nie mam już zupełnie do kogo się zwrócić. Myślałam o skontaktowaniu się z psychiatrą, miłą lekarką, która zna mnie lepiej niż tutejsi szarlatani, gdyż mnie leczyła od ponad sześciu lat. Zaszło fatalne nieporozumienie, nie zasłużyłam, aby się tu znaleźć. Niech mi więc teraz pomoże, interweniując, abym mogła stąd wyjść. Gotowa jestem biegać do niej, choć to pod górkę i siedem razy w tygodniu, a nawet więcej jeśli będzie trzeba, jak również skrupulatnie zażywać wszelkie lekarstwa z precyzją alchemika. Zrobię wszystko, aby tylko stąd się wyrwać i jak najszybciej zapomnieć, że w ogóle kiedykolwiek tu trafiłam.

Moje pomysły też się okazują w swojej prostocie i naiwności dziecinne. Powyższy projekt, przysłowiowa ostatnia deska ratunku szybko i ostatecznie został unicestwiony. Wszelkie prośby i argumenty napotykały mur nie do przebiccia, jakby rzucał grochem o ścianę. I znów ten przeklęty regulamin: żadnych telefonów, interwencji z zewnątrz, konsultacji. Moja lekarka zrobiła już swoje, przysłała mnie tu. Podsumowanie logiczne, nic dodać, nic ująć. Po czym przeszliśmy do pogrózek.

Zostałam ostrzeżona, że cały tutejszy personel zaczyna mieć mnie już serdecznie dosyć. Moje coraz to nowe, a wszystkie jednakowo głupie pomysły, ciągłe pretensje, bojkoty i histeryczne napady stanowczo przebiegają miarę. Zmuszę ich w końcu do zastosowania przewidzianych dla takich przypadków represji. Nie mają w zasadzie nic przeciwko wariatom,

natomiast muszą to być wariaci zdyscyplinowani, spokojni. Mam więc przestać wierzgać i zawracać im głowę, a przede wszystkim wreszcie zacząć się leczyć. Na początek, jeśli odważę się nie zjeść dzisiejszej kolacji, zostanę od jutra przeniesiona do gabinetu zabiegowego, gdzie będę dokarmiana dożylnie. Przyszłam tu jako chora, mogę stąd wyjść jedynie uzdrowiona. Jeżeli odrzucę proponowaną mi kurację, o poprawie nie ma mowy, będą mnie tak leczyć do usranej śmierci. Chyba, że o to mi chodzi. Im nie zależy, mają tu również przypadki dozgonne.

Wcale nie przesadzam. Wojna na całego, prawdziwa wolna amerykanka, wszystkie chwyt dozwolone. Groźby, szantaż, opieprzanie, wszystko do kupy. Jestem jak ten topomy, zawalisty kloc, którego ślepa nieopatrność rzuciła pod nogi ludziom mądrym, aktywnym i przedsiębiorczym i jedynie oni są w stanie zdecydować, co można z taką zbędną przeszkodą zrobić. Kloc może jedynie leżeć jak ten głupi, oj, bo głupi i czekać.

I ja tak właśnie się czuję, całkowicie zależna od mniej lub bardziej mi znanych, ale jednakowo mądralińskich medyków. Już oni postanowili, co jest dla mnie niezbędne, najlepsze i tylko oni mogą orzec, czy jestem gotowa do podjęcia życia na zewnątrz poza ochronnym klinicznym kloszem czy nie. A zanoszą się, że potrzymają mnie pod tym kloszem dość długo. No pewnie, czysta kalkulacja. Nie wypuszczą mnie tak łatwo z ręki, tracąc głupio klientkę, od której można za leczenie i odpowiednio długi pobyt wycisnąć kupę grosza. Co tam grosza, to musi być mała fortuna. Już przy samym wpisie żądają czeku – kaucji na okrągłą sumkę czterech tysięcy franków. A to tylko początek. Cała taka przyjemność będzie kosztować pewnie tyle, co dobry używany samochód. W świecie wolnego kapitału i komercji nie ma żartów. Załamałeś się, rozregulowałeś, jesteś we wszystkim do kitu, to teraz płąć.

A ja rozregulowałam się nie na żarty. Jest mi tak bardzo źle. Jest mi strasznie. Aż boję się pomyśleć o dniach, które mnie tu jeszcze czekają. Na próżno staram się nad sobą zapanować. Czuję się jak ryba złapana w sieci, która zanim się podda i zaśnie na dobre, rozpaczliwie walczy i bezsilnie się miota. Najbardziej przerażające jest jednak to, że od kiedy tu jestem, mój stan się zdecydowanie pogarsza. Dawno nie było ze mną aż tak marnie, to co będzie dalej? Do tego wszystkiego kończy mi się zapas papierosów. Lada dzień, a mi ich zabraknie. Próbuje się trochę ograniczać, ale i tak wiem, że palę więcej niż kiedykolwiek w życiu. Trudno walczyć z nałogiem, gdy jest się w gównie po uszy.

Najbardziej dokuczliwy jest brak wieści z domu. To już drugi tydzień, a nie mam od swoich żadnego znaku, wiadomości. Jak oni żyją? Jak sobie radzą? Za oknami drzewa pokryte szronem,

a ja nawet nie zdążyłam przygotować poupychanej po walizkach cieplejszej odzieży. Wysłałam list ze szczegółowymi instrukcjami, ale czy w ogóle dojdzie? Czuję się jak kryminalistka aresztowana wskutek popełnionego przestępstwa, która swym karygodnym czynem naraziła na wstyd i cierpienie swoje niewinne dzieci. Och, żeby móc chociaż je zobaczyć, przytulić, bo wytłumaczyć im to wszystko, co z mojego powodu właśnie nam się zdarza, obawiam się, byłoby bardzo trudno. Tak mi ciężko i tęskno. Rozpaczliwy niepokój rwie serce.

Łatwo radzić mądrej pani doktor, aby się odciąć, odizolować, zapomnieć, przestać myśleć. A przecież twierdzi, że i ona jest matką. Mądra, bo sama zrównoważona i zdrowa. Zawsze najłatwiej jest radzić. Pouczający był jej wykład, niby logiczne i zasadne udzielane przez nią wskazówki. Tyle że jakże trudne do zrealizowania, a w szczególności przy wysoce niesprzyjających kondycjach psychicznych, przy silnych emocjonalnych zaburzeniach.

Z jej argumentacji czarno na białym wynika, że taki pacjent z dnia na dzień, z godziny na godzinę jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jak za naciśnięciem pstryka-magika ma wymazać, wyrzucić z siebie wszystko, czym żył do tej pory na zasadzie: było i nie ma. Bo oni, lekarze wiedzą, że tak jest lepiej, bo oni tak chcą. To mi trochę wygląda na eutanazję, psychiczną hibernację, jeśli tak można określić, psychoterapeutyczną śmierć. Wątpię nawet czy to moralne, ludzkie.

Tam zostały beze mnie moje dzieci i jest mi ich straszliwie brak, nie mam pojęcia, czy są chociaż zdrowe i jak im się wiedzie, a mam sobie wmawiać, że to nieważne, bez znaczenia. Broń Boże, nie powinnam się tym przejmować, a najlepiej zakazać sobie nawet o tym myśleć. Och, co za męka, czy to się kiedyś skończy? Jak można do tego stopnia zadręczać człowieka? Pozbawiony wszelkiej wrażliwości i współczucia personel, bezduszny regulamin, jak w takich warunkach może być mowa o poprawie i wyleczeniu. Wykończą mnie tu, jak nic.

A może wziąć się na przedsiębiorczość i odwagę i po prostu stąd jakoś uciec? Jeśli to jest wyspa, to wpływ przez rzekę, przez płoty i mury, aby dalej. Musi być jakiś sposób. Gorzej tylko gdyby praktykowali ściganie takiego zbiega i ściąganie go z powrotem na siłę, do wyboru: w kajdankach lub kaftanie bezpieczeństwa. Diabli wiedzą, jak to tutaj działa i do czego tacy dozorczy zdrowia psychicznego mogą być jeszcze zdolni.

O rany, to ci dopiero pułapka i kocioł. Wytrzymać to, za wszelką cenę wytrzymać...

* * *

W pokoju jest duszno. Nie mam przecież prawa otworzyć nawet okna. O pozostawieniu go otwartego na dłużej też zresztą nie ma mowy, gdyż już po kilku minutach robi się niesamowita zimnica, jako że ogrzewanie jest tu automatyczne. To znaczy otwarcie okna powoduje natychmiastowe wyłączenie zasilacza ogrzewczego. Proste i skuteczne. Tylko podziwiać, jakie te Francuziki sprytne i jakie oszczędne. Siedzę więc w zatęchłym odorze wypalonych papierosów. Wokół mnie sterty niedopałków. A niech tam. Żeby tylko na tym kończyły się tak zwane warunki szkodliwe dla zdrowia. Niestety.

Czas zatrzymał się w miejscu, dłuży się w nieskończoność. Nawet nie wiem, jaki dziś dzień tygodnia, a co dopiero mówić o dacie. Wyczerpała się też bateria w moim zegarku i tylko po regularności podawanych posiłków orientuję się, która może być godzina. Nie mam pilniczka ani nożyczek. Moje i tak już słabe, połamane paznokcie obgryzam aż do bólu, do krwi. Siedem nieszczęść w jednej osobie, nic więcej.

Któraś to już z rzędu godzina, jak tak siedzę zgnębiona, przepełniona lękiem, raz jeszcze roztrzaskując niesprawiedliwość i okrucieństwo swego losu. Nachodzą mnie natarczywe wątpliwości, którym nie jestem w stanie stawić czoła.

A jeśli ci wszyscy tutejsi lekarze straszą mnie nie na darmo i faktycznie jest ze mną aż tak źle? Ja natomiast zamiast uznać chorobę, licząc się z jej konsekwencjami, uporczywie wmawiam zarówno sobie, jak i wszystkim wokół, że mój zły stan jest jedynie przejściowy i niegroźny, znów powołując się na ludową maksymę: nie taki wilk straszny, jak go malują. Czyż nie jest to najzwyczajszym chowaniem głowy w piasek? Może tak być.

Muszę uczciwie przyznać, że zawsze do tej pory, mimo że cierpiałam, że się nieludzko wprost męczyłam, te wszystkie nawiedzające mnie cyklicznie stany depresyjne ja po prostu trochę lekceważyłam. Nigdy tak naprawdę nie zaakceptowałam faktu, że jestem najzwyczajniej poważnie chora, że pomoc z zewnątrz jest mi niezbędna, gdyż pograżając się w depresji, poniekąd mimowolnie ją jeszcze w sobie podsycając, mogę doprowadzić do dramatu.

Już sama nie wiem, ile przeżyłam takich kryzysów, nawrotów. Mylą mi się okoliczności, nie potrafię precyzyjnie określić ich w czasie. Przywołuję je na pamięć na zasadzie skojarzeń, hasel.

Strata dziecka przy porodzie w niecały miesiąc po przyjeździe do Francji to pierwszy z kryzysów. Kompletnie załamanie, najbardziej dramatyczne i najbardziej rozpaczliwe w swym przebiegu. Nie wiedziałam wtedy nawet, co mi się przytrafia, co się ze mną dzieje. Słowo depresja nic mi nie mówiło, a już na pewno nie zdawałam sobie sprawy, że jest to choroba jak inne, którą się najzwyczajniej leczy.

Moja nieświadomość brała się pewnie stąd, że w Polsce, w kraju, z którego przyjechałam, wszelkie niedomagania psychiczne podobnie jak przypadłości weneryczne traktowane były trochę jako choroby mało taktowne, wręcz wstydliwe. Tak więc rwąc włosy z głowy, przepłakawszy niezliczone, niekończące się bezsenne noce, pijąc też zresztą na umór, ten pierwszy kryzys psychiczny przecierpiałam, przezwyciężyłam sama. O ile w ogóle można mówić o przezwyciężeniu. Niewyleczona depresja nie ustąpiła, nie popuściła raz zawładniętej ofiary. Przyczała się tylko w oczekiwaniu sprzyjających okoliczności, aby zaatakować z potęgującym się zacierzeniem kolejny i kolejny raz.

Nawroty pojawiały się w moim życiu jak zdjęcia w kinematografie: urodzenie Dorotki i w zaledwie miesiąc potem depresja, ostro nabrzmiały konflikt małżeński – depresja następna, operacja guza w piersi i kolejna, eksperyment z podjęciem pracy i znów krach. Męczące, a to jeszcze nie koniec.

W dodatku, między tymi jednoznacznie zdefiniowanymi chorobami były różne regresy, wahnięcia, brak reakcji na zalecone leczenie lub jak w aktualnym przypadku wyraźna jego nietolerancja. Wszystko to niebywale przeciągało całą zabawę, wydłużając zarówno psychoterapię, jak i rekonwalescencję w nieskończoność. Okresy „czyste”, stany psychicznego zdrowia nigdy nie były ewidentne, a już na pewno nieliczne.

Co to za uprzykrzone świństwo, które się do mnie przyczepiło i wlecze się za mną od wielu uprzykrzonych lat. Diagnoza lekarzy jest zgodna i jednoznaczna – uporczywa depresja melancholiczna. Dobrze to czy beznadziejnie? Już raczej wygląda na drugie.

Można by pomyśleć, no cóż, melancholia – tani sentymentalizm, nic groźnego. Tęsknota, smutek, żal i same takie bzdury. Coś jakby wziąć do kupy mierne piosenki wiejskiej kapeli z ich ckliwym, wisielczym nastrojem. Podlotkowe fanaberie i tyle. A guzik. Okazuje się, że to tylko nazwa brzmi tak niewinnie, a sama choroba jest niezmiernie zdradliwa i szkodna. Z tego co wiem, jest to też forma depresji najtrudniejsza do złagodzenia, przystopowania, jako że o pełnym wyleczeniu mówi się raczej nieśmiało.

Straszny bałagan w tej całej medycznej nomenklaturze, bo na przykład taka groźnie brzmiąca z nazwy depresja maniakalna jest akurat chorobą jasno określoną w genezie i przebiegu i dla psychiatrów zgodnie serwujących przy niej skuteczne lekarstwo, które mnie też podawano, a zwie się *Litiomit*, jest jak małe piwo.

Jasne, że do mnie musiała się przyczepić nie dość, że sama depresja, to jeszcze w swej najgorszej, najbardziej wrednej formie. Nic dziwnego. We wszystkim przesadzam, zawsze idę na całość, nie uznaję półśrodków. A więc jak już wariować, to też z fasonem. Ma się tę fantazję i rozmach.

Dobrze sobie poartować, ale mnie wcale, ale to ani trochę nie do śmiechu. Nie ma dwóch zdań, znalazłam się w szambie po uszy. Spróbuję opowiedzieć jak to jest.

Skąd w ogóle takie choróbsko się bierze? I dlaczego? Czyżbym była genetycznie naznaczona, skazana lub tylko bardziej od innych skłonna, a może to jedynie samo życie przynoszące tragedie, niepowodzenia, najróżniejsze przeszkody i stresy załamało psychiczną równowagę, prowokując bolesny szok? Gdzie jest w tej chorobie początek, a gdzie koniec? Co jest przyczyną, a co konsekwencją? Wszystko się tu miesza, zazębia. Nawet najwięksi w tej dziedzinie mądralińscy nie odpowiadają jednoznacznie na te pytania, tym bardziej nie odpowiem i ja.

Spróbuję jednak sięgnąć do początku, uzmysławiając sobie, jak się to wszystko zaczęło i kiedy. Niezmiernie trudne jest takie cofnięcie się aż do genezy choroby, szczególnie w sytuacji, że się z niej jeszcze nie wyszło, gdy jest się ciągle jeszcze pogrążonym w niezdrowym tumanie oszołomienia. Mimo wszystko spróbuję. W każdym razie jestem pełna dobrej woli, a to już zawsze coś.

Ta choroba przychodzi nie wiadomo kiedy i skąd. Aż dotąd normalne, raz bardziej, raz mniej jasne życie i nagle nic, jakby się wszystko straciło. Pomost z dotychczasową egzystencją zerwany. Depresja – kompletny psychiczny krach. To nadciąga niepostrzeżenie lecz nieodwołalnie jak czarna, naładowana grzmotami burzowa chmura. Powoli opada, zataczając coraz szersze kręgi. Zagarnia to, co napotyka po drodze i ładując swoją destrukcyjną siłą, wszystko przeinacza, niszczy, deformuje.

I to jest dobre porównanie z tym ładunkiem, napięciem. Wystarczy spojrzeć na człowieka cierpiącego na depresję, wygląda jak powalony piorunem. Już sama jego sylwetka jest charakterystyczna, typowa. Całe ciało nieprawdopodobnie naprężone, z napiętymi mięśniami,

a jednocześnie złamane, w każdym bądź razie wyraźnie pochylone do ziemi. Jakby jakaś niewidzialna siła napierała na niego z zewnątrz, jakby odczuwał nie dający się zniwelować nacisk, który przygniata, przegina, a niekiedy łamie. Zdarza się, że presja jest silniejsza niż wewnętrzny opór i trzeba jej się poddać, nie można jej znieść. Chyba mam rację. Wystarczy przyjrzeć się etymologii słowa depresja. Sama nazwa mówi za siebie. Przymus, nacisk, przygniatanie. Ta choroba jest dokładnie tym.

Inne objawy są też znamienne, jasno określone. Teraz ja mogę udzielić porady. Może moje świadectwo trafi do kogoś zagubionego w depresyjnym bólu i pomoże mu zrozumieć, co się z nim właściwie dzieje.

Jeśli od pewnego czasu, powiedzmy od paru tygodni, zaobserwowałeś u siebie dokuczliwą bezsenność, nagły brak apetytu z seksualnymi apetytami włącznie, tracisz wyraźnie na wadze, z niechęcią i obrzydzeniem krzyżujesz rano spojrzenie ze swoim odbiciem w lustrze, czujesz się niepotrzebny, nieprzydatny i dotąd superman teraz nagle robisz się śmiertelnie zmęczony, bez chęci do życia, to wiesz, co ci powiem? Źle jest z tobą, bardzo źle.

Nie oszukuj się, że to przejściowe. Nie bagatelizuj objawów, a przede wszystkim nie licz, że ustąpią z czasem same. Nie zwlekaj, biegnij do najbliższego psychiatry, gdyż depresja jak ciężka, lepka wulkaniczna lava sięgnęła również po ciebie.

Tyle że jeśli jesteś już chory, to nawet nie zdajesz sobie sprawy z autentycznego zagrożenia. Nie jesteś w stanie się obserwować, a co dopiero mówić o wyciągnięciu konstruktywnych wniosków czy podjęciu decyzji o ucieczce, ratunku. Stoisz ogłupiały, pusty i bezwolny i tylko z przeogromnym lękiem czekasz aż nieuchronnie przelewająca się magma zaleje cię definitywnie, a wtedy skończą się wszystkie twoje cierpienia.

Niekiedy nie wytrzymujesz tego przepelnionego nieludzkim strachem oczekiwania na najgorsze, poddajesz się i zdobywając się jeszcze na ostatni wysiłek woli, zadajesz gwałt własnej egzystencji. Unicestwiasz przerażające oczekiwanie, unicestwiasz niezmierny ból. Bo potem jest już tylko pustka i nicość. I ty na to liczysz. To dla ciebie obietnica, wyzwolenie się, ostateczna ucieczka.

Tylko że najczęściej okazujemy się za słabi, aby się zabić. I znów wracamy do przymusu, gdyż będąc jednocześnie absolutnie niezdolnymi do życia, jesteśmy skazani na jego kontynuowanie, co można porównać z przejściem czyścica na ziemi. Nie dość, że banalne jest to porównanie, to jeszcze zdecydowanie za słabe. Żyjąc pogrążeni w chorobie, jesteśmy skazani na

piekło. I chociaż to też banalne, nie ma w tym niestety przesady.

Bardzo bym chciała, aby mi uwierzono, więcej, zrozumiano. Koncentruję się maksymalnie, na ile to tylko możliwe, aby ta relacja była przekonywająca i jasna. Jestem umotywowana, nawet może zbyt mocno, aby opowiedzieć wszystko, co wiem o tej chorobie, która fatalnie wykrzywiła moje życie.

Czym przybliżyć życzliwemu obserwatorowi ten piekielny koszmar, jaki przeżywa osoba cierpiąca na depresję? Jak mogłabym wyculić na bezmiar bólu i cierpienia, które ją przepelnia bez reszty? To duża odpowiedzialność, nie chodzi przecież tylko o mnie. Na tę chorobę cierpi tysiące ludzi. Przyjrzyj się uważnie, być może zagubionych i nieszczęśliwych znajdziesz także w twoim najbliższym otoczeniu.

Depresja to prawdziwa makabra. Nie będę się bawiła w wyszukiwanie mądrzej brzmiących słów, przejdę już raczej do opisanja jej znaczących i jakże przykrych symptomów. Na samo ich wspomnienie wzdragam się z niepokoju i zgrozy.

Przede wszystkim bezsenność. Trzeba przez to przejść, aby naprawdę zrozumieć, jakim przekleństwem mogą stać się najzwyklejsze zaburzenia snu. Człowiek chory jest kompletnie wytracony w czasie, a jego sen zupełnie rozregulowany. Jeśli jesteś moim towarzyszem niedoli, znasz to równie dobrze, jak ja.

Nie możesz zasnąć, bojąc się czekających cię koszmarów. A są to wierni wrogowie i niezawodnie wracają do ciebie każdej nocy. Nie możesz ich odtrącić ani kazać im odejść. Posłusznie za każdym razem odgrywasz rolę bohatera-ofiary. Budzisz się nagle zlany zimnym potem lub gorącymi łzami z nieprzebrzmiałym jeszcze echem własnego przerażonego krzyku napierającego z ciemności. Poczucie zagrożenia jest totalne. Nie odważysz się już zasnąć tej nocy. Skulony i sparaliżowany strachem przysiądziesz na brzegu łóżka lub w fotelu, aby bez nadziei czekać na świt. I znów nie będziesz sam.

Czarne myśli, irracjonalne lęki, bliżej nieokreślone złe przecucia opadną cię i zagarną w swą otchłań jak przepastne wzburzone morze, które przeraża, a zarazem wciąga. Będziesz płakał nad sobą, nad zmarnowanym swym życiem, nad własną bezużytecznością i okrucieństwem losu. I będzie ci źle i będziesz się bał, nie rozumiejąc, co się z tobą dzieje. Jeżeli pijesz, sięgniesz wtedy po alkohol, aby się upić na umór. Jedyne czego pragniesz, to przestać odczuwać, przestać myśleć, móc zawiesić bolesną egzystencję w pijanej próżni.

Te pełne udręki noce, to tylko zaledwie jedna strona medalu, gdyż po nocy nieuchronnie

nadchodzi przecież dzień. Ludzie zdrowi, wypoczęci i pełni świeżej energii z mniejszym lub większym zapalem rzucają się aktywnie w wir życia. Borykają się mozolnie, aczkolwiek dzielnie, z trudnościami, czerpią z niego nadarzające się przyjemności. Tak żyją ludzie zdrowi, nie ty.

Ty wstajesz rano, sam nie wiesz po co. Przed tobą dzień, który zapowiada się beznadziejnie pusty. Czujesz się jak wypluty kapeć, zmęczony i rozgoryczony. Zadania, które cię czekają napawają cię niechęcią i trwogą, gdyż i tak nie czujesz siły, by robić cokolwiek.

Depresja jako głęboki ból życia. Gdzieś zasłyszałam to mocne i jakże adekwatne określenie. Kompletna pustka i bezsilność. Nieludzki wprost wysiłek, aby ciągnąć, kontynuować. Boli cię dusza, tak to odczuwasz i nie potrafisz nawet poskarżyć się, opisać jak to jest. Zresztą mówienie też boli, gdy jest się pogrążonym w cierpieniu. Wiesz jedynie, że na nic nie masz chęci, jesteś zmęczony życiem, wstawaniem co rano po nic i bez sensu. Nic ci nie wychodzi, nie potrafisz skoncentrować się nad niczym. Dajesz za wygraną, zarzucasz wszystko, co robiłeś, chowasz się gdzieś w kącie, płacząc ze strachu, bezsilności i żalu. Odcięty od wszystkiego, co dzieje się wokół, pozostajesz jak drewniany manekin martwy i obojętny. Uciekasz w samotność, zamykasz się w sobie. Boisz się, bardzo się boisz: wojny nuklearnej, ulicznego wypadku, rozdzwonionego telefonu i pukania do drzwi. Teraz już nie dopuścisz do siebie nikogo. Czując się podle i bardzo samotnie, sięgasz po prochy, nie wierząc nawet, aby mogły ci pomóc lub po butelkę, aby zalać robaka. Wiesz, że to jest nierozsądne i naganne, co robisz, że tylko znów okazujesz swą słabość. Wzmaga się poczucie winy.

Poczucie winy cię nie opuszcza. Maltretowało cię w nocy, musisz się z nim zmierzyć również za dnia. Samooskarżeniom graniczącym z masochizmem nie ma końca. Przekonujesz sam siebie, jakim to jesteś wyrzutkiem, punktujesz wszystkie własne błędy i wady, roztrząsas bez końca całe tkwiące w tobie lub tylko wyimaginowane zło. I kiedy już sam siebie nareszcie przekonasz, że jesteś kompletnym zerem, straceńcem lub psychopatą, w każdym razie ze wszystkich najgorszy, zaczniesz traktować cierpienie, które odczuwasz jako sprawiedliwą karę za grzechy, jako zasłużony tak zwany dopust Boży.

Uwierzysz w to głęboko, będziesz tak myślał z pełnym przekonaniem. Wtedy dopiero staniesz na pozycji naprawdę straconej, gdyż nikt i nic przy takim nastawieniu nie będzie w stanie ci pomóc.

Zresztą ty nie zwrócisz się do nikogo o pomoc. Czujesz, że się topisz, ale pozostając całkowicie bierny i obojętny wobec grożącego ci niebezpieczeństwa, nawet nie wyciągniesz ręki

w poszukiwaniu jakiegoś punktu zaczepienia, ratunku. Tak jakbyś właściwie sam chciał zejść w najgłębszą otchłań bez powrotu. Dlatego też, jeśli raz jeszcze usłyszysz popularne powiedzenie o tonącym, który brzytwy się chwyta, możesz być pewny, że ten nieszczęśnik jest na pewno zrównoważony psychicznie, o depresji pewnie nawet nie słyszał, bo inaczej bez walki, a nawet z uczuciem ulgi poszedłby na dno jak ty.

Tak więc niedoszły topielec, wewnętrznie martwy, pusty jak ta deska targana przez wzburzone fale, której morze nie chce jednak pochłonąć, szarpiesz się sam z daleka od lądu. Jesteś samotny, odizolowany, odcięty. Może i wysyłasz jakieś sygnały wołające o współczucie, zrozumienie i pomoc, lecz otoczenie, nawet twoi najbliżsi nie są w stanie zrozumieć, co się z tobą właściwie dzieje.

Sądząc, że to dla twojego dobra, starają się tobą wstrząsnąć, zmobilizować cię, apelując, abyś wziął się w garść. Wskazują na absurd twojej bezpodstawnej rozpacz, przekonując, że ci niczego przecież nie brakuje, przypominając, że masz dwójkę jakże udanych dzieci. Przyznajesz im rację, kochasz ponad wszystko swoją parkę, tyle że to nie ma nic wspólnego z wisielczymi uczuciami, które zagarnęły już tobą bez reszty.

Jednak dzieci niestety w tym wszystkim tkwią. Cierpliwość, bezkrytyczną wyrozumiałość i miłość pomieszaną z czujnym, przeogromnym niepokojem o ciebie jakie ci okazują, sprawiają, że czujesz się jeszcze gorzej i coraz trudniej znosisz nawet ich obecność. Chociaż wiesz, że to niesprawiedliwe, nic nie możesz zmienić. Zdajesz sobie sprawę, że zadajesz im ból i ta świadomość tylko jeszcze bardziej zaostrza poczucie winy. Wszystko jest trochę prostsze, gdy jesteś sam. Znow popijasz, bierzesz prochy. Za wszelką cenę chcesz zasnąć, oczywiście bez kolacji i wieczornej toalety.

Nie tylko rutynowe zajęcia życia codziennego takie jak ubieranie się, jedzenie, mycie, dotąd oczywiste, wręcz niezbędne, nagle i kompletnie straciły wszelki sens. Całe twoje nastawienie filozoficzno-egzystencjonalne odwołuje się do ewidentnego absurdu. Akt narodzin konfrontujesz z pogrzebem, nie rozumiesz po co choremu w ogóle się leczyć, jeśli i tak wcześniej czy później musi umrzeć. Życie straciło sens. Pogrążasz się w beznadziei.

I nie wyjdiesz z niej sam, gdyż z tej choroby nie da się wyjść samemu. Nie jest to kwestia silnej, nawet żelaznej woli. Niezbędna jest fachowa pomoc medyczna, lecz ty o tym nie chcesz nic wiedzieć lub naprawdę nie wiesz.

Znikąd nie widzisz dla siebie ratunku. A mądry i niezadufany w sobie profesor psychiatrii

powie, a właściwie poskarży się, że jest naprawdę niezmiernie ciężko uzdrowić, uratować chorego, który już w nic nie wierzy. I będzie miał rację.

Nic do ciebie nie dociera. Nie jesteś zdolny do jasnego rozumowania. Żadne racje nie są cię w stanie przekonać. Dlatego mądry lekarz nie będzie z tobą dyskutował ani cię do czegokolwiek namawiał. Będzie cię leczył i tylko słuchał. On jest mądry i wie, że żyjąc pod znakiem bólu i cierpienia, odbierasz świat w sposób zdeformowany pesymizmem, destrukcją.

Totalne zaburzenie percepcji wszelkich docierających do ciebie informacji sprawia, że terażniejszość jest zdekomponowana, zniekształcona, a wskutek paraliżującego lęku i uczucia zagrożenia nie jesteś w stanie myśleć o przyszłości. Stoisz przed krzywym zwierciadłem.

Widziałeś takie w wesołym miasteczku. Tyle że teraz wypaczone odbicie, które do ciebie dociera nie śmieszy. Wprost przeciwnie, napawa obrzydzeniem i lękiem. Wpatrując się w nie, nie rozumiesz, nie rozpoznajesz już niczego. Ogarnia cię obezwładniający zamęt. Wszystko jest koślawe, wyolbrzymione i w swej deformacji koszmarnie. Każde smutne wydarzenie jest dla ciebie prawdziwym końcem świata, najmniejsze niepowodzenie urasta do rangi porażki, nieprzychylną uwagę na swój temat utożsamiasz natychmiast z odtrąceniem. Jedno wielkie poplątanie z pomieszaniem.

Mylisz smutek z tragedią, przykrość z katastrofą, krytykę bliźnich z potępieniem. Koszmarny jest obraz, przed którym stoisz. Bezlitosne jest lustro, które tak deformuje, zniekształca. Nie wpatruj się w nie dłużej. Nie pozwól, aby cię zniszczył ten odpustowy rekwizyt. Nie czekaj. Zniszcz je, rozbij na najdrobniejsze kawałki lub chociaż odwróć się i odejź.

Niestety. Ja wiem, nie możesz tego zrobić. To krzywe zwierciadło, o którym mówię i które cię zgubi, jest w tobie...

* * *

W pokoju jest coraz bardziej duszno. Powietrze toporne i lepkie dławi. Jedna wielka gula rozgoryczenia i żalu kładzie się ciężarem na piersiach, opasuje głowę. Trudno mi oddychać, nie jestem w stanie myśleć. Wykończyły mnie te masochistyczne rozważania. Nie mogę się jednak poddać. Muszę kontynuować tę bolesną introspekcję. Raz jeszcze rozważyć przyczyny i skutki, aby wyciągnąć wnioski, znaleźć rozwiązanie.

Zaczynam rozumieć, że sama sobie muszę wreszcie pomóc. Bez tego nie mam szans. Jestem gotowa na wszystko, co mogłoby tylko sprawić, że pięknie wreszcie opasująca mnie obręcz. Obręcz, która mnie więzi od lat. Szkoda tylko, że czuję się taka słaba i w gruncie rzeczy mocno sceptyczna. Do obrony, do walki niezbędne są siła i wiara, a mnie akurat obu tych atutów brak. No cóż, dobre chęci też się liczą. Wiem coś na ten temat, bo jeszcze wczoraj nie miałam ich nawet za grosz.

Sama więc już nie wiem, czy sobie pomogę tym roztrząsaniem przebiegu choroby, czy raczej zaszkodzę. W stanie w jakim jestem obecnie, nie mam już chyba zbyt dużo do stracenia. Przymierzę się zatem jeszcze raz, zanurzę się w przykrą przeszłość, pozwolę przemówić bolesnym wspomnieniom. A nuż obróci się to jednak na dobre.

Tak więc depresja szła przez moje życie jak tornado. Mniej lub bardziej oczekiwana pojawiała się zawsze ostro i gwałtownie, przygniatając mnie i dusząc całkowicie. Jej cykliczne nawroty stawały się coraz częstsze, za to w swej przyczynowości coraz mniej zrozumiałe. Za każdym też razem dokonywała ona we mnie poważniejszych spustoszeń. Mogłabym się porównać do umęczonego drzewa, które wskutek ciągłych urazów traci swoje siły witalne i zaczyna próchnieć od środka. Ja też jak ono, po każdym uderzeniu stawałam do życia ze wzmagającym się wysiłkiem, coraz bardziej wewnętrznie zdruzgotana, spopielona.

Straszne to były lata i cholernie długie. Mocno poturbowała mnie ta choroba. A przecież w odróżnieniu od wielu nieszczęśników, nie borykałam się z nią sama. Pomijając pierwszą depresję, wszystkie kolejne przebiegały pod czujnym okiem i wspomoczeniem lekarza psychiatry. Dlaczego więc tak się to wszystko przeciąga, nie ustępuje, a nawet wręcz pogłębia? Czyżby był gdzieś błąd w sztuce? Może jak zwykle wina za nieskuteczność dotychczasowego leczenia leży

tylko w moim nastawieniu, w braku koordynacji lub czegoś innego. Możliwe.

To fakt, że biegałam do lekarzy. Sama teraz jednak widzę, że szukałam pomocy wyłącznie doraźnej, domagałam się leczenia objawowego. Na zasadzie – źle się czujesz, bierz receptę, wysyp w siebie określoną dawkę prochów i czekaj, aż ci przejdzie, a potem jazda dalej. Jakoś nie brałam sobie zbyt do serca tych złowieszczo-brzmiących medycznych określeń i pojęć.

Jest takie ładne francuskie wyrażenie – mieć kafary. To jak po naszymu chandra, trochę więcej niż muchy w nosie. I ja te moje psychiczne przyłamania, kryzysy, przynajmniej do pewnego momentu, traktowałam trochę w ten sposób.

Bardziej interesowało mnie źródło tych doznań, bezpośrednie ich przyczyny. Koncentrowałam się raczej na usiłowaniach w kierunku zmiany nie najweselszych warunków mojego życia, czyniąc je odpowiedzialnymi za nie najweselszy stan mojej psychiki. Były tu desperackie próby rozwodu, usamodzielnienia się, podjęcia pracy. Szarpałam się na wszystkie strony, tracąc coraz drastyczej kontrolę nad własnym życiem i co gorsze, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy.

A depresja drążyła we mnie swoje koryto, aby osiąść mnie za każdym razem łatwiej i bardziej władczo. Początkowo można jeszcze było rozróżnić w chorobie poszczególne etapy z jej preludium, nasileniem, cofnięciem. Później poszło wszystko jakby na skrót. Gwałtowny atak, siła uderzenia z punktu nokautująca, za to z ustępowaniem szło powoli i opornie.

A ja dalej szukałam tylko przyczyn, powodów, nie chcąc uznać, że ta choroba jest poza wszelką logiką i obiektywnym uwarunkowaniem. Liczy się wyłącznie ona sama z własnymi zasadami nieuczciwej gry i skutkami, jakie pozostawia. Natomiast skutki nie interesowały mnie nigdy. Nie zastanawiałam się nad nimi, nie myślałam do czego mogę się wreszcie tym wszystkim doprowadzić. Za to teraz już wiem. Poznałam diabła na własnej skórze. Szkody są bardzo duże, błędy fatalne, wątpię nawet czy odwracalne. Daleko to wszystko zaszło, zbyt daleko. Oby tylko nie było już za późno na kontratak lub odwrót.

Złożona i skomplikowana sprawa. Widzę, że nawet tak dotąd optymistyczni tutejsi lekarze z powątpiewaniem zaczynają kręcić głowami i coś za dużo szepczą sobie na mój temat po kątach. Musiało się coś gdzieś zablokować, zakleszczyć i nie popuszcza. Już po raz czwarty od kiedy tu jestem, zmieniają mi leczenie i nic, poprawy nie ma żadnej. A ja głupia wierzyłam, że garstką proszków czy serią zastrzyków załatwią się bez pudła z tą moją znarowioną psychiką. Za daleko widać poszło, za daleko...

Farmakologiczne leczenie depresji to osobny i dosyć ciekawy rozdział. Na początek opowiem, jak to śmiesznie i skutecznie było z jednym z zaaplikowanych mi antydepreserów zwanym nie od parady *Humorylem*.

To były pastylki. Łykałam je bodajże trzy razy dziennie, a dwa razy w tygodniu biegałam pod górkę do lekarki, aby także w sposób werbalno-migowy ulżyć cierpieniom duszy.

Początkowo szłam do niej jak na ścięcie. Jak już mówiłam, droga daleka, męcząca. Wyglądając jak siedem nieszczęść, skulona, ze zwieszonymi ramionami i opadającą ciężko od czarnych myśli głową, mijałam niechętnie zabarykadowane murami lub żywopłotami ponure wille, których pełno było na tej trasie. A działo się to gdzieś pod koniec marca: na pewno plucha, szarzyzna, zimnica. Krótko mówiąc, w zgranej harmonii ze mną jeden wielki uprzykrzony smutek.

I tak było do pewnego momentu bardzo określonego i wyraźnego, po którym nagle cały otaczający mnie świat zmienił swe barwy. Jak za przyciśnięciem magicznego guzika zobaczyłam wszystko, po raz pierwszy od dłuższego czasu w pięknych i jasnych kolorach tęczy.

Było to nieprawdopodobne i tak nieoczekiwane, że tego dnia przyszłam do lekarki mocno spóźniona, za to z gałązką ukradzonego gdzieś bzu. Bo nagle się okazało, że jest pełna świeżości i wszelkiej nadziei wiosna wokół: słońce, świergot ptaków, kwitnące drzewa. Nagłe przebudzenie, wielka radość i spokój. A to zadziałały prochy.

Bo potem było już mniej skutecznie, a już na pewno zdecydowanie mniej śmiesznie. Lekarstwo niewłaściwe, lekarstwo za silne, stan przedzapaściowy wskutek niezamierzonego przekroczenia tolerowanej przez organizm dozy, aż wreszcie sytuacja niesamowicie niebezpieczna i dramatyczna, gdy wskutek fatalnego niedopatrzenia straciłabym za sprawą trzymany w domu bardzo silnych przeciw lekarstw małą Dorotkę, własne dziecko.

Dorotka nie miała jeszcze wtedy dwóch lat. Jako berbec była dzieckiem rozkosznym i bardzo łatwym do chowania. Biegała już oczywiście jak fryga, nie potrafiła jednak aż dotąd samodzielnie opuścić swego obwarowanego dość wysokimi barierkami łóżeczka. Raz w nim położona wieczorem ze swoją ulubioną butlą ciepłego mleka spała spokojnie całą noc, aby wstać rano razem z nami. Nigdy nie było inaczej. Aż dotąd. Zawsze kiedyś przychodzi ten pierwszy raz. Był późny wieczór. Przekonani, że dzieciaki już śpią, spokojnie oglądaliśmy z mężem w drugim skrzydle mieszkania głupekowaty film w telewizji. Do dzisiaj pamiętam tytuł, były to „Szczęki 3”.

Jeszcze przed końcem filmu, nie wiem, czy coś mnie tknęło, czy tylko zmęczył mnie słaby horror, poszłam sprawdzić, jak śpią dzieci. U Michała w pokoju paliło się światło. Michał spał w najlepsze, Dorotka nie.

Dorotka siedziała całkowicie rozbudzona na łóżku swego brata i coś do siebie gaworząc, przekładała w wielkim skupieniu jakieś kolorowe pastylki. Świadomość, czym ona się bawi, poraziła mnie i unieruchomiła w miejscu. Stałam jak mumia, niezdolna do jakiegokolwiek reakcji. Ogromny wstrząs i śmiertelny strach. Proszki były wszędzie, na podłodze, na biurku, na łóżku.

Jeszcze nie chciałam zrozumieć, pobiegłam sprawdzić zawartość szuflady kuchennego stolika, gdzie trzymałam te lekarstwa. Szuflady, w której akurat tego popołudnia przy kręcącej się w pobliżu Dorotce robiłam systematyczny porządek.

Lekarstwa były dwa. Jednym z nich był niesamowicie zdradliwy, wspomniany już *Litiomit*, którego zażycie przez dziecko stanowiło śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie byłam w stanie zorientować się w ilości tabletek, nie miałam pojęcia, czy ich brakuje. Bawiła się tylko proszkami, czy również je połknęła? Nie wiedziałam. Wiedziałam tylko jedno, że zależy od tego życie mojego dziecka. Totalna panika, zupełnie straciłam głowę.

Złapałam Małą jak psiaczka i wpychając jej palce do gardła, usiłowałam sprowokować wymioty. Pogryzła mi ręce do krwi, zwymiotować nie chciała. Rzuciłam się na mleko, usiłując ją nim napoić. Za nic nie chciała przełknąć, wypluwała.

Zaalarmowany tata zareagował bardziej sensownie, telefonując pod specjalny numer SOS-zatrucia. Tam dobrze znali takie przypadki: psychotropowe lekarstwa, małe dziecko, nieodpowiedzialna matka. Nawet słuchać nie chcieli o fatalnym splocie okoliczności. Biorąc pod uwagę realne i bardzo wysokie zagrożenie, kazali przewieźć natychmiast dziecko do najbliższego szpitala. Oczywiście, przypomnieli jeszcze lub raczej ostrzegli i to kategorycznie aby, broń Boże, nie podawać nic do picia i pod żadnym pozorem nie prowokować wymiotów.

Do dziś słyszę w uszach niesamowity krzyk wyszarpanego mi w szpitalu dziecka, które poniesiono do wielkiej zatrzaśniętej matowymi drzwiami sali, gdzie poddano je płukaniu żołądka.

Musiał to być straszny zabieg. Krzyk przerażenia, bólu i bezsilnego oporu Dorotki przedzierał się przez grube ściany, roznosił się swoją rozpaczą w szpitalnej poczekalni. I trwało to wieki. Jej wrzask coraz bardziej ochrypiały, lecz ciągle jednakowo rozpaczliwy i donośny, przeciągał się w nieskończoność. A był zaadresowany do mnie, trafił prosto w me serce.

Nigdy w życiu, ani przedtem, ni potem nie czułam się tak zdruzgotana, samotna i winna. Nieodwracalnie i niewypowiedzianie winna. Czytałam tę winę w oskarżającym spojrzeniu mego małżonka, który znosił niezasłużone cierpienie naszego dziecka samotnie, w niechętnym i wyraźnie celowym oddaleniu ode mnie jako mimowolnej sprawczynie rozgrywającego się właśnie dramatu.

Czytałam tę winę w oczach przyjmujących Dorotkę lekarzy, którzy przyjąwszy tylko do wiadomości, że to ja jestem leczona śmiertelnymi dla dziecka lekami, potraktowali mnie jak „psychiczną”, umyślowo chorą i wyprosili mnie z sali, gdzie jako jedynie odpowiedzialny już tylko ojciec dziecka został poproszony o udzielenie wszelkich wyjaśnień.

Tylko moja Malutka nie winiła mnie za nic. Była za mała i nie rozumiała zupełnie, co się stało. Kiedy pielęgniarka przyniosła ją bledziutką, zapłakaną i nieprawdopodobnie umęczoną, z całą ufnością nieświadomego dziecka w obronnym odruchu rzuciła się nie ku ojcu, lecz ku mnie.

Była jak mały przerażony zwierzaczek, którego ogrom niespodziewanego nieszczęścia i bólu przerasta, jest dla niego nie do zniesienia, a więc instynktownie się chroni w zawsze wiernie i opiekuńcze ramiona matki. Poza przeżytym strachem o jej życie, to było chyba najgorsze. Krzyczała stanowczo – Kurtka, buty, do domu! Garnęła się przy tym do mnie, przytulała, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, że to właśnie ja, rodzona matka, wprawdzie nieumyślnie, lecz jakże bezmyślnie mogłam ją dzisiaj zabić.

Na razie na najbliższą noc musiała zostać pod obserwacją w szpitalu. Była tak zmęczona, że nawet nie oponowała. Szczęśliwie, gdyż nie wiem, czy znalazłabym dość siły, aby odejść, zadając jej kolejny ból.

Ta obserwacja była konieczna, gdyż zrobione natychmiast badania wykazały niewielkie wprawdzie, manifestujące się jednak ślady *Litiomitu* w jej krwi. Oczywiście więc, że połknęła jakieś proszki. Zawsze i we wszystkim mnie naśladowała. Słabo mi się robi na samą myśl, co by było gdyby...

Gdyby Dorotka zasnęła, nic nie zauważywszy, zasnęlibyśmy i my i tylko czekalibyśmy rano aż się zbudzi. Przelitościwa Opatrzność czuwała nad nami, gdyż przy jeszcze dalej posuniętym fatalnym zbiegu okoliczności mogło tak faktycznie być.

Nie było możliwości pozostania w szpitalu, wróciliśmy sami późną nocą do domu. Poprawny tata zasnął natychmiast snem spokojnym i zasłużonym, ja, wyrodna matka nie zmrużyłam oka do

rana.

Następnego dnia po udzieleniu mi przez lekarkę poważnego ostrzeżenia typu: oddajemy wam jeszcze dziecko, ale uważajcie, żeby to było ostatni raz, Dorotka wróciła do domu. Nie zdawała sobie właściwie sprawy, z tego co się stało i bardzo szybko o wszystkim zapomniała. Bez najmniejszego problemu otrząsnęła się z przeżytego szoku. Ona tak, ja nie.

Już przed tym wypadkiem działo się ze mną nieciekawie. Teraz znalazłam się na równi pochyłej i na łeb na szyję zaczęłam staczać się w dół. Za nic nie mogłam sobie poradzić z przytłaczającym mnie poczuciem winy i z trującą świadomością, jakim to jestem dla całej rodziny niekończącym się i bolesnym problemem.

Wystarczyła drobna i przypadkowa prowokacja ze strony będącego też już u kresu wytrzymałości nerwowej męża, abym sięgnęła po całą zbędną resztkę farmaceutycznych niesprawdzających się jednak w mojej terapii cudów. Potraktowałam je po prostaku, wysypując pełną garścią w gardło i zapijając, jak prawdziwą zagrychę, szklaną ordynarnej wódki.

Gdy po jakimś czasie pojawił się wezwany przez męża psychiatra-domokrążca, nie byłam w stanie sklecić sensownego zdania i miałam poważne zaburzenia wzroku. Byłam jednak przytomna, może aż za bardzo, gdyż odstawiona do tego samego szpitala, w którym tak niedawno znalazła się Dorotka, mogąc jeszcze decydować za siebie, jednoznacznie i bezdyskusyjnie odmówiłam poddania się płukaniu żołądka.

Gdy chodziło o nią, nikt ze mną wprawdzie nie dyskutował, nie zachnęłam się jednak nawet na tę konieczność. Teraz gdy chodziło o mnie, walczyłam z lekarzami jak zraniony zwierz. Do dziś nie rozumiem, dlaczego tak się broniłam. Czy bałam się zabiegu, czy też bałam się raczej nieuchronnej po nim kontynuacji obmierzłego mi ze wszystkim życia? W każdym razie nagryzmoliłam swój podpis na podstawionym papierze i czekałam na rychłą śmierć.

Oburzeni, lecz bezsilni lekarze na umieranie odesłali mnie z powrotem do domu, życząc mi jeszcze złowieszczo na pożegnanie „dobrej nocy”. Nie wierzyli chyba, że docipię do rana. Mieli na wszelki wypadek podpisany papier, w którym jak wół stało napisane, że się wypinam na ich wielce humanitarną ratowniczą akcję.

A ja, jak na złość właśnie przetrzymałam. Znów Wielka Opatrzność, która mimo wszystko jeszcze czuwa nade mną i która pomogła mi przeżyć tę koszmarną noc. Pamiętam tylko, że straszliwie bałam się śmierci i siebie. Sama już nawet nie wiem czego bardziej. Bałam się też nadchodzącego dnia. Czułam, że za wszelką cenę muszę być odizolowana, zamknięta, że jest ze

mną naprawdę bardzo źle. I właśnie ten lęk przed normalnym życiem zaważył i sprawił, że znalazłam się w szpitalu powtórnie. Była już godzina czwarta nad ranem.

I stąd ten szpital, o którym opowiadałam na wstępie. Trzymali mnie tam przez dziesięć dni. Później nie bardzo już wiedzieli, co ze mną robić. Wypuścili mnie na dziesięć dni przed moim znalezieniem się w tej klinice. Tak się krąg zamyka. Wróciłam do punktu wyjścia. Tylko co dalej? Jakie konkluzje mogłabym wyciągnąć z tej karuzeli zdarzeń? Bo było tego trochę, niestety.

Nie mogę sobie jednak chyba zarzucić, że lekceważyłam swój stan, że zaniedbałam istniejące środki pomocy. Z wykluczeniem jedynie wyżej wspomnianego epizodu, z całym zaufaniem i z uczciwym przekonaniem, do tego co robię, oddawałam się pod fachową medyczną opiekę. Miałam lekarzkę prowadzącą, zgłaszałam się też do innych specjalistów, szpitali. Niektórzy medycy czy pielęgniarze przychodzili do domu, aż sąsiedzi zaczęli poważnie podejrzewać, że jestem poważnie chora. Może jakiś rak lub epilepsja? A tu nerwy. Kompletna bzdura.

A ja się leczyłam, realizowałam dziesiątki recept, przyjmowałam serie zastrzyków, robiłam najróżniejsze badania, analizy. Z jakim skutkiem? Od jednej depresji do drugiej i kolejny model leczenia i następne *rendez-vous*.

A zawsze też było pod ręką lekarstwo na własny rachunek, na domowy użytek. Wyrób stanowczo już nie farmaceutyczny. Mowa oczywiście o winku, moim wiernym kompanie i współniku. Wino podrzędne, byle jakie, za to w ilościach przerażająco obfitych.

Porcyjka wina, które uspokaja, rozluźnia, dodaje odwagi, otuchy, niekiedy ułatwi płacz. Pewnie to znasz. Wspomaga towarzysko, skraca beznadziejnie puste wieczory, pozwala zasnąć i głęboko spać. Jest oczywiście i druga strona medalu, a tej pewnie nie znasz, bo skąd?

Alkohol, który prowokuje agresję, zaostrza pretensje i żale, powoduje rozdrażnienie, niepokój. Nie znasz tego, to słuchaj dalej jak problemy i kompleksy wyolbrzymia, pogłębia jeszcze rozpacz, poczucie samotności, zagubienia i co jest chyba najgorsze, staje się źródłem wstydu, poczucia winy, jak również zamroczonej lecz dokuczliwej świadomości daleko posuniętej autodestrukcji. Już od tego samego można się zapić na śmierć.

I taka jest cała prawda. Nic tu nie da chowanie głowy w piasek. Sama widzę, że skończyły się żarty. Jeszcze nigdy nie było tak źle. Dobrze też już od bardzo dawna nie było. Gdyby tak podliczyć, jest to bodajże dziewiąta depresja w przeciągu ośmiu tych francuskich lat. Przebieg coraz ostrzejszy, objawy coraz bardziej dokuczliwe, a i prognoza marna. To może faktycznie ja już po prostu zwariowałam, może i nawet jestem niebezpieczna, kto wie?

Niepotrzebnie tylko to wszystko roztrząsam, rozdrapuję stare rany. Już samych aktualności starczy, aby załamać zdrowego na głowie człowieka, a co dopiero mówić takiego psychicznego wraka jak ja.

W pokoju brakuje powietrza. Czuję, że zaczynam się dusić. Smutny korowód przywołanych wspomnień, przykre skojarzenia, pesymistyczne refleksje naładowały mnie trudnym do przezwyciężenia niepokojem. Ciskam się po pokoju jak ten przysłowiowy lew w klatce. Nie mogę znaleźć sobie miejsca. Nerwowo wyłamuję palce, zagryzam wargi aż do krwi. W głowie gonitwa rozpaczliwych myśli. Jakaś nieśmiała modlitwa kołacze się wraz z nimi. Niech się to wreszcie skończy, odwróci ode mnie. Taka już jestem zmęczona. A tak bym chciała odnaleźć jeszcze w moim życiu chociaż kilka lat zdrowych i spokojnych, w których mogłabym być dla moich dzieci normalną, zdrową matką.

Gdyby tak można było zacząć od początku, wymazać całe zło, zapomnieć, co było, przekreślić, co jest. Gdyby... gdyby...

Naciskam czerwony guziczek wzywający do pokoju pielęgniarkę. Nie mam, co się ludzić, sama sobie nie poradzę. Tak się zaczyna atak spazmofilii, inaczej kryzys lękowy, ostatnio częsty u mnie gość.

Nigdy przedtem bym nie uwierzyła, że niedomagania czysto psychiczne aż w takim stopniu mogą zdominować całą fizjologię, zaburzyć, wręcz upośledzić czysto somatyczny aspekt życia. Kryzys lękowy i utrata przytomności, kryzys lękowy i niemal połowiczny autentyczny paraliż lub kiedy indziej napad konwulsyjnych drgawek, aby w to uwierzyć, musiałam doświadczyć tego rodzaju sensacji na własnej skórze.

Nie wierzyli też widocznie w psychogenezę moich zaburzeń liczni interniści, którzy wysyłali mnie na wszystkie możliwe badania, eliminując jako źródło najróżniejsze czynniki z guzem na mózgu włącznie.

Une crise d'angoisse, po francusku ładnie brzmiąca nazwa, określenie spazmofilia też nie zapowiada nic szczególnie groźnego, za to objawy takiego kryzysu można porównać z ostrą padaczką. Na samą myśl robi mi się słabo.

Najpierw rozlewająca się, postępująca drętwość, nasilające się ciśnienie krwi, mięśnie napięte do ostatecznych granic, powykrzywane i pozbawione czucia kończyny, utrata przytomności lub stan niemal kompletnego zamroczenia, a wszystko to prowadzi do punktu kulminacyjnego, którym jest nagły skurcz wszystkich nerwów czy być może wszystkich

krwionośnych naczyń. W każdym razie jest to bardzo ostry, jednoznaczny, totalny spazm. Potem drgawki, dreszcze, nieustanne ziewanie i odczucie wewnętrznego spustoszenia. Przez ciało przeszedł rozszalały tajfun. I mimo że ta niesamowita, demoniczna siła, która eksploduje, szarpie i niszczy wreszcie się wypala, przemija, nie przynosi to ulgi. Wręcz przeciwnie, pozostawia po sobie stan głębokiego psychicznego szoku, porażenie lękowe, odczucie niewymiernego wprost zagrożenia.

Minęło kilka godzin, znów zasiadam w fotelu. Czuję się nieszczęśliwa, zraniona i pokonana, ale jestem zbyt zmęczona, aby reagować, w ogóle nad tym myśleć. Myśli toczą się leniwie i ospale. Tylko w umordowanym, jak po wielkim wysiłku, ciele, od czasu do czasu odezwie się, drgnie jakiś nerw.

Patrzę tępo w smętnie ograniczony ramami okna skrawek szarego, nijakiego świata. Nie widzę znikąd pomocy, nie ma w moim sercu nadziei. Jest mi bardzo, bardzo źle.

Chciałabym wypłakać się serdecznie i żałośnie. Na pewno przyniosłoby mi to ulgę. Wiem jednak, że moje oczy choć mnie bolą i pieką do końca pozostaną suche. Jakby niezdolne już były do płaczu. Jakby się już wyczerpał cały mój zapas łez.

* * *

Jeszcze mi tylko brakowało, jakby tego wszystkiego nie było aż nadto, konfliktów z innymi pacjentami. A było to tak.

Dzisiaj podczas oglądania telewizji, a raczej wyrwanych skrawków przypadkowych programów, atak „Boksera-Proroka” skierował się na mnie. Nieopatrznie. Skąd mógł wiedzieć, że ja też jestem podminowana i agresywna jak rzadko.

Wpadł do sali jak wariat, kopnął z marszu mały podręczny stoliczek. Posypały się niedopałki i suszone kwiatki. Szukając dla siebie miejsca, choć było jeszcze kilka wolnych krzeseł, przesadzał różnych chorych, dosłownie ich przetasował. Było to złośliwe wygryzanie, prowokacyjne wysadzanie z siodła. Taki miał widać kaprys, chociaż potrzebę właściwego usytuowania przed ekranem uzasadniał swoim ciężko upośledzonym wzrokiem, powołując się na opinię nic zresztą według niego niewartych tutejszych lekarzy.

Pacjenci oczywiście bez najmniejszego szemrania zabierali swe tyłki z zajętych siedzeń, a co bardziej gorliwi, nawet jeszcze nie nagabywani podnosili się zawczasu sami, na wypadek gdyby ich miejsce również się „Bokserowi” spodobało. Zrobiło się niezłe zamieszanie. Ja siedziałam trochę z boku.

Usadowiwszy się wreszcie, nowo przybyły telewidz postanowił zaprezentować ogółowi własną wersję programu. Elokwentnie i z wigorem komentował wszystko, co działo się na ekranie. Dorzucał własne interpretacje i konkluzje, a swoje wywody wspomagał urozmaiconym pantomimicznym pokazem. Gadał trochę po francusku, trochę po swojemu, ale za to bez przerwy.

Właśnie zamierałam opuścić salę, gdy niespodziewanie zwrócił się do mnie. Trącił obcesowo mój łokieć, nie tyle prosząc, co żądając, abym dała mu papierosa.

Normalnie obczęstawuję nikotynową używką wszystkich potrzebujących i to bez najmniejszego oporu. Chętnie i z naturalnym wyrozumieniem. Sama nie wiem, co teraz we mnie wstąpiło. Ostentacyjnie wciskając pełną paczkę w kieszeń szlafroka, „Bokserowi” odmówiłam. Tego się nie spodziewał.

Na krótką chwilę zamarł w tępych zaskoczeniu, po czym jak nieostrożnie odbezpieczony

granat gwałtownie wybuchnął. Zaczynała się jego permanentna, cowieczorna i nieunikniona eksplozja. Tyle że tym razem ja byłam jej podmiotem.

Z początku, gdy tylko mnie okrutnie wyzywał, siedziałam nadal spokojnie w fotelu, prosząc go jedynie, aby się przymknął, przestał się nade mną ślinić i najlepiej jakby w ogóle zabrał stąd swój obmierzły pysk. Ciągle byłam grzeczna. Dopiero jak się do mnie poderwał, następując mi niemal na kaptcie i uruchomił mi nad głową młynek tych swoich potężnych bokerskich łapsk, już bez ociągania podniosłam się i ja.

Wzbierający gniew dosłownie mnie ogłuszył, swojego przeciwnika widziałam jak przez mgłę. Puszczając wodze tak zszarpanym ostatnio nerwom, dając nareszcie upust całej nagromadzonej agresji, pozwoliłam się ponieść rozsadzającym mnie emocjom. Jak za sprawą kropli, która przebrała miarę, wylazło, wywaliło się wszystko. Przemówiły żal i rozczarowanie, rozgoryczenie, niepokój i zbyt długo tłumiony bunt. Najmniej chodziło o biednego pomyleńca z jego nikotynowym głodem. Po prostu źle trafił, że stanął na mojej drodze.

A teraz miałam go na wprost siebie z jego zapamiętałym szalem. Szalem, który nie tylko prowokował, ale się również udzielał. Poderwałam się z krzesła i w swojej furii byłam równie obłąkana jak on.

Rzuciłam się do walki, nie czekając na rozpoczynający rundę gong. Wymachując rękami na oślepe, napierałam na „Boksera”, spychając go do linek. Trafiłam go raz i drugi, częściej jednak bombardując próżnię. Usłyszałam trzask rwanego materiału, pewnie zniszczyłam jego sportowy przyodziewek. On też musiał mnie dosięgnąć, gdyż poczułam tępy ból w okolicy ucha. Jakbym tylko na to czekała, aby się zapamiętać bez reszty.

Teraz już szłam na całego, będąc gotowa paść w tej nierównej walce z jakby nie było „zawodowcem”. W najmniejszym stopniu nie panowałam nad sobą, byłam półprzytomna, dygotałam cała jak w febrze żądna krwi.

Pamiętam jeszcze tylko, jak mobilizowałam całą swoją pamięć i wyobraźnię, aby przywołać wszystkie najbardziej grubiańskie, najbardziej ordynarne francuskie wyrażenia, jakie kiedykolwiek obły mi się o uszy. Przytaczałam je na tę okoliczność bez pardonu. Klęłam też zdaje się po polsku. Nie jestem pewna, byłam jak w transie. Czułam, że coś się we mnie załamało, pękło. Nikt nie byłby w stanie mnie powstrzymać, „ocucić”. Dzisiaj ja dawałam swój popis.

I poskutkowało. Osłupiały „Bokser” odskoczył ode mnie. Jeszcze bardziej wybałuszył te

swoje wytrzeszczałe gały. Pojękiwał, wygładzając uparcie porwany rękaw koszulki. Przysiadł spokojnie, jak gdyby nigdy nic, tyle że już nawet nie w fotelu, a w kucki pod ścianą na podłodze.

Nic się nie odzywał, tylko obserwował mnie spode łba. Wreszcie nie wytrzymał i zwracając się do świadków całej sceny, tego naszego starcia, pytał kto ja jestem, skąd się tu wzięłam.

Nikt z zebranych nie był oczywiście w stanie zaspokoić jego ciekawości. Oni sami o sobie nie wiedzieli za bardzo kim byli. Za to ja, poprawiając na sobie z gracją rozchełstany nieco szlafroczek, siłą się, aby mój głos zabrzmiał autorytatywnie i stanowczo, zaanonsowałam z dozą pewnej dumy – dyrektorka jestem. Dorzuciłam jeszcze mimowolnie kilka niewyszukanych epitetów pod jego adresem, po czym ponownie z mocą wypunktowałam – Pani Dyrektorka.

I tu „Bokser” zwątpił. Zwiesił łeb po sobie, zmałał, a po chwili oświadczył wszystkim, że ma już dosyć znieawidzonej francuskiej telewizji, opuścił zbiorową salę. O ile wiem, tego wieczoru w żadnym innym miejscu, jeśli tak można powiedzieć – publicznym, już się więcej tego wieczoru nie pokazał.

Zostałam sama na placu boju. Czuję się okropnie. Przepelniał mnie głęboki niesmak i przerażenie wobec własnych niepoczytalnych reakcji.

Jak mogłam do tego stopnia stracić kontrolę nad sobą, tak się zapamiętać, unieść? To ci dopiero godnego przeciwnika sobie znalazłam – nieszczęśnika opętanego obłędem. Nic już nie rozumiem z tego, co mi się ostatnio przydarza, nie rozpoznaję własnych reakcji i nastawień. Jestem na siebie wściekła i sama napawam się obrzydzeniem. Co się ze mną dzieje? Przepelnia się widać miara mojej wytrzymałości. Nie zniosę tego dłużej. Mam dosyć, cholernie dosyć.

Nic na to nie poradzę, nie mogę już patrzeć na osaczające mnie na każdym kroku błędne, niewidzące oczy chorych, słuchać ich bezsensownego bełkotu. Przeważającym i autentycznym zagrożeniem napawają mnie docierające zewsząd na wpół zwierzęce odgłosy. Robi mi się wręcz słabo, gdy widzę ich chwiejne, nieskoordynowane ruchy czy też ciężko pijany, zataczający się chód.

Pomijając nawet takie akcje jak wyżej, tu zawsze coś się dzieje. Jeden chodzi nago po korytarzu. Inny się zanieczyścił i teraz histerycznie się śmieje. Jeszcze inny błaga, aby go przytulić. Wczoraj jeden niezadowolony porwał dekoracyjną palmę na strzepy, a potem płakał nad swoim okrucieństwem w niebogłosy. Ktoś tam poturbował lekarza.

I tak bez końca. Jedna wielka piramida ludzkiego nieszczęścia. A ja się od tego wszystkiego egoistycznie odcinam. Nawet więcej, przeciwstawiam się i buntuję, chociaż zawsze się miałam za osobę wrażliwą i współczującą cierpieniom bliźnich. Widać łatwiej się współczuje

teoretycznie i na odległość, niż kiedy się samemu w takim skumulowanym nieszczęściu tkwi.

Tutejsza okrutna rzeczywistość przerasta granice mojej tolerancji, psychicznej wytrzymałości i zupełnie nie mogę sobie z tym poradzić. Najlepszym dowodem niechlubny epizod, który się rozegrał przed chwilą. Już reaguję, jak oni wszyscy tutaj. To co będzie dalej?

Zamiast się wyleczyć z błahej depresji, skończę jak najprawdziwszy czubek. Nie dać się zwariować, to przede wszystkim. Za wszelką cenę muszę się bronić. Tylko jak?

Zobojętnieć na wszystko, opancerzyć się twardą skorupą jak żółw, zapomnieć gdzie się znajduję, najlepiej przestać w ogóle o tym myśleć. Słusznie i rozsądnie. Tylko jak to zrobić, tylko jak?...

* * *

Cała noc przespana. Co za dobrodziejstwo, jaka ulga. Po długotrwałej, chronicznej już zapewne bezsenności, przeplatanej męczącą mozaiką okrutnych koszmarów, po raz pierwszy głęboki i spokojny sen. Wreszcie całkowite oderwanie się chociaż na pewien czas od męczącego psychicznego chaosu niosące odprężenie i pozwalające na odzyskanie sił.

Czuję się rześka, wypoczęta, przepelniona energią i ten mój stan jest tak niecodzienny, że aż dla mnie dziwny. Z radosnym entuzjazmem odkrywam go na nowo. Jedna mała, normalnie przespana noc, a dla mnie jest to wydarzenie i święto.

Nareszcie przydali się na coś tutejsi medycy, o których już myślałam, że dali co do mnie za wygraną, tak się niedowierzająco dziwowali, konstatuując moją wyjątkową, aczkolwiek ewidentną odporność na ich sprawdzone i niezawodne farmakologiczne receptury. Najważniejsze, że w końcu znaleźli, co potrzebne, a biorąc pod uwagę, jak w tej chwili wprost nieprawdopodobnie dobrze się czuję, musi to być trafienie w dziesiątkę.

Przez ostatnie chorobliwe lata nałykałam się najróżniejszych nasennych środków co niemiara. Zaliczyłam nawet, mające przynosić rewelacyjne skutki, seanse hipnozy i akupunktury. Efekty były byle jakie. Nawet jeśli udawało mi się wreszcie zasnąć w sztucznym, niemal narkotycznym odurzeniu i przespać noc lepiej lub gorzej, co z tego, kiedy rano wstawałam półprzytomna, niemal pijana i skołowaciała ze szczętem.

Snułam się potem w ciągu dnia śnięta i wypluta, wlewając w siebie morze kawy, decydując się niekiedy na krótką, nerwową drzemkę. Byłam do niczego. Niecierpliwie czekałam już tylko na niezawodną i faktycznie dopingującą dozę regularnego wczesnowieczornego drinka. Oczywiście, każdy następny łyk coraz bardziej mnie wspomagał, ustawiając ospały metabolizm na szybsze obroty, aż do nieuniknionego odurzenia, pozwalającego zapaść w niespokojny sen. Tak to szło. Kłopoty ze spaniem i pierwszy krok na drodze do alkoholizmu zrobiony.

Za to dzisiaj było zupełnie inaczej. Gdy o godzinie szóstej rano przyszła pielęgniarka z termometrem, ja już kręciłam się po pokoju. O tak w końcu wczesnej porze czułam się w pełnej formie, na biegu. Zupełnie jakby ktoś we mnie wmontował silną baterię, mocną sprężynę, mały wewnętrzny motorek. Byłam przepelniona energią, gotowa do konstruktywnego działania takiego

choćby jak przepierka, zrobienie porządku w szafie czy podjęcie zarzuconego od wielu dni pisania. Po prostu niebywałe.

Jeśli tylko byłoby tak dalej, dobra nasza. Są pierwsze efekty, jest więc sens i całą resztę leczyć. Po raz pierwszy od mojego tu przyjscia coś wreszcie ruszyło, zmieniło się na lepsze. I jest to ważne, nawet bardzo ważne. Podbudowuje i budzi nadzieję.

To tak, jakbyś na końcu długiego, czarnego tunelu zobaczył jeszcze nieśmiało, lecz przyciągające i pełne obietnic małe, jasne światło. Jeśli je raz dostrzeżesz, zaczynasz wierzyć, że mordercza wędrówka w ograniczonej i przytłaczającej przestrzeni jest już tylko kwestią czasu, który cię zbliży ku światłu. A światło to wyjście z tunelu-pułapki, to twoja wolność.

Przy okazji śniadania, porannych zabiegów i obchodu dzielę się ze wszystkimi rozpierającymi mnie uczuciami zadowolenia i ulgi. Chyba po raz pierwszy ludzie, którzy mają tu ze mną do czynienia, widzą mnie odprężoną i uśmiechniętą. Przyglądają mi się z pełnym sympatii rozbawieniem i wydaje mi się, że oni również się cieszą. Mam wrażenie, że dzielą ze mną ten nasz wspólny pierwszy sukces.

Podczas przedpołudniowej przechadzki wciąż jeszcze jestem pogodna, staram się więc konsekwentnie unikać wszelkich stresujących bodźców, nieprzewidzianych niemiłych sytuacji, które mogłyby mnie z tak błogiej duchowej równowagi, nie daj Boże, wyprowadzić.

Spaceruję sobie na pełnym luzie, jak po sopockim molo. Papieros w zębach, ręce w kieszeniach, wzrok z wyczuleniem radaru omijający każdy „nieprzyjacielski obiekt”. Staram się nie dostrzegać żadnych anomalii, próbuję zatrzaskać uszy na wszelkie dziwne jak na sopocką promenadę odgłosy.

Przechodzę, jak gdyby nigdy nic, obok nagusieńkiego i bawiącego się swoim penisem „Dziadka”. Siłą woli ignoruję, nie dość że bliski, to do tego ustawiony na najwyższych tonach i decybelach histeryczny wrzask. Z braku morza i plaży podziwiam reprodukcje na ścianach i kwiatki w doniczkach. Za nic nie dam się dzisiaj niczym rozstroić. Pozostanę głucha i ślepa. Ja się po prostu przechadzam. Dobrze powiedziane – po prostu.

Patrzę, grają w ping-ponga. Bardzo relaksująca gra, a do tego graczami są chyba jacyś zupełnie normalni ludzie. Nie chciałabym być szablonowa ni wobec pacjentów niesprawiedliwa, jednak różnicę między zdrowymi psychicznie i chorymi daje się zaobserwować nawet na odległość.

Zbliżam się do stołu, chociaż popatrzę, podopinguję. Może nawet ktoś zechce ze mną zagrać,

byłaby to rozrywka, co się zowie. Zwalnia się akurat miejsce, więc stoję za stołem. Piłeczka robi swoje klak – klak. Partner jest dla mnie jak znalazł, nie kompletna noga, ale i też niespecjalny as.

Gramy sobie rutynowo: najpierw mała rozgrzewka, potem mecz. Niestety do rewanżu nie doszło. A szkoda, bo tę pierwszą rozgrywkę, zamiatając z fasonem podłogę swoim długim, ciężkim szlafrokiem, przegrałam tylko do szesnastu. Znając siebie, na pewno bym się w tym drugim meczu odkuła. Wyczułam już partnera, a miałam też w tej grze opanowane pewne sprawdzone triki. Byłam na dobrej pozycji, gdyż powoli ogarniał mnie przynoszący rekordy koncentracji i sprawności prawdziwy sportowy trans. Wymieniliśmy już nawet rakiетки i miejsca za stołem, wszystko przepisowo i z zachowaniem reguł. Ale do meczu nie doszło, gdyż nagle jak spod ziemi wyskoczyła pielęgniarka i wyrwała mi rakiетkę z rąk.

Muszę przyznać, że zrobiła to dosyć gwałtownie, aż mnie zarzuciło na boki. Zaskoczona jej brakiem delikatności, że nie powiem, jej jawnym chamstwem, zdenerwowana, usiłowałam odzyskać odebrany mi sprzęt. Szarpałyśmy się już teraz obie. Mój partner, człowiek z zewnątrz przyglądał się nam nieco zszokowany. Nie zdawał sobie widać sprawy, że wszyscy tutaj są stuknięci, personel też.

Rozwścieczona pielęgniarka wrzeszczała. Wyrzucała z siebie słowa tak szybko i piskliwie, że prawie nic nie rozumiałam. A ona właśnie o tym, że ja chyba faktycznie nie rozumiem, co się do mnie mówi, bo robię wszystko na opak i zupełnie nie to co trzeba. Od samego początku są ze mną tylko same kłopoty, historie. Jestem złośliwy przypadek i tyle. Z kuracji jaką mi przepisali lekarze wynika, że co najmniej przez tydzień, tu podstawiła mi pod nos siedem swoich paluchów, miałam leżeć jak betka, nic nie wiedząc o Bożym świecie. Miałam spać, a oni mieliby mnie z głowy. A ja nie dość, że wstałam dnia następnego, to jeszcze popołudniowych sjest jak przyzwoity pacjent nie robię, szachruję z kroplówkami i nawet w nocy nie śpię, dokuczając dyżurującym pielęgniarkom. Robienie na przekór i zła wola. Kto to w ogóle widział? Tego tu nikt nie widział. A teraz jeszcze wymyśliłam to latanie jak głupia wokół pingpongowego stołu.

Tego chyba najbardziej nie mogła strawić. Wyglądało na to, że w czasie meczu mogłam paść trupem czy jeszcze gorzej, a ona nie może na to pozwolić, bo jest na dyżurze i jest odpowiedzialna. Jutro ma wolne, mogę skakać i z dachu, nic jej do tego. Dziś nie.

Nawet trochę szkoda mi się jej zrobiło. Tak się przejęła, zajadła. Aż pufała, poczerwieniała z tej złości. To bardzo niezdrowo z byle powodu denerwować się do tego stopnia, tak się unosić, pozwolić sobie na szarpanie pacjenta, a więc tracić hamulce. A ja nic.

Stoję przed nią spokojna, pewna siebie. Zupełnie jakby wrzeszczała nie do mnie. Postanowiłam sobie przecież, że dzisiaj nic mnie nie wytrąci z równowagi. Dystans i pełny luz. Widać zaczynam już nad sobą panować. Może też zresztą i lepiej, że jej oszczerstwa rozumiałam zaledwie piąte przez dziesiąte. Dowód, że słaba znajomość francuskiego też może na coś się przydać. Sportowy animusz jednak jakoś opadł, partner się ulotnił, postanawiam więc resztę przedpołudnia spędzić w zaciszu pokoju, oddając się zajęciom już nieco mniej wyczerpującym, na zasadzie – łaski bez.

Po obiedzie znów wychodzę. Nie będę się przecież przejmowała jakąś znerwicowaną pielęgniarką, która wolałaby, abym nie wytykała poza swój pokój nosa. To jej problem, że jej działam na nerwy. Niech zmieni robotę, bo tutaj faktycznie można się nerwowo załamać. Już ja to wiem.

Salę pingpongową na wszelki wypadek omijam. Nie mając dużego wyboru, decyduję się na oglądanie telewizji. Zawsze coś wyłapię z tych co chwilę zmienianych programów. Może szczęśliwie w sali nie będzie akurat nikogo, a jeśli nawet. „Bokser” nie śmie już na mnie naskoczyć, a co też mi może przeszkadzać nagminne puszczanie gazów. Stać mnie na tolerancję i wyrozumiałość. Przecież to takie naturalne, ludzkie, a przy ospałym trybie życia, jakie się tu prowadzi wręcz nieuniknione.

Sama czuję się napęczniała, rozpuchła jak nadęta żaba. Muszę stanowczo więcej się ruszać. Wcale nie takie głupie było to posunięcie z ping-pongiem. Jutro tej znerwicowanej nie ma, potrenuję trochę. Jak się ma słabą głowę, to chociaż o fizyczną kondycję trzeba dbać.

A telewizzowie niech sobie pierdzą do woli. Stać mnie na tolerancję i wyrozumiałość. W końcu to ludzie chorzy. Niekoniecznie potrafią panować nad swymi odruchami, z seksualnymi apetytami włącznie.

Raz byłam nawet przypadkowym świadkiem, jak jeden pan z ognistym zapalem zaczął dobierać się do jednej pani. Rozgrywało się to w salonie na oczach wszystkich mniej lub bardziej zainteresowanych sceną pacjentów.

Pan jak tokujący gołąb, najpierw nęcąco kręcił się wokół swojej wybranki, po czym już zuchwale usiłował ściągnąć z niej koszulę. Dosłowny wybuch wulkanu namiętności. Pani za to była zdecydowanie oziębła, raczej umysłowo nieobecna. Nawet się nie oganiała przed coraz bardziej natarczywymi awansami swego wielbiciela. Stała sobie rozneglizowana, ze smętną melancholią patrząc w bezkresną dal.

I do niczego w końcu nie doszło, bo Panu coś się jednak nagle odwidziało. Odskoczył od Pani jak oparzony, z wielce zawziętą miną podciągnął niemal po pachy spodnie swojej piżamy i odszedł, pozostawiając swoją towarzyszkę nawet nie zdezorientowaną, za to na pewno niedopieczoną, ale co jej tam.

Wchodzę do sali telewizyjnej. Wcale z tymi gazami nie przesadzałam, taki tu straszny zaduch. Wciąż jestem tolerancyjna, nie używam brzydkiego słowa smród.

Mam pecha, telewizor jest najwyraźniej popsuty. Został wprawdzie włączony, na ekranie nie ma jednak żadnego obrazu. Płatanina czarno-białych pasów przy maksymalnie nagłośnionym skrzeku.

A telewidzowie sobie siedzą. Pięć, może sześć osób wpatruje się najspokojniej w migającą sieczkę rozproszonych i nic nieznaczących emitowanych fal. Nie wygląda jednak, aby to im w czymkolwiek przeszkadzało, nie mówiąc już o najmniejszym rozczarowaniu, bo skąd. Wszystko jest w porządku. Ich oczekiwania zostały spełnione. Telewizor gra, a oni przyszli oglądać telewizję. Mimo wszystko ja jestem trochę bardziej wymagająca. To już się chyba lepiej porzechadzam.

Nawet dobrze się składa, gdyż w sali gimnastycznej wyjątkowo coś się dzieje. Szykuje się jakaś duża impreza. Znoszą krzeselka, stoliki i zastawę. Rozkładają plakaty, broszury, ustawiają talerze i kieliszki. Będzie to więc zapewne konferencja z ochlajem. W głównym korytarzu przewija się mały tłumek ludzi, panuje niecodzienny, ożywiony ruch. Jest tu pewnie cały tutejszy personel jak również goście z zewnątrz. Robi się niezły ścisk.

Staję na uboczu, w swoim szlafroku czuję się skrępowana wśród elegancko ubranych ludzi. Niezaprzeczalna jednak przyjemność choć biernego uczestniczenia w tak różnym od klinicznej rutyny zbiorowym ożywieniu jest zbyt silna, abym zdecydowała się odejść.

Chłonąc pazernie wszystkimi zmysłami atmosferę, jaką wnoszą zdrowi, normalni ludzie, nie mogę jednocześnie oprzeć się wrażeniu, że niektóre osoby, które tu spotykam, gdzieś już na pewno widziałam, skądś je znam. Jest to jednak rozpoznanie bardzo nieokreślone i mgliste. Tak jakbym miała z nimi do czynienia przed bardzo wielu laty. Nie jestem w stanie uzmysłwić sobie ni okoliczności ni czasu takiego wielce zresztą problematycznego kontaktu. Fantomy mojej chorej wyobraźni, ot co.

Stoję na uboczu pogrążona w posepnych rozważaniach. Jakże zazdroścę otaczającym mnie ludziom ich beztroski i radosnego podniecenia.

Niespodziewanie podchodzi do mnie taka właśnie rozbawiona para. Kolorowo i modnie ubrani nieznani mi ludzie. Witają się ze mną uściskiem ręki, zapytują, jak mi się powodzi, wyrażając nadzieję, że teraz jest już lepiej. Chcą też wiedzieć, jak sobie radzą moje dzieci, czy mają prawo mnie tu odwiedzać.

Za chwilę zbliża się jeszcze jedna kobieta, która się również zachowuje, jakby mnie dobrze знаła. Ta sama z siebie konstatuje, że mam się znacznie lepiej. Lepiej, niż gdy widziała mnie po raz ostatni. A ja zupełnie nie wiem, o czym ona mówi.

Na wszelki wypadek gorliwie potakuję, wysilam się na uśmiech, choć w głębi duszy jestem przekonana, że te życzliwe osoby musiały pomylić adresata i biorą mnie za kogoś innego. Kogoś kogo znały, o kogo się martwiły i z kim musiało być kiedyś bardzo, bardzo źle.

* * *

Mijają dni. Mimo ogromnej monotonii i nudy czas biegnie nieprzerwanie, wydłużając kalendarz mojego klinicznego życia. Jestem już wytrawną pensjonariuszką, pacjentem – starym wygą.

Poznałam wszystkie tutejsze mechanizmy, zwyczaje i sztuczki. Sama w swoich drobnych samoobronnych wybiegach doszłam już niemal do perfekcji. Poczynam sobie coraz odważniej i śmielej, nierzadko wręcz bezczelnie. Mam wrażenie, że jestem tu od bardzo dawna, choć to dopiero zaledwie trzeci tydzień.

Rutyna i tutejsze reguły, którym z początku tak żywiołowo się przeciwstawiałam, sama nie wiem jak i kiedy, zdominowały mnie, ustalając określony model mojego tu życia. I przyniosło mi to pewną ulgę. Przestałam walczyć, buntować się, rozumować i szarpać. Introspekcję zawiesiłam na kołku.

Czuję się trochę jak posłuszny, poddawany tresurze zwierzak, który odpowiada oczekiwanym stereotypem zachowań na określone hasło. Ja też żyję z sygnału na sygnał, od jednego etapu do etapu najbliższego, odpowiadając jednoznaczną reakcją na ściśle wyszczególniony bodziec. Sen, posiłek, przewidziany zabieg, rozmowa z lekarzem to kamienie milowe mojej maksymalnie ograniczonej i całkowicie podporządkowanej psychofizycznej egzystencji. I tak jest łatwiej.

Cała reszta, rozterka, brak akceptacji dla siebie i choroby, potęgujący się niepokój, ten cały depresyjny ból, zawisły gdzieś poza mną w bliżej nieokreślonej próżni. Sama widzę, że zrobiłam się jakaś wyciszona, zobojętniała, przytłumiona lecz w sumie jest mi tak znacznie lżej.

Przed kilku dniami otrzymałam z domu bardzo cenną przesyłkę: radio-magnetofon, moje ulubione kasety, kilka książek, a nawet mały, czarno-biały, przenośny telewizor. Mam więc już swoje okno na świat, poszerzył się zakres moich aktywności. Od razu szybciej upływa czas, nie czuję się już tak samotna.

Prowadzenie tego dziennika też należy do mojej codziennej rutyny. Pisanie tak bardzo mnie już wciągnęło, że chyba trudno byłoby mi się bez niego obyć. W każdej wolnej chwili łapię za pióro, by przelać na papier wszystko, co mi akurat kołacze się w głowie. Wyrzucam to z siebie,

a raz ujawniwszy w słowa w jakimś sensie neutralizuję, unicestwiam. Tak więc znów odskocznia i zapomnienie.

Nie tylko z potrzeby zapełnienia tych kartek, ile raczej z autentycznego zainteresowania, jak również wrodzonego wścibstwa, wnikliwie obserwuję otaczających mnie ludzi. Mniej lub bardziej dyskretnie podglądam zarówno personel przy pracy, jak innych chorych, moich towarzyszy niedoli. Aby było łatwiej i mniej anonimowo, sama w myślach ponazywałam ich sobie. Są zresztą tacy charakterystyczni.

Tak więc na początek „Pani Grzeczna ze szklanką”.

Jest to taka sobie zwyczajna pani w średnim wieku, bardzo zadbana i chociaż występuje w stroju nadającym się do alkowy, zawsze pojawia się starannie i ładnie ubrana. Schłodna nocna koszulka pod równie schłodną i skromną podomką, kolory wdzięcznie cukierkowe, falbanki i koronki. Włosy czyściutkie, mocno przylizane, przepasane ozdobną tasiemką. Sama słodycz. Do tego niezmienny, jakby przyklejony, aż ujmujący za serce taki uprzejmy, wręcz podlizujący się wyraz twarzy. W ręku szklaneczka. Postawa ciała w cierpliwej gotowości lekko pochylona do przodu, nogi niewygodnie ściągnięte ku sobie w skromny ciup.

I tak sobie stoi. Stoi tak i czeka, wyciągając w żebraczym geście swą szklankę. Mówiłam już, że wszyscy zgłaszamy się trzy razy dziennie pod gabinet po lekarstwa, lecz „Pani Grzeczna” jest tam niemal zawsze. Czeka sobie na zapas, na wszelki wypadek. Ona zawsze tam tkwi.

Stoi grzecznie z boku, aby nikomu, broń Boże, nie przeszkadzać i bez specjalnego wyszczególnienia adresata niezmordowanie ujmująco się uśmiecha. Po otrzymaniu swojej porcji leków wraca na chwilę do pokoju, robi też króciutkie przerwy na czas obchodu i posiłków, ale gdy tylko jest już wolna od „obowiązków”, natychmiast wraca na swoje stanowisko i czeka z wyciągniętą szklaneczką, niezawodnie grzeczna i cierpliwa.

Następny to „Narkoman”, przesympatyczny osiemnastoletni chłopak.

On również kręci się wiecznie koło gabinetu pielęgniarek, inaczej jednak niż „Pani ze szklanką”. Nie stoi cierpliwie i nie czeka, tylko podkrada się, zaczaja jak chcący pograsować w kurniku wygłodniały lis. Uważnie obserwując, co się dzieje, szykuje się do skoku. Aż się trzęsie, poci i ślini z tej chuci. Przy tym uśmiecha się, zagaduje, czaruje. Można powiedzieć zamiata ogonem. Tylko czyha na nieuwagę pielęgniarki, aby dopaść i podkraść jakąś pigułkę lub ampulkę z zastrzykiem. Sama widziałam kilkakrotnie, jak mu się to udało. Łapał chciwie swą drogocenną zdobycz i uciekał pospiesznie, by ją w spokoju skonsumować, a zaraz potem wracał

na swoje łowieckie stanowisko, trochę tylko bardziej kołowaty, odurzony.

Musi być bardzo potrzebujący, tak jest zdesperowany, zawzięty. Aż żal na niego patrzeć, jak przy okazji kolejkowego pobierania leków strasznie cierpi na widok znikających w czeluściach czyichś przełyków nieosiągalnych dla niego, a tak upragnionych psychotropowych porcji. Jak kat nad dobrą duszą, stoi uparcie z boku kolejki, bacznie obserwując przełykających swoje racje pacjentów. Może coś komuś spadnie lub ktoś się zakrztusi i wypluje? Tylko na to czeka, błyskawiczny skok i chaps. I chyba nas wtedy nienawidzi, taką niechętną, wręcz wrogą ma minę. Zresztą wygląda podczas takiego „polowania” okropnie. Błędny, zatracony wzrok, wargi spieczone, spalone jakąś wewnętrzną gorączką, nerwowo i głośno przełyka ślinę.

Gdy go obserwuję w tym stanie, widzę żalony wrak człowieka, a przecież to chłopak dopiero wchodzący w życie. O ile wiem, jest w trzeciej klasie liceum, ma kochającą go i jak najbardziej poprawną rodzinę. Fatalny start, pełen cierpienia okrutny początek młodego życia, a co dalej? Żal mi bardzo sympatycznego skądinąd lekomana.

Bo jest to chłopiec naprawdę przemiły. Poza stanami okaleczającego go psychicznie narkotycznego głodu jest błyskotliwy, dowcipny i przyjazny. Niemal od początku nawiązała się między nami nić szczerzej sympatii. Kiedy jest tylko w lepszej formie, podbiega do mnie, wita się ze mną jak ze swoją kumpelką, dając mi buzi z boku. Raz usłyszawszy, jak skarżę się pielęgniarce, że kończą mi się już papierosy, bez wahania wyciągnął jednego zza ucha i oddał mi tę swoją rezerwę. I musiał dobrze sobie zakodować ten mój brak nikotynowej używki, gdyż teraz bardzo często dzieli się ze mną swym łupem. Sam nie pali i podejrzewam, że wyłudza papierosy od innych.

Poza tym to przystojny, dobrze zbudowany młodzieniec. Od wczoraj trochę stracił na wyglądzie, gdyż zgolił sobie głowę na maszkarną łysą pałę. Zrobił to własnoręcznie, czym niebywale się chlubi i jeszcze mnie swe usługi poleca, przekonując, że tylko tak „ufryzowana” mogę wreszcie odnaleźć swój wyzwolony, autentyczny styl. Może to i niegłupie, kto wie?

Korowód przewijających się tu postaci jest bardzo zróżnicowany i długi. Wśród nich nie można przeoczyć atrakcyjnej i zgranej pary, jaką stanowią „Karacista” wraz z „Chinką”.

Są nierozłączni. Może to narzeczeni, pewne spoufalenie między nimi wyraźnie rzuca się w oczy. Spacerując, obejmują się czule i niezmordowanie szepczą do siebie swoje zawile sekrety. Zawsze zajęci są sobą bez reszty, nie sądzę, aby cokolwiek z zewnątrz do nich docierało. Miłe dla oka czule stadło, chociaż fizycznie nie pasują do siebie raczej wcale.

„Karacista” to chłop rosły na dwa metry, do tego gdzieś ze sto kilo wagi. Cerę ma trochę żółtawą, oczy nieznacznie skośnie, włosy połyskliwe i czarne. Tylko ta imponująca postura trochę myli, gdyż jakoś nie bardzo pasuje do azjatyckiej rasy. Za to uniform ma tamtejszy i wielce tradycyjny. Jest to imponująco piękne, koralowego koloru kimono, całe pomazane w czarne agresywne zygzaki, a do tego przepasujący talię szeroki, biały pas. Na nogach klapki z trzciny. Taki przerośnięty samuraj.

Ale co tam ubiór, to tylko rekwizyty. Trzeba go zobaczyć, jak chodzi, jak się porusza. Pełna sprawność, gracia i szpan. Nawet niekiedy zatrzymuje się na moment w swym spacerze, aby pewnie dla zachowania wprawy, przeciwiczyć sobie jakąś skomplikowaną pozycję i wejście na przeciwnika. Wydaje przy tym dosyć dziwne odgłosy. Przy markowanym ataku groźnie pokrzykuje, a dla lepszej koncentracji oddaje się z całym przejęciem głębokim sapaniom. Na czas pokazu „Chineczka” na wszelki wypadek ostrożnie się odsuwa, widać jednak, że bardzo swego „Karaciste” podziwia.

„Chineczka” przy swoim partnerze wygląda jak filigranowa lalka. Jest drobniusia i malutka, przy tym naprawdę bardzo ładna. Taka wdzięczna miniaturka. Poza tym jest elegancka, wygląda zawsze jak wyjęta z żurnala. Zgrabna garsonka, kolorystycznie dobrane półszpilki, barwna i fantazyjnie przewiązana apaszka, w uchu oryginalny kolczyk czy klips.

Ćwierkając coś bez przerwy cienkim, piskliwym głosikiem, ledwo nadaża swoim drobnym, pospiesznym kroczeniem za stawiającym kroki szerokie i zamaszyste „samurajem”. Widać jednak, że bardzo się stara, a przy tym jeszcze ślicznie się uśmiecha. Ogólnie jest urocza. Jedyne co razi, to jej nienaturalne, sztywne ruchy. Bardzo zgrabna sylwetka, a porusza się jak manekin lub mechanicznie nakręcona zabawka. Mówi się nawet – chodzi, jakby kij połknął i taki jest właśnie jej chód. O ile dobrze podsłuchałam, zostało jej to po zabiegu. Jest stewardesą francuskich linii lotniczych, nabawiła się kłopotów z alkoholem i podobno wszyto jej tutaj w szyję *Esperal*. A jeśli tak, to sza.

Chociaż tak po prawdzie, dyskrekcji tu nie ma za grosz.

Pielęgniarki czy panie z obsługi głośno między sobą dyskutują, komentując poszczególne przypadki. Wyciągają na tapetę całą historię choroby, z intymnymi szczegółami z życia pacjenta włącznie. Wszystko wiadomo: co, kto i dlaczego. Obchód lekarski też odbywa się zwykle przy otwartych szeroko drzwiach. No pewnie, co tu ukrywać? Jaka znowu różnica – wariat czy alkoholik? Tak, czy inaczej, sami swoi.

Stąd wiem, że „Podrywacz” to alkoholik. Widzę też zresztą, jak trzy razy dziennie wpycha w siebie cudotwórcze piguły wspomnianego wyżej *Esperalu*.

Niepijącym, gwoli lepszemu zrozumieniu wyjaśnię, że ten zdradliwy specyfik potrafi obrzydzić nawet w upalny skwar wyciągnięte prosto z lodówki, dobrze schłodzone piwo. A jeśli nawet nie obrzydzi i umęczony dylematem – wypić, nie wypić, w końcu się na ten orzeźwiający alkoholowy napój skusisz, *Esperal* załatwi cię na cacy, jakbyś jedną nogą zahaczył już o tamten, podobno lepszy świat. Sensacje po wypiciu mają być cholernie przykre. Lekarze straszą lojalnie nawet ryzykiem zejścia śmiertelnego. Widziałam już jednak alkoholików, którzy wszyte im straszdyło wydrapywali żyłką lub lekceważąco i mimo wszystko bezkarnie zalewali je wodą, równie szczerze jak nurtującego ich butelkowego robaka. Zawsze mówiłam, niełatwe jest życie pijaka. Zupełnie taki nie wie, komu w końcu ma wierzyć.

Ale „Podrywacz” postawił na medycynę. Jest tu już co najmniej drugie tyle co ja. To naprawdę przystojny mężczyzna w średnim wieku. Tak jak lubię, wysoki, dobrze zbudowany, lekko szpakowaty brunet. Do tego męski, dodający mu szarmu czarny wąsik. Wśród Francuzów zarost na twarzy jest raczej rzadkością, miałam nawet z początku nadzieję, że trafił się tu jakiś rodak. Na pewno znów upraszcam, ale nie mogę się powstrzymać i w każdym spotkaniem za granicą wąsacz od razu dopatruję się Polaka. Ten jest tutejszy i jak już mówiłam, straszny z niego podrywacz.

Ja niestety nie wpadłam mu w oko, mnie nagabywał tylko raz. A chodziło mu wtedy o te trzy małe orzeszki, bo to był właśnie ten. Widać jednak, coś mu się tylko jednorazowo pomyliło, bo więcej się już ze swoją natarczywością nie narzucał, o orzeszkach też jakby zapomniał.

Nasze pokoje są usytuowane na wprost, widujemy się często. W stosunku do mnie jest zawsze uprzejmy i grzeczny, a nawet w razie potrzeby pomocny, ale żeby podrywać, to nie. Może i nawet nie w tym rzecz, że nie wytrzymuję konkurencji. Jest inny powód, perswaduję sobie. Tego by jeszcze brakowało, abym i tutaj pogłębiała swoje kobiece kompleksy.

A prawda jest taka, że „Podrywacz” jest wiecznie głodny. Skarzy się nieustannie, że go aż ściska w żołądku, stanowczo za mało dostaje tu jeść. Tak więc pod obstrzał jego uwodzicielskich spojrzeń, na lep jego umiejętnie prezentowanych wdzięków padają w pierwszym rzędzie i bez żadnej konkurencji panienki roznoszące posiłki. Zgrabne biusty, fantazyjne fryzury i warząchew.

Już od samego rana, gdy tylko pojawią się one w oddziałowej kuchni, wygłodzony donżuan natychmiast też tam jest. Bez zbędnej straty czasu, jak ten zgrzany z podniecenia gawron,

zaczyna nadskakiwać, tokować. I tokuje tak cały dzień. A kręci się, a pomaga, manipuluje wózkami, znosi naczynia i wyrzuca śmiecie. Obserwuję, że w miarę upływu kuracji jest jakby coraz silniej umotywowany i z dziewczuszkami poczyna sobie z dnia na dzień bardziej śmieie. Obląpuje je, podszczypuje, one tylko piszczą z uciechy. Dobrze, że chociaż żona obarczona dwójką dzieci nie ma jeszcze prawa do wizyt. Mając w domu na codzień uprzykrzonego alkoholika, przykro by jej było zapewne zobaczyć uzdrowionego, czarującego personel donżuana. My kobiety, nie jesteśmy zbyt wyrozumiałe.

Za to, tu trzeba przyznać sprawiedliwie, w punkcie kulminacyjnym, to znaczy podczas samego wydawania posiłków „Podrywacz” się opamiętuje, uspokaja. Niespodziewanie wypuszcza parę. Staje przed michą przymilny, ale zdecydowanie pokorny, wodząc tylko wygłodniałymi oczami po wyłożonych na wózku stertach żarcia. Wygląda jak łakome dziecko. Ale zawojowane przez niego dziewczuszki i tak mu nie żałują. Zawsze odchodzi z prawdziwą górą jedzenia na talerzu. I prawidłowo. Tak się przecież spała w tym miłym im tokowaniu, do dalszego musi nabrać sił.

„Pan Purchawka” to też pijak.

Musiał się nieźle zaawansować. Ręce mu się trzęsą jak osika, ma wyraźne trudności z wysiorbaniem miseczki swojej porannej kawy. Widziałam go raz, gdy się uparł samodzielnie odnieść po skończonym posiłku całą tacę z zastawą. Wyglądał jak niezdarny majtek na pokładzie rozhuśtanego oszalałym sztormem okrętu. Taca w jego rękach bujała się, chybotwała, gdy ją wreszcie doniósł do wózka, była już prawie pusta.

To starszy pan, spokojny i miły. Tylko wygląd ma trochę odpychający. Jego przewaliste ciało jest dziwnie obrzmiałe, napuchnięte, a na pokiereszowanej twarzy wybija się dość charakterystyczny duży, purchawkowaty, buraczkowo-rzodkiewkowy w kolorze nos.

Za to jest bardzo inteligentny. Nic tylko rozwiązuje jakieś krzyżówki, szarady. Widząc jego nieskoordynowane ruchy i kaczkowaty chód, zupełnie nie mogę pojąć, jak sobie radzi z wpisywaniem liter w drobne przecież krateczki. Mówiłam już, że niespodziankom nie ma tu końca. Może tylko te większe, bardziej zamaszyste ruchy sprawiają mu trudność, a z precyzyjnymi wszystko jest OK?

Specjalna bez wątpienia prezentacja należy się „Babci Eleganckiej”. Jest to osoba szczególna, wielce dystygowana i z klasą. Oczywiście bezlitosna choroba dosyć mocno zdeformowała taki korzystny jej obraz.

Pewnego przedpołudnia „Babcia Elegancka” przywołała mnie wraz z drugą też „psychiczną” do swego pokoju, poruczając nam pilne wystaranie się o papierosa, bo ona właśnie miała ochotę zapalić.

Z papierosem nie było trudności, obie byłyśmy palaczkami. Natomiast ogromne trudności z jego paleniem miała „Babcia”, która wykonując ruchy przetrąconego chrząszcza, usiłowała zasiąść w fotelu, by założywszy nogę na nogę, wyglądać z papierosem bardziej elegancko.

Rozumiałam ją w pełni i pragnęłam w duchu, aby się jej to eleganckie palenie udało. Cóż z tego, kiedy nie wychodziło. Opadała co i rusz, raz w jedną, raz w drugą stronę, usilnie wtykając do ust papierosa akurat jego przypalonym końcem. Ruchy jej były tak nieukierunkowane i chwiejne, że mimo ogromnego wysiłku nie udało się jej to założenie nogi na nogę, a papieros mógł w każdej chwili wylądować gdzie bądź, z naszymi skromnymi osobami włącznie. Rozsiewała żar wokół.

Musiałśmy jej w końcu to eleganckie palenie po prostaku wyperswadować. I może szczęśliwie, gdyż nie wiadomo, czy by tę dawkę nikotynowej trucizny w ogóle przeżyła. Bez tego, wydawała się już taka nieprzytomna i odurzona. Przez chwilę jeszcze się rozpaczliwie upierała, po czym nagle w pozycji raczej nieeleganckiej, za to najspokojniej usnęła.

Nie jest to nawet taka stara kobieta. Nie wiem dlaczego wszyscy ją tutaj nazywają „Babcią”. Pewnie przez ten jej wygląd, chociaż może nie starczy, wręcz jednak przerażający. Zmierzwiona strzecha włosów na głowie, nienaturalnie wykrzywione głębokimi bruzdami rysy twarzy. Jeszcze te oczy sprawiające niesamowite wrażenie. Jedno na wpeł przymknięte i jakby martwe, drugie wytrzeszczone, rozbiegane i dzikie.

Natomiast mimika, gesty, cały jej sposób bycia to wysokiej klasy pantomima osoby z wielkiego świata, z wyższych sfer. Wypisz, wymaluj – hrabina żywcem wzięta z barwnej, zamierzchłej epoki. Dobre maniery, kurtuazja, pełna gracia, niezaprzeczalny szyk.

Moją srebrną biżuterię zauważyła od razu i wyraźnie zaaprobowała. Zwierzyła mi się w zaufaniu, że wręcz kocha wartościowe i kunsztowne drobiazgi. Zresztą piękne dworki i powozy też. Zainteresował ją nagle mój rodowód. Uprzejmie, aczkolwiek uporczywie wypytywała o moich pradziadów. Chciała poznać, jak to się mówi, całe drzewo genealogiczne. Usiłowała widocznie ustalić, z jakiej pochodzę dynastii.

I to jest „Babcia Elegancka”. Bo jest jeszcze druga babcia, nieuprzejmie rozróżniana jako „Babcia Zafajdana”. Chociaż przezwisko nieładne, ale słuszne, gdyż faktycznie słabość „Babci”

w tej mierze jest widoczna. Mają się z nią pielęgniarki i salowe, to mają.

„Babcia” fajda regularnie i chociaż pewnie, tak jak wszyscy, ma ubikację na swój użytek, sady paskudztwo do łóżka lub wprost na podłogę. Co przy dobrej woli, można by jeszcze traktować jako nieszczęśliwy wypadek. Ale ona to świństwo roznosi podobno po całym apartamencie i dopiero, gdy już wszystko jest dokładnie zafajdane, przywołuje pielęgniarkę lub salową, a to już wskazuje raczej na celowość działania, jak i na babciną złośliwość.

Personel się wścieka. Widzę, jak jedna drugą wypycha do kolejnej interwencji. Mało nie rozerwą z dziką furią naciąganych gumowych rękawiczek, ale w końcu i tak muszą „Babcię” oporządzić, choćby do następnego razu.

Najwyraźniej tracą już cierpliwość, wrzeszczą też na nieszczęsną delikwentkę ile wlezie. Podejrzewam po cichu, że za karę kąpią ją, tak jak mnie za pierwszym razem, w ukropie, bo „Babcia” w czasie takiego oporządzania wrzeszczy wniebogłoso.

A poza tym widać, że bardzo żałuje. Po każdym „wypadku” pełnym skruchy głosem błaga o przebaczenie, o litość. Przeprasza gorąco i szczerze, twierdząc że zdaje sobie sprawę, jaka to z niej świnią, jaki to straszny wstyd. Raz będąc świadkiem takiego aktu żalu i skruchy, nabrałam podejrzania, że płacząc tak i zawodząc, „Babcia Zafajdana” ukradkiem triumfująco i złośliwie się uśmiecha. Ale pewnie tylko znowu coś mi się przywidziało. Inaczej nie może być.

No i jest jeszcze w tym specjalnym korowodzie typów „Grafomanka – Kawoszka”. Baba w średnim wieku, dosyć sympatyczna, tylko zapewne zbyt podekscytowana, roztrzęsiona i do tego niesamowicie wścibska.

Paraduje nerwowo korytarzami, kręci się w tę i z powrotem, wprowadzając w wypracowany ład i wyśmienitą organizację kliniki niepotrzebny zamęt. Wszyscy już się śmieją, że gdy przechodzi, robi sobą wiatr. Nieodłączny papieros w gębie, wdzięczy się lub wyklóca o każdy dodatkowy łyk kawy, a poza tym gryzmoli kartki w jakimś tylko sobie znanym języku całe Boże dnie. I to jestem ja.

Z tym pisaniem jest śmiesznie. To znaczy, inni śmieją się ze mnie. Zresztą jak zwykle tutaj, bez specjalnej żenady. Jest w tym bezsprzecznie moja wina, gdyż już na samym początku popełniłam w związku z pisaniem strategiczny błąd.

Samego faktu nie dałoby się ukryć, a zresztą dlaczego niby miałabym się ukrywać. Mogłam jednak zatrzymać dla siebie pamiętnikowy charakter mojej opowieści. Opowieści, która dotyczy nie tylko mnie, ale i wszystkich ludzi stąd. Już niechby dalej myśleli, że mam amanta w swoim

odległym kraju i do niego tak wypisuję tęskne, czułe listy. Chociaż ja i amant, też coś.

Wszyscy są mocno zaintrygowani moim uporczywym bazgraniem. Nie dają mi spokoju i z ironią dopytują, czy jest w tej historii mowa również i o nich. W moje potwierdzenia oczywiście nie wierzą i nawet nie przypuszczają, że razem ze mną, ze wszystkim, co tu przeżywam, z konieczności, przewijają się w tych wspomnieniach. Zdziwiliby się zapewne, mogąc się faktycznie na tych kartkach odnaleźć. Niektórzy na pewno zdołaliby się tu rozpoznać, mimo że jest to tylko mocno nieporadne i subiektywne ich odbicie. Chyba żeby woleli udawać, że to wcale nie oni, ale to już zupełnie inna sprawa.

Bo lekarze nie tyle się śmieją, co raczej tym moim pisaniem frasują, jakby zbijało ich ono z pantafelku. Całą sprawę traktują poważnie i z dużą rezerwą. Bardzo nieufnie i podejrzliwie podchodzą do tak niewinnej skądinąd działalności. Węszą, co się może za nią kryć.

Może zaczynają się obawiać, że przypadek jest znacznie poważniejszy, bardziej skomplikowany niż beztrąsko diagnozowali do tej pory. A jeśli to coś zupełnie innego? Już nie jakaś tam, byle jaka depresja, ale być może groźna schizofrenia wraz z neurastenicznym rozszczepieniem jaźni? Symptom jest bardzo znaczący. Sądują mnie więc i myszkują. Co bardziej empiryczni sięgają nawet po te zapisane kartki, wślępiając się w nie jak kura w gnata. Muszą dać za wygraną, choć robią to stanowczo niechętnie. Dla nich jest to tylko bezsensowny szyfr liter, wiedzą jednak, że gdyby mogli rozgryźć takie chore wypisane byle co, mieliby swoją diagnozę jasną jak słońce. A tu nic.

Mimo wszystko, wygląda to im chyba jednak na schizofrenię. Robią nade mną strasznie ponure miny. Mieli tu już różnych „Napoleonów”, „Chrystusów”. Raz nawet była „Tiereszkowa”, a ta tutaj chce odgrywać rolę drugiej Sagan. Nawet psychiatrzy mogą się już czuć trochę zmęczeni niekończącą się listą paranoidalnych postaci. Niech będzie do kompletu „Saganka”, diabli z nią.

Trzeba jednak taką rozdwojoną bacznie obserwować. Należałoby także zmienić całą psychoterapię, repertuar leków. Czy aby nie jest za późno? Sądząc po ilości nabazgranych stron, choroba wygląda na mocno już zaawansowaną, daleko posuniętą, musiała poczynić w mózgu niebywale szkody. *Dementia praecox* jak wół.

* * *

Bezдушna jestem i głupia. Poprzyszywałam etykietki tym wszystkim biedakom, ponadawałam im niby dowcipne imiona. Tylko dowcip tu gdzie? Przy takim nadmiarze ludzkiego nieszczęścia, już za samą ironię powinno się porządnie wytargać mnie za uszy. Zgoda.

Tylko że jest to z mojej strony pewna forma samoobrony. Gdybym wszystko, z czym mam tu do czynienia przeżywała na poważnie, z pełnym, należnym zaangażowaniem, pewnie nie wytrzymałabym tego i załamałabym się bez reszty. I stąd ten odbiór z lekkim przymrużeniem oka. Jedynie dystans i nieco humorystyczne podejście, pomagają przetrwać ten koszmar, pozwalają uporać się jakoś z nawalem zbyt okrutnych obrazów, faktów i scen. Nie ma to nic wspólnego z brakiem zrozumienia czy współczucia, wprost przeciwnie.

Patrząc na tych ludzi i zaczynam wątpić. Do jakiego stopnia cierpienie i choroba mogą pogwałcić godność człowieka, gdzie jest pułap jego wytrzymałości? Co się tłucze w tych szalonych głowach? Dlaczego tak cierpią i czy jest możliwe, aby z tego kiedykolwiek wyszli? Znowu wraca ważne egzystencjonalne pytanie o sens ludzkiego istnienia. I to pytanie mnie dręczy, nie daje spokoju tym bardziej, że odpowiedzi nie znajduję.

A koszmar trwa. Obraz obłądnych, przerażonych spojrzeń towarzyszy mi wszędzie. Wspomnienie oczu przepelnionych bądź bólem, bądź zacieklą, rozpaczliwą agresją chodzi za mną krok w krok. Odgłosy bolesnych jęków, niesamowitych dzikich wrzasków, spazmatycznego płaczu lub jękliwego zawodzenia wdzierają się w uszy, alarmując mózg. Widok histerycznych ataków, napadów furii lub też aktów samoagresji wciska się gwałtem w świadomość, prześladowając mnie i na jawie i podczas niespokojnego snu.

Te odgłosy, te obrazy są powszednią i jakże realną stroną klinicznego życia. Są wokół mnie wszędzie. Osaczają i atakują, a jednocześnie zmuszają, abym własną chorobę, jakże błahą i niegroźną wobec innych widzianych tutaj, potraktowała jako ostrzegawczy sygnał organizmu, czy nie wiem, Opatrzności przed bezmiarem szaleństwa, z którego już nie jest łatwo, a czy w ogóle można, wyjść.

Absorbują silnie mą uwagę inni chorzy. Jest to normalne, jedziemy przecież na tym samym wózku. Czas jednak wspomnieć także o ludziach zdrowych i normalnych, którzy tu pracują.

Spróbuję teraz zaprezentować, inaczej mówiąc, wziąć na tapetę dosyć specjalny z racji rzeczy, za to wszechpotężny kliniczny personel.

Wśród całej załogi rysują się wyraźnie trzy człony.

Personel techniczny o charakterze usługowym; są tu kucharki, bufetowe, salowe z ogrodnikiem i hydraulikiem włącznie.

Personel pielęgniarski o charakterze wykonawczym; są tu pielęgniarki pogrupowane według skomplikowanej hierarchii specjalności i stopni.

Personel medyczny o charakterze zawiadująco-doradczym; są tu wszelkie doktory, też różnicowani, bo jeden wydaje się być mądrzejszy od drugiego.

Sektor administracyjny zasługuje na odrębny paragraf, funkcjonując w klinice na specjalnych prawach, jako królestwo samo w sobie.

Najbardziej kompetentne są pielęgniarki. Wprawdzie, to niby lekarze decydują o kuracji pacjenta, ale lekarz raz się wysili i coś wymyśli, powie swoje i pójdzie, a one zostają i z tym pacjentem muszą się użerać. Lepszy lub gorszy pomysł czynnika zawiadująco-doradczego, dla nich bez różnicy, zawsze sumiennie i skrupulatnie, z dużym nakładem sił i środków wprowadzają w życie. One egzekwują. Wykrzyknik.

Pielęgniarki jako fundament i motor tej całej skomplikowanej maszyny. To dobrze dobrany, choć może nie najbardziej szczerzy slogan, żeby się im przypodobać, podlizać. Bo nieraz warto, a niekiedy wręcz trzeba, możesz mi wierzyć na słowo.

Z reguły są raczej nieprzyjemne, nieufne i nieprzystępne. Aż źle się robi człowiekowi, patrząc ciągle na ich zadufane, napuszone miny. Broń Boże zwrócić się do nich o cokolwiek. Zakazy i nakazy w żelaznej konsekwencji przestrzegania to prawdziwa ich domena, to ich żywioł. Zachowują się jak udzielne księżne zstępujące łaskawie na przyziemny padół celem udzielenia poddanym zasłużonej reprimendy. Okropność. Na każdym kroku manifestacje ich profesjonalnej godności oraz siła przebicia uzurpowanej wszechwładzy.

Słodkie, opiekuńcze białe anioły. Dobrze sobie. Czuję, że sobie dziś ulżę, odkuję się choć w ten sposób za wszystko, co przez nie tu wycierpiałam. Koniec z podlizywaniem. Będę o nich mówić, tak jak je widzę naprawdę. Kto chce, niech weźmie poprawkę, że nie jestem przy zupełnie zdrowych zmysłach, że przemawia przede mną rozgoryczenie i wynikające z niego niesprawiedliwe widzenie świata. Ja i tak opowiem, jakie są.

A są kąśliwe jak osy. Gdybym tu była patronem już za sam ton w odnoszeniu się do pacjenta,

wyrzuciłabym je na zbity łeb. Bywają oczywiście wyjątki, ale bardzo nieliczne. Pielęgniarki są władcze, nieufne. Na zasadzie, bez kija nie podchodź.

Traktują cię chłodno, z góry, żadnych spoufaleń, za grosz poczucia humoru. W razie potrzeby lub tylko na wszelki wypadek tak cię obsztorują i ustawią, że odechce ci się wszystkiego. Nie tylko życia w klinice, życia w ogóle też.

Sama wobec nich mam zawsze mimowolnego pietra niezależnie, czy przeskrobałam coś czy akurat nie. Czuję się wobec nich podporządkowana, potencjalnie winna jak uczeń przed zbyt srogim profesorem albo grzesznik przed obliczem nie lubiącego rozgrzeszać księdza. Kompletne wariactwo, żeby w tym wieku i do tego w chorobie jeszcze się kogoś bać.

Męcząca musi być taka praca, aż do tego stopnia sztywna, gorliwa i regulaminowa. Męcząca musi być taka niezdolność do nawet małych wyjątków i ustępstw. Ale akurat na to, one się jakoś wcale nie uskarżają. Spokojnie robią swoje, rzucając nam wyzwanie – popatrzcie tylko, mierni ludkowie, kto tu naprawdę rządzi. Bo kiedy już muszą się poskarżyć, niezawodnie dostaje się nam, chorym. I słusznie. Nic nie rozumiemy, nie chcemy się podporządkować, sikamy, rzygamy, robimy kupy. Jakże oporny i niewdzięczny obiekt w ich cennej i wydajnej aktywności.

Chciałabym być względem pielęgniarek sprawiedliwa. Zdaję sobie w pełni sprawę z ciężkich i faktycznie niewdzięcznych warunków ich pracy. Sama przecież przez wiele lat zajmowałam się dziećmi chorymi, głęboko upośledzonymi, więc wiem coś o tym.

Nie potrafię ich jednak niczym usprawiedliwić, a nawet więcej, manifestowanej przez nie postawy po prostu nie rozumiem. Nawet się już zastanawiam czy takie sztywne, pełne dystansu zachowanie nie jest w jakimś sensie maską, rodzajem obronnego pancerza pozwalającego przy permanentnej konfrontacji z ekstremą pozostawać sobą, by móc robić swoje. Wykonywać pracę, która bezspornie jest bardzo ważna i potrzebna, co do tego nie ma dwóch zdań. Tylko po co tyle tej niechęci, bezwzględności? Czym wytłumaczyć brak zrozumienia, złą wolę lub ewidentną i bardzo niechlubną w tych warunkach złośliwość? Bo bywa i tak.

Za to lekarze są zdecydowanie mili. Przy każdym obchodzie, a nawet w okazjonalnych kontaktach odstawiają spektakl wysokiej kultury, pełnego zrozumienia, szczerego zainteresowania pacjentem. Ogólnie *bon ton*.

Tyle że się w kółko zmieniają. Nigdy nie wiadomo, kto w danym dniu zjawi się na obchodzie i każdemu od początku trzeba klarować co i jak. Ma to jedyny pozytywny skutek, że składający świadectwo wobec zmieniającego się ciągle trybunału pacjent-oskarżony musi mówić prawdę

i tylko prawdę, bo inaczej przy swojej zresztą skołowanej głowie pogubiłby się z kretesem w swych zeznaniach.

A oni się tam podobno ze sobą konsultują. Przynajmniej tak twierdzą. Mam co do tego podstawne wątpliwości, za nic nie mogę jednak rozgryźć, kto tu właściwie decyduje i trzyma to wszystko w łapie. W każdym razie do mnie przylatuje coraz to inny medyk, za to zawsze kompetentny i *au courant*. Mówię – przylatuje, bo też i wpada spieszenie jak po ogień. To niezły maraton, i trudno jednemu się wyrobić z obskoczeniem prawie setki łóżek w czasie krótkiego przedpołudnia. Nie łatwe jest życie psychiatry. *La vie est dure*.

Przyleci więc taki, przeprowadzi swoją błyskawiczną indagację, porobi obserwacje, coś tam naobiecuje, żeby pozytywnie ustawić pacjenta. Co jest zresztą wysoce wskazane. Potem wsiąka na kilka dni. Mam chęć powiedzieć, zabierze dupę w troki.

Przychodzi po nim drugi, już nie pozytywny i bez najmniejszych skrupułów odwołuje wszystko, co ci raczył naobiecować jego szanowny kolega. Jeszcze może ci się dostać, że źle zrozumiałeś, bo słabiutki jest twój francuski, oj słabiutki. Za to twoje rozwiane nadzieje, gorycz rozczarowania i niepotrzebnie zszarpane nerwy są potraktowane z lekceważącą beztróską. Źle zrozumiałeś lub gorzej, dałeś się nabrać, jest to twoja prywatna strata i teraz sam sobie z nią radź.

I tak to jeden zaprzecza drugiemu, nie mówiąc, że każdy z nich często zmienia swe opinie, decyzje, trudno zresztą wyczuć, zależnie od pogody czy humoru. W każdym razie nigdy nie jesteś pewien, co cię czeka. Czujesz się jak w tej łajbie mocno już podniszczonej, a dobrze rozhuśtanej w sztormowych falach pełnego morza. Nie mając koła ratunkowego, bez pomocy tych co cię obserwują z dalekiego, zamazanego wybrzeża nie wydostaniesz się. Bezpieczny brzeg jest zbyt daleko, a ratownicy zagapieni gdzie indziej, opieszali. Jeśli nie oglądając się na nich, postanowisz sam sobie radzić i wyskoczysz i tak nie dopłyniesz. Najwyżej możesz pójść na dno.

Na personel usługowy złego słowa nie da się powiedzieć. Robią swoje, może tylko niezbyt solidnie. Nie chciałabym podawać się za taką, co to z nie jednego pieca chleb jadła, ale akurat jako pokojówka mam doświadczenie też. W pewnym okresie emigracyjnego życia podjęłam się bowiem nieopatrznie i nazbyt pochopnie pracy w jednym z paryskich hoteli jako właśnie *femme de chambre*.

Często oceniając wysprzątany przez siebie hotelowy apartament, stwierdzałam z czystym sumieniem, że jest czysto jak w klinice. Przymiotnik „psychiatryczna” dodawałam zjadliwie, mając na uwadze zwariowanych patronów i całokształt panującej w hotelu atmosfery. I tam

musiało być solidnie zrobione, inaczej patronka dałaby nam dobrze do wiwatu. Tu jest faktycznie klinika, zresztą dosłownie psychiatryczna, prywatna i wysokiej klasy, nie to nie ma jednak do rzeczy, gdyż po kątach fruwa sobie frywolnie zapomniany kurz.

Czepliwa się jakaś zrobiłam. Zostawię dziewczyny w spokoju, bo są uczynne i miłe. No i przede wszystkim nie są kompetentne, za co też je lubię.

Rzadko słyszę, żeby sztorcowały pacjentów, wtrącały się do czegokolwiek. Raz tylko jedna z bufetowych, którą poprosiłam o dodatkową porcję kawy zapragnęła odegrać rolę ważnej i mającej dużo do powiedzenia. Nie dość, że odmówiła, niby słusznie argumentując, że kawa jest ekscytująca i niezdrowa, już to był przykry afront, poleciała jeszcze wrednie z jęzorem do pielęgniarki, aby zdać sprawozdanie, jaka to ja jestem na tę ich lurę zawzięta. A wiadomo, niezadowolona z pacjenta pielęgniarka to surowe napomnienie i przykrość murowana.

Jestem jednak spokojna, że taki numer więcej się już nie powtórzy. Od kiedy wpadłam na pomysł, aby się nimi wyręczać w przynoszeniu z miasta papierosów, płacąc oczywiście za fatygę, pozostajemy z dziewczętami w poufalej komitywie.

Z naturalnym wyrozumieniem raczą mnie od razu podwójną porcję kawy, mając w nosie jej ewidentną szkodliwość. Możliwe też, że oszczędzają tę używkę na innych, mniej potrzebujących, bo zdarza się, że same z siebie konspiracyjnie mi przynoszą zupełnie nieoczekiwaną rezerwę.

I na tym właśnie polega poratowanie bliźniego w biedzie. Nie dość, że dzięki nim zażegnałam kryzys nikotynowy, to jeszcze kofeinę mi fasują. Tylko patrzeć, jak zaczną mi tu znosić flaszki.

W ogóle ostatnio, muszę się pochwalić, coś często chwalona jestem za miły sposób bycia, za schludność i porządek utrzymywany w pokoju. No i pewnie, taka pacjentka samodzielna, czysta i grzeczna niechby została sobie tutaj jak najdłużej.

Nie robi pielęgniarkom historii o kilka zbędnych ukłuc przy okazji montowania kroplówki, jeszcze podziękuje. Za salowe samorzutnie odwala lwią część ich roboty. Bo lubi. Lekarzom we wszystkim potakuje z całym należnym respektem dla ich doświadczenia i wiedzy. A do tego płaci. Nawet to swoje odchylenie ma zupełnie nieszkodliwe, niegroźne. Bazgrze sobie po cichutku całymi dniami te swoje kartki. Tak, oby więcej takich pacjentek.

A niech ich diabli.

* * *

I jak tu nie wierzyć w horoskopy?

Budzę się wcześniej, godzina szósta rano. Mile brzmiący głos radiowej spikerki właśnie przepowiada najbliższą przyszłość poszczególnym znakom zodiaku. W tle sympatyczna muzyczka. Trochę rozbawiona wyławiam horoskop dla siebie.

– Ryby. Ryby, uwaga. Dziś nadszedł czas waszego przebudzenia. Wykorzystajcie tę szansę, nie przegapcie jej. Potraktujcie przemiany, jakie was spotkają, jak najbardziej serio.

I proszę. Albo jest to sugestia albo faktycznie coś zaistniało, dokonując we mnie fantastycznych przeobrażeń. Czuję się, jakby ktoś dowcipny wylał mi na głowę kubel zimnej wody. Strzepuję, otrząsam z siebie tę wodę razem z resztkami snu. Zmyły się i gdzieś przepadły wszystkie nocne majaki. Spłynął i zniknął na dobre cały koszmar czarnej otchłani. Otworzyły się oczy, mózg zaczął normalnie pracować. Ja się naprawdę „rozbudziłam”. Ja już czuwam, myślę i czuję.

Od kilku dni nieśmiało się obserwuję i nie mogę się oprzeć wrażeniu, że jestem nie ta sama. Zupełnie inaczej myślę i reaguję. Czuję się wyzwolona. Jak gdyby ktoś przenicował mnie na drugą stronę albo mnie odczarował, odmienił. I jest to tak wspaniałe, a jednocześnie nieoczekiwane, że aż szokujące.

Kiedyś spytałam moją lekarkę o fizjologiczny obraz przemian utożsamianych z depresją. Chciałam wiedzieć, co dzieje się w takim chorym mózgu. Zdziwiła mnie jej odpowiedź jasno precyzująca, że chodzi najczęściej o czysto mechaniczny zanik płynu otokomózgowego, który nawilżając odpowiedzialne za nasze emocje nerwowe komórki, warunkuje ich sprawność i dobry stan. Każde w związku z tym leczenie antydepresyjne, między innymi, właśnie ten biochemiczny niedobór niweluje. To by się nawet zgadzało. Najwidoczniej po tej całej baterii lekarstw, wreszcie i mnie się w końcu coś nawilżyło. I bardzo dobrze.

Myśli i odczucia, jeszcze kilka dni temu gwałtowne i czarne, uspokoiły się teraz, ułożyły, ułożyły w logicznym układzie. Cudowne przeobrażenie, które zmienia bezmierny chaos w klarowną i sensowną treść. To trochę podobnie, jak w tej popularnej układance dla dzieci – *puzzle*.

Najpierw są dziesiątki pokawałkowanego sensu, strzępki nieokreślonych treści zawartych w drobinach kolorowego kartonu. Dalej widzimy uzasadnioną bezsilność sapiącego z utrudzenia Malucha, który bardzo się stara, usiłując dopasować jeden kawałek do drugiego. Nikt mu jednak nie dał nawet wzoru. Trudno mu jest więc przede wszystkim zacząć. Nie ma pojęcia, jak się do swojej układanki zabrać, gdyż nie wie, co ma właściwie przedstawiać ten jego obrazek. I nagle wyłania się przed nim chociażby najmniejszy, ale już logicznie spójny pierwszy fragment. Maluch jest inteligentny i to wystarczy. Odtąd pójdzie mu jak z płatka. Leżący przed nim stosik kartoników rozpracuje już świadomie i wybiórczo. Zrozumiał zasadę, rozszyfrował system, może być spokojny o końcowy wynik. Teraz to już tylko kwestia cierpliwości. I podobnie jest ze mną.

Ciężko to szło i powoli, lecz wyłonił się wreszcie w mej świadomości realny obraz sytuacji. Znow potrafię myśleć logicznie i jasno. Do swoich przeżyć nabrałam pewnego dystansu. Moje reakcje nie są już tak drastyczne, ostre. Uległy jakiemuś wyciszeniu, wyhamowaniu.

W pełni zdaję sobie sprawę z położenia w jakim się znajduję. Co tu dużo mówić, nie jest to położenie najlepsze. Chcę jednak wierzyć, że dwie pierwsze i najtrudniejsze fazy choroby – protest i desperację mam już za sobą. Teraz powinna się rozpocząć faza ostatnia, jaką stanowi odbicie się od dna, oderwanie. A ma ona przynieść konkluzje, rozwiązania pozwalające zamknąć przebyty etap oraz zapoczątkować konieczny do kontynuacji życia niejaki remont psychiki, odnowienie duchowe.

Już nawet zaczynam, choć jeszcze nieśmiało, konkretyzować pewne pomysły, zamiary. Pełna dobrej woli, próbuję formułować nareszcie bardziej już konstruktywne wnioski. Nie będę ich jednak na razie przytaczać. Niech się jeszcze przetrawiają, skryształizują, okrzepną. Jedno jest pewne i nagle oczywiste, że trzeba walczyć, że warto żyć. Żyć wreszcie inaczej, lepiej, po raz pierwszy od tak dawna z nadzieją. A to już jest bardzo dużo! To jest wszystko.

Póki co, trzeba się skoncentrować na rehabilitacji, która też może okazać się ani prosta, ani łatwa. Zaczynam powoli rozumieć, że mój pobyt tutaj powinnam wykorzystać jako możliwość wypoczynku, psychicznego odprężenia. To moje „przebudzenie” potraktować jako życiową odskocznnię. Koniec więc z rozpaczliwą introspekcją, z rozdrapywaniem starych ran. Niezbędne jest, abym przed kolejnym starciem, przed czekającą mnie życiową rundą otrząsnęła się i nabrała nowych sił.

I proszę, jaka to się mądra zrobiłam poniewczasie. Swoją drogą, jakich to też cudów potrafi dokonać reklamująca się na cały świat francuska medycyna. *Chapeau*. Tylko uchylić w uznaniu

kapelusza.

Oczywiście, nie można tu mówić o cudzie, ani nawet nagłej i totalnej metamorfozie. Nie potwierdzą przecież, że wskutek psychoterapii, której zostałam poddana, poczułam się nagle w stanie euforii, czy chociażby szczęśliwa. Żadne tam gwałtowne przeobrażenie czarnych, nawet samobójczych myśli w samoistną radość i poczucie pełnej i beztrudnej aprobaty życia, bo na przykład trawka ładnie rośnie, czy ptaszek sobie śpiewa. Nie. Czuję się tylko bardziej świadoma, a przede wszystkim spokojniejsza. Może teraz potrafię już obiektywniej, na zimno i z koniecznego dystansu rozważyć czynniki, które mnie do tak drastycznego stanu doprowadziły.

Poza słabą odpornością psychiczną, którą mogę już niestety uznać za pewnik, zdecydowanie destruktywną rolę odegrały również pewne niesprzyjające uwarunkowania i fakty, stanowiące wysmienite podłoże dla tej szczególnej choroby. Nie są one wysrane z palca, ani też nie powstały jako wymagany produkt zaburzonej świadomości. Istniały faktycznie i istnieją nadal, niezależnie od mojego „przebudzenia”.

Takich życiowych trudności, złych przyzwyczajęń, problemów nie da się nawet przez najdłuższą i najbardziej efektywną kliniczną *cure* wymazać. Nie unicestwią się samoistnie, czekają na inicjatywę, przedsięwzięcia. Kiedyś wrócę, a one wciąż pozostaną realną częścią mego życia i znów przyjdzie mi się z nimi zmagać. Mam jednak pewną szansę, gdyż teraz już to wszystko wiem.

Wiem, że to jeszcze nie koniec choroby. Może zaledwie początek końca. Tak zdomowiona przecież we mnie depresja wyłoni się zapewne nie raz, by pokazać, co nawet w odwrocie potrafi. Wyciągnie po bezbronną zdobycz swe nieustępliwe, zdradliwe pazury. To byłoby za piękne, gdyby miała ustąpić tak łatwo.

Nie będzie już jednak walkoweru. Znajdzie we mnie teraz, już nie słabą pokonaną ofiarę, lecz przeciwniczkę w swej bezwzględności godną siebie. Zajadłą przeciwniczkę, która raz zaatakowana gotowa jest walczyć o przewagę, a już na pewno się bronić.

* * *

Wyłom w żelaznym regulaminie, nie do wiary! W moich potyczkach z lekarzami pierwszy sukces, a w kuracji moment kluczowy i wyraźny krok do przodu.

Mimo, że moja *cure* kończy się dopiero w przyszły piątek, lekarze wyjątkowo zezwolili, aby rodzina odwiedziła mnie z pominięciem regulaminu wcześniej, to znaczy już w najbliższą niedzielę.

Ktoś, kto nie zetknął się nigdy z takim bezwzględny, absolutnym reżimem, nie potrafi nawet docenić, co to za ustępstwo i przywilej. Mnie się ten absurdalny system dał mocno we znaki, pragnienie zobaczenia się z dziećmi jest przeogromne i stąd bierze się przepelniające mnie w tej chwili odczucie autentycznej ulgi i szczerzej wdzięczności.

Hura! Zobaczę nareszcie moje kochane Mordki. Boże, jak się za nimi stęskniłam. Rozpiera mnie ogromna radość, niecierpliwość i chyba też troszkę dumy. Trzeba było mnie widzieć, z jakim zapamiętaniem przekonywałam lekarzy i jak dzielnie o prawo do tej wizyty walczyłam. Nie skamlałam już jednak i nie biadoliłam jak ktoś żebrzący o ulgi, a stojący na pozycji straconej. Biorąc mądralińskich troszkę pod włos, odwoływałam się do ich cennego doświadczenia i medycznej wiedzy. Argumentowałam na wszystkie sposoby, jak dziękczynne skutki dla mojej kuracji może spowodować to widzenie się z dziećmi, o które się niepokoję i których jest mi bardzo brak.

Co prawda, nawet tak bardzo się nie opierali. Sami musieli uznać i docenić wyraźną, wręcz przełomową w moim stanie poprawę. Znów się nade mną dziwią, że po tak przeciągniętym w czasie okresie stagnacji, raz przekroczywszy próg, odzyskuję siły psychiczne nadspodziewanie intensywnie i szybko.

Nie tylko medyków zadziwiam, sama siebie nie rozpoznaję. Jestem kompletnie odmieniona. Otrząsnęłam się niespodziewanie z tego obezwładniającego psychicznego zawieszenia, letargu i naprawdę się czuję, jakby mnie ktoś władny, a litościwy wreszcie odczarował.

Obślizgłe żabsko przemienione w czarującą królową, szpetna i okrutna bestia siłą miłości przeobrażona w szlachetnego rycerza, bezduszny, toporny głaz, w którym drzemały czekające tylko na cudowne przebudzenie dobre, uczynne duszki. Błogosławiona metamorfoza. Znamy to

wszyscy, wzruszaliśmy się do łez. Ja doznałam czegoś podobnego na sobie.

Czarna magia, rzucanie uroków i unicestwiających wszystko co dobre i piękne okrutnych, szatańskich zaklęć, nie zdarza się to tylko w pouczających legendach i bajkach. Może przytrafić się każdemu w jego normalnym życiu, w cywilizowanym świecie z końca dwudziestego wieku. Trzeba się więc bardzo strzec.

Życie odczarowanej ropuchy jest wspaniałe. Mimo złośliwych uśmiezków z twojej strony, nie odstępę od postaci przebudzonej królowej, gdyż doskonale czuję się w tej roli.

Śpię przez całą noc spokojnie jak dziecko, a do tego twardo jak suseł, a przy tym miewam sny tak miłe, pogodne i kolorowe, że często aż mi żal się przebudzić. Pragnęłabym, aby przewijały się dalej. Z całej też siły usiłuję rano, przywołać wspomnienie tego, co przeżyłam w czasie snu na jawę. Nie za bardzo mi się to jednak udaje. A szkoda, przydałoby się i w realnym życiu trochę koloru, pogody, miłych przeżyć. Dobrze chociaż, że miłe wrażenie, dobry nastrój po takich snach pozostaje. Pytałam nawet lekarzy, czy serwują mi na noc jakieś narkotyki i stąd być może, te baśniowe majaki. Ze śmiechem zaprzeczali, ale kto ich tam wie.

W każdym razie budzę się wcześniej rano, za to cudownie wypoczęta, w pełnej formie. Nie ma mowy o żadnych, jak je nazywam, mroczkach, zaćmieniach umysłu czy zawrotach głowy. Pełne odprężenie i sprawność, jakbym wcale nie pożarła wieczorem tej całej garści prochów i nie zatankowała w siebie, zresztą z dużym obrzydzeniem, pełnej szklany gorszych jeszcze w smaku od gorzały, tajemniczych, co do składu i działania kropli.

Najważniejsze, że od razu po przebudzeniu odzyskuję pełną świadomość i bez najmniejszego wysiłku podejmuję codzienne, rutynowe zajęcia zdrowiejącej kuracjuszki.

W ciągu dnia też pozostaję aktywna, pełna werwy. Co zdarzało mi się dotąd bardzo często, teraz już nie ucinam sobie popołudniowej drzemki. Nie odczuwam takiej potrzeby to jedno, a poza tym, jakby mi było szkoda tracić na przesypianie tyle już przecież zmarnowanego czasu.

Pragnę wykorzystać do maksimum tak korzystne warunki psychiczne i umysłowe, aby wszystko, co zarzuciłam, do czego nie byłam po prostu zdolna, teraz łapczywie nadgonić, nadrobić. I tym bardziej pełna jestem zapału, niemal entuzjazmu, że nie bardzo już na taki nawrót sił psychowitalnych liczyłam. Umęczona długoletnią chorobą, obawiałam się, że świadoma życiowa aktywność jest dla mnie sprawą straconą. A jednak.

Dużo więc piszę, pochłaniam książki, które mam tu ze sobą, słucham radia, oglądam telewizję już u siebie w pokoju, a poza tym szwendam się po korytarzach, nawiązując kontakty

z innymi pacjentami. Oczywiście tylko z tymi, z którymi w ogóle można się dogadać.

Przypadków takich jak ja, czyli depresyjnych nie jest tu wcale tak mało. Zupełnie jednak nie rozumiem, dlaczego właśnie my określani jesteśmy przez personel jako „psychiczni”. Jakby cała reszta była pod względem władz umysłowych najzupełniej normalna, a tylko my nie. Znowu pewnie wysoce prawdopodobna ignorancja lub tylko swoiste poczucie humoru. Ja obstawiam to drugie.

W każdym razie inni „psychiczni” też są. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni, z tym że kobiet jest zdecydowanie więcej. Depresja jest feministką. I proszę, a ja ją dotąd widziałam tylko ze złej strony.

A depresyjny szablon się powtarza. I słyszę ciągle to samo: trudności w pracy, kłopoty rodzinne, lub osobiste klęski, a niekiedy pełne prosperity i też niewytłumaczalny krach. A jeszcze do tego nie dające się na dłuższą metę wytrzymać wariackie tempo przeciążonego codziennego życia.

Każdy ma własną historię, lecz w gruncie rzeczy są to historie aż nad podziw podobne. Depresja jest sprawiedliwa. Chociaż nasze osobowości i życiowe uwarunkowania są różne, sam mechanizm choroby jest identyczny w swej żelaznej konsekwencji totalnej destrukcji.

W nawiązywanych znajomościach nie ograniczam się tylko do „swoich”. Jestem otwarta na wszelkie ludzkie niedoskonałości i upadki. Pewnie dlatego z pijaczkami też bardzo lubię sobie pogadać. I wiem, co robię. Niech mi wyklarują, o co tu chodzi, na czym polega i czym się przejawia takie przekłete uzależnienie od alkoholu. Tego świństwa, z którym żyję od lat za pan brat. Chcę więc zrozumieć, jak to działa, bo nie daj Boże, jeszcze się przyda.

Jak to rozmowy kształcą. Już się dowiedziałam, że ogólnie rozróżnia się alkoholizm socjalny i impulsywny. Jeżeli już, to mnie grozi raczej ten drugi. Będąc pogrążona w bolesnej brei uczuć, nie szukałam ni okazji ni towarzystwa. Wprost przeciwnie. Jednak wybierając samotność i to z pełnym przekonaniem, jednocześnie uparcie i rozpaczliwie szukałam zdradliwej flaszki.

A geneza i przebieg samego alkoholizmu jest do depresji wprost bliźniaczo podobny. Te dwie choroby zazębiają się ze sobą, pokrywają się nawet w identycznych objawach. Znowu trudno sprecyzować, gdzie jest przyczyna, a gdzie skutek. Czy jesteś w depresji, dlatego że pijesz? Czy pijesz, dlatego że depresja rozdrapała twój rozsądek i silną wolę na strzępy?

Nawet nasze historie pasują do siebie, jak ulał.

Znowu niepowodzenia, zawody, kompleksy, kłopoty, lecz nade wszystko i niezmiennie

samotność. I tylko dochodzi jeden czynnik, o którym nie wspominają „psychiczni”, to nieprzearty urok niezliczonych tu we Francji i serwujących alkohol non-stop przytulnych kawiarenek, małych, lub jak kto woli, większych i wysoce eleganckich barów.

A jeszcze poza tym, tak typowy dla francuskiego modelu życia, zakorzeniony przez odwieczne tradycje wielce niebezpieczny nawyk rytualnego, codziennego picia. Sami chorzy z przekonaniem twierdzą, że jest to pułapka, w którą szczególnie słabszym i mniej odpornym, bardzo łatwo jest wpaść.

Najpierw zupełnie niegroźnie, alkohol konsumowany tylko do posiłków jako środek wspomagający trawienie. I jeśli na tym się kończy, wszystko jest jeszcze OK. Sama widziałam w dzienniku telewizyjnym parę krzepkich staruszków z mocno czerwonymi nosami, którzy mieli za zadanie przekonać widza, jak to regularne, aby tylko kontrolowane picie konserwuje nadzwyczaj władze umysłowe oraz fizyczne ciało.

Tyle tylko, że z czasem alkohol staje się nieodzowny. Nie ma mowy, abyśmy przekazali cokolwiek bez zakrapiania. Nabawilibyśmy się przecież murowanej niestrawności. A krótko potem potrzebny jest już zawsze. Towarzyszy nam wiernie w każdej towarzyskiej rozmowie, jak i w samotnym, mozolnym zbieraniu myśli, podczas przerwy w pracy, lub cichcem podczas pracy. Staje się naszym zażyłym kompanem, pomagającym uśpić to całe życiowe ubóstwo, uśmierzyć ból codziennych lub niekiedy wyjątkowych kłopotów i trosk.

I tu nam jeszcze alkohol pomaga, lecz jakże jednak interesownie. Jak bezlitosny kredytodawca, zgłosi się wkrótce po swoje. Upomni się o należny mu haracz, a nie zaspokoi się byle czym. I ta danina jest okrutna, nie będzie łatwo ją wypłacić. Chociaż znów tu użyję słów dużych i mocnych, będzie nią nasza wolność i nasza ludzka godność. A czy bez tego warto dalej żyć?

Chorzy zawładnięci przez nałóg są bardzo otwarci i szczerzy. Wygląda na to, jakby odczuwali wewnętrzną potrzebę głośnego wyrażenia swych uczuć, podzielenia się z innymi swoimi, jakże niekiedy makabrycznymi przeżyciami. I jest to dla mnie często wręcz szokujące. Trzeba mieć przecież dużo cywilnej odwagi, aby tak dawać publicznie świadectwo własnego skrajnego upadku, a często wręcz upodlenia.

Kiedy patrzę na „butelkowiczów”, słucham ich opowieści, mam nieprzearte wrażenie, że są to ludzie nieprawdopodobnie wprost zastraszeni, autentycznie przez swój nałóg sterroryzowani. Ogrom katastrofy jak gdyby ich przerasta. I stąd pewnie ta chęć wyrzucenia z siebie problemu,

który przeraża i który wciąż stanowi ogromne zagrożenie. To tak, jakby publiczne wskazanie palcem winowajcy mogło go unieszkodliwić, powstrzymać lub chociażby osłabić.

Ludzie cierpiący na depresję są w swoich wynurzeniach bardziej dyskretni lub patrząc na to inaczej, może po prostu bardziej skryci. Opowiedzą ogólnikowo swoją historię, natomiast cały koszmar wewnętrznych przeżyć pominą milczeniem. Jakby sprawiało niekłamany ból takie wyjawianie na światło dzienne najskrytszych zakamarków śmiertelnie zranionej duszy. Podobnie jak bolesną żałobę po stracie kogoś bliskiego chowamy głęboko w sercu, zatrzymujemy dla siebie. Depresja jest więc chorobą wysoce intymną. Jeszcze jedno, co można o niej powiedzieć.

* * *

Rozmowy z chorymi są dla mnie ciekawe i pouczające zarazem. Widzieć innych ludzi, którzy również przeżywają swój „czyściec” na ziemi, którzy też dostają od życia nieźle w kość, słaba to pociecha. Jednak te kontakty pozwalają mi na ustawienie własnej choroby w pewnym dystansie. A fakt, że sama jestem chora czyni mnie bardziej wyrozumiałą i otwartą na problemy spotykanych tu ludzi.

Muszę przyznać, zresztą z pewną ulgą, że tutejsi kuracjusze chyba jednak lubią ze mną porozmawiać. Mimo mojej koślawej francuszczyzny, szukają ze mną kontaktu. Oczywiście nie zawsze dyskutujemy wyłącznie na serio o wstrętnych chorobach i niewesołym życiu. Uda się niekiedy również pośmiać i pożartować. Trochę się wygłupiamy, robimy ździebko złośliwe psikusy personelowi lub co zdrowszym chorym. Wszystko to, aby czas się tak nie dłużył, aby przeczekać, wytrzymać.

W każdym razie coś się ruszyło, jak mówi Pietrzak, drgnęło. Może nie tyle w rajstopach, ale zawsze. Dotychczas zatwardziały odludek, zrobiłam się ostatnio wielce towarzyska. Ucinam sobie pogaduszki na korytarzu, bywam zapraszana do czyjegoś pokoju. Sama również miewam wizyty, z których jestem mniej lub bardziej zadowolona.

„Narkoman” wpada do mnie często. Ilekroć kręci się w pobliżu, zawsze zawadzi o mój pokój. On też mnie zapewnia, że lubi sobie ze mną porozmawiać. Nie bardzo mogę odwdzińczyć mu się tym samym, jako że mnie rozmowa z nim przychodzi raczej z trudem. Szczególnie, jeśli upiera się mówić do mnie po serbsku. Jego ojciec pochodzi z Jugosławii i Alain zna ten język co nieco. Popisuje się więc przede mną, mylnie rozumując, że znając rosyjski, zrozumie go bez najmniejszego kłopotu.

Ja natomiast mam dosyć poważny kłopot w odbiorze tego, co mówi i to niezależnie, w jakim się właśnie wypowiada języku. Jego mowa jest bardzo niewyraźna, bełkotliwa, pod względem fonetycznym poważnie zaburzona. Wydawane przez niego dźwięki są chrapliwe, zadyszane. Porusza ustami trochę jak ryba wyciągnięta z wody. Poza tym ciągle mam wrażenie, że żre go od wewnątrz jakaś niezdrowa, tajemnicza gorączka. Jest jednak bardzo sympatyczny, wesoły i bezpośredni. Ja też mu chyba przypadłam do gustu. Przynajmniej tak to okazuje.

Kiedys usłyszał u mnie leącą właśnie z magnetofonowej kasety skoczną rosyjską piosenkę. Natychmiast obudziła się w nim słowiańska dusza i dał wspaniały popis wigorowych figur poczciwego kozaka. Bardzo był przy tym z siebie zadowolony i tak się gorliwie do tanecznych akrobacji przykładał, że aż się spocił i strasznie poczerwieniał. Narobił mi trochę strachu. Na serio zaczęłam się już obawiać, czy nie trafi go jakiś sercowy kryzys, bo piosenka była kilkuzwrotkowa, a on przyjął tempo zawrotne i w swym diabolicznym tańcu zupełnie się zatracił.

Wczoraj Alain przyprowadził do mnie swego ojca. Przynieśli mi na spróbowanie jugosłowiańską kulinarną specjalność, rodzaj sernika. Było to bardzo miłe. Za to potem mój kolega postawił mnie w dosyć niezręcznej sytuacji. Wskazując na papierosy, przekonywał ojca, że powinien zakupić ich dla mnie co najmniej karton, jako że mam z zaopatrzeniem się w tytoń poważne kłopoty. Ledwie z tego wybrnęłam, uspokajając ojca Alaina na boku, że były to kłopoty przejściowe, z którymi się już definitywnie uporałam.

Jeśli chodzi o konwersację, Alain ma dwa żelazne tematy. Jest to albo higiena zarówno ciała jak i duszy albo zawile zagadnienia z dziedziny psychiatrii. Widać też mocno przeżywa przymusowy pobyt w naszej klinice, czemu zresztą trudno się dziwić.

Dziś po południu było z zakresu higieny. Chociaż muszę przyznać, że mój kolega zachowywał się zdecydowanie dziwnie. Po pierwsze odradzał mi stanowczo przyjmowanie jakichkolwiek wizyt. Nie sądzę, aby umyślnie chciał mi sprawić przykrość, chociaż dobrze wiedział z jaką niecierpliwością oczekuję niedzieli. Widząc moją zbuntowaną minę, z przejściem argumentował, że to właśnie z zewnątrz biorą się wszystkie wirusy, a co za tym idzie, nasze niedomagania, choroby. A dzieci to już są wprost lepem dla zarazków, bakterii i nie powinny mieć do kliniki wstępu. Tu wtrącił jeszcze porównanie z psami, ale widząc moją wrogą już minę, inteligentnie się wycofał. Zapewnił mnie jeszcze, że on już wszystkim swoim zabronił przychodzić. Muszą zrozumieć, że dla niego higiena to grunt.

Zresztą wyglądał, jakby już coś złapał. Gardło obwiązał grubym szalem, nerwowo pokasływał. Oczy też miał niewyraźne, jakby dzikie. Trochę się nawet wystraszyłam, gdyż nagle zaczął mnie ni stąd, ni zowąd poszturchiwać. Zachęcał przy tym, a raczej wręcz się domagał, abym mu kuksańce oddawała. Działo się to na oczach wszystkich, było mi głupio. Zupełnie jednak nie wiedziałam, jak zareagować i o co mu znowu chodzi. A pomysł kolegi był prosty. Wykombinował, że jeśli uda nam się odegrać na oczach wszystkich „prawdziwą” bójkę, to najpewniej za karę wyrzucą nas z kliniki oboje. Szkoda więc, tu mnie zganił, że nie wczułam się

w rolę. Powtarzam przecież bez końca, jak bardzo chciałabym stąd wyjść. Kto jest zatem bardziej konsekwentny i logiczny, czy nie on?

Dobrze byłoby mieć w takich warunkach sprawdzonego, czynnego kolegę. Niestety jednak nie mogę powiedzieć o Alainie, że jest aż tak sprawdzony, jako że dzisiejszej nocy zaskoczył mnie zupełnie i co tu dużo mówić, wytrącił z równowagi.

Budzę się rano i patrzę, coś jest nie tak. Mój przenośny telewizorek zniknął. To ci dopiero konsternacja. Natychmiast przychodzą mi na myśl udzielane przez personel przestrogi, jak to trzeba uważać, wszelkie wartościowe rzeczy zabezpieczać, gdyż zdarzają się w klinice kradzieże.

Nie bardzo wiem, co zrobić, komu to zniknięcie sprzętu zgłosić. Aż tu nagle spostrzegam, na stole kartka. Odwrotna strona mojej pisaniny cała zasmarowana. Nic tylko list i to do mnie. Czytam. Jest tak oryginalny i komunikatywny, że go po prostu zacytuję:

Skrót słowa – telewizor, za nim koślawy wektor w prawo, dalej imię mojego kolegi; po kropce strzałka w odwrotnym kierunku, słowo – demain, czyli jutro; znak równania i obok trzy ukośnie położone papierosy.

Wyglądało to mniej więcej tak:

TV -> Alain. <-Demain = * * *

Takiego listu jeszcze w życiu nie dostałam. Wszystko więc jest już jasne. Żadna brzydka kradzież, tylko drobny samoobsługowy serwis. Zwyczajnie, jak to wśród przyjaciół. Sprawa się wyjaśniła, a mnie nie jest nic lepiej. Czuję się strasznie głupio.

Jak to możliwe? Kolega wszedł do pokoju, musiał zapalić światło, odsunąć ciężki, stojący między łóżkiem a ścianą, fotel, trochę pomanipulować, aby sprzęt odłączyć, a ja? Trwało to zapewne dobrą chwilę, być może był nawet niewielki hałas, a ja niczego nie słyszałam, nie czułam. Spałam sobie w najlepsze zupełnie tej wizyty nieświadoma.

Widać, naszprycowana na noc tymi wszystkimi świństwami śpię tak głęboko, że pozostaję całkowicie nieprzytomna, nieczuła na nic. W takim więc przypadku jak ten, zupełnie też bezbronna.

Do licha, wcale mi się to nie podoba. Dobrze, że był to chłopak mający tylko głupi, ale niegroźny zamiar, który też zresztą bez żadnych przeszkód przeprowadził. A gdyby chodziło o coś zupełnie innego? Przecież tu przebywają różni ludzie. Jak nic może trafić się jakiś maniak o zapędach psychopatycznych. Zboczeniec, wampir czy jeszcze gorsza swolocz.

Niby tchórzem nie jestem, ale na samą myśl dostaję gęziej skórki. Świadomość, że w czasie,

gdy śpię tak głęboko, że aż nienaturalnie, ktoś może wejść do pokoju i robić, co mu się żywnie podoba, jest mi szczerze niemiła, napawa mnie lękiem.

Z samego rana sprawca wyraźnie ubawiony, ze śmiechem zdał mi sprawozdanie, jak sprawnie i bezproblemowo swój zamysł przeprowadził. Telewizor oczywiście i to z podziękowaniami wrócił do mnie, ale nie o to przecież chodzi.

Przy porannym obchodzie, trochę jednak zbulwersowana, zrelacjonowałam ten nocny epizod. Lekarze mieli miny mocno niezadowolone. Chyba zrozumieli moje obawy. Sami też zdawali się być pełni obaw, gdyż jak mi wyjaśnili, z moim kolegą dzieje się ostatnio niedobrze i ma mieć od dzisiaj zaaplikowane nowe, o wiele silniejsze leczenie. Mogę spać bardzo głęboko i jak najzupełniej spokojnie, bo Alain po końskiej dawce środków, jaką wieczorem dostanie, nie będzie miał więcej ni pomysłu ni formy na jakiegokolwiek nocne spacer. Uwzględniając jednak pewien czas potrzebny, aby niesfornego pacjenta załatwić na dobre, jeszcze dzisiejszej nocy zostaną przez pielęgniarkę zamknięta od zewnątrz na klucz.

Było mi przykro ze względu na mojego kolegę. Martwiłam się, że mu się pogorszyło. Nie byłam też z siebie zbyt dumna, że niejako na niego poskarżyłam. Miałam teraz skrupuły, nie chciałam przecież chłopakowi zaszkodzić. Widząc to lekarz, porozmawiał ze mną chwilę o bardzo słabej prognozie w przypadku zaawansowanej narkomanii i wielce szkodliwych, a często definitywnych wypaczeniach, które ta choroba powoduje. Natomiast odnośnie mnie samej, z przekonaniem dorzucił, że dobrze zrobiłam sygnalizując całą sprawę. W obecnym stadium choroby, właśnie taki niczym niezaburzony, głęboki sen, szczególnie po wszystkich hecach, które im pod tym względem dotąd wyczyniałam, jest niezbędnym warunkiem mojego powrotu do zdrowia. Nie powinnam więc sobie robić wyrzutów, a jedynie cieszyć się i korzystać, że leczenie wreszcie zadziałało. I spać, jak niemowlę spać.

* * *

Tak więc wizyty Alaina urwały się jak nożem uciął. Nie mam pojęcia, czego mu tutejsi znachorzy zadali. Musi to być nie byle co. Obawiam się nawet, że skorygowane przez nich leczenie jest do tego stopnia skuteczne, że nawet konia zbiłoby z nóg. W każdym razie chłopak w ogóle zniknął z horyzontu. Nie pokazuje się nawet przy rozdawaniu lekarstw, a to już najlepszy dowód, że jest z nim naprawdę bardzo źle.

Dobrze, że chociaż „Dziadek” zajrzy do mnie od czasu do czasu. Lubię tego staruszka i cieszę mnie jego wizyty.

Za każdym razem, kiedy „Dziadek” za dużo szwenda się po korytarzach i wszystkim przeszkadza albo wychodzi na prowadzące w dół schody, mówią mu, aby poszedł do swojej narzeczonej, która na niego czeka. I to chodzi o mnie. Wtedy on niezmiennie na taką propozycję odpowiada zdziwionym pytaniem – *a bon?* Czyli trochę mimo wszystko się dziwi, że ma jeszcze jakąś narzeczoną, ale jednak przyłazi.

Dzisiaj siedział ponad godzinę. Z widocznym upodobaniem słuchał puszczonej z magnetofonu muzyki i chociaż nie wywijał hołubców jak kolega Alain, też zapamiętałe rytmicznie podrygiwał. Potem postanowił sobie porysować czy może popisać, gdyż z bardzo poważną miną sięgnął po leżącą na stole kartkę i długopis. W ogóle stara się robić wrażenie, że wszystko rozumie i potrafi. Cóż kiedy kartkę miał bezsensownie, usiłując ją rozdzielić, jakby była sklejona, a długopis rozkręcił na części, wtykając tę najdłuższą do ust z zadowoleniem zgłodniałego tytoniu palacza. Uśmiecha się przy tym, robi dziwne miny.

Wygląda na to, że „Dziadek” czuje się u mnie zdecydowanie dobrze i wyraźnie stara się, aby i mnie swoim towarzystwem rozbawić. I nawet mu się to udaje. Może jednak szczęśliwie, że przyjechali z kolacją, gdyż ta wizyta mogłaby się przeciągnąć w nieskończoność. Nie wypominając już nawet, że „gość”, zresztą zupełnie niewinnie, wziął się i zsiakał w mój reprezentacyjny fotel.

Ale ogólnie „Dziadek” jest posłuszny jak niemowlę. Przyjdzie, posiedzi. Jak trzeba, to sobie pójdzie. Gorzej było z „Panią Smutną”.

„Pani Smutna” ciągle zagląda do czyichś pokoi. Zdaje się ma trudności ze znalezieniem

własnego. Tym swoim chodem zataczającego się strusia, z miną niesłusznie zbesztanego dziecka kręci się, a raczej ślania bezustannie po korytarzach. Zaczepia wszystkich napotkanych celem przedłożenia jakiejś sobie tylko wiadomej skargi lub prośby. Jest to męczące i bardzo przykre, bo błagający ton „Pani Smutnej” staje się natarczywy, a zupełnie nie wiadomo, o co jej chodzi i jak można by jej ulżyć, pomóc.

Wczoraj byłam przypadkowym świadkiem, jak pielęgniarkę wreszcie na „Panią Smutną” poniosło. Kiedy któryś raz z rzędu przyszła ze swoim skamłaniem do gabinetu, została zbesztana i wyrzucona za drzwi z kategorycznym poleceniem zamknięcia się we własnym pokoju. Ale „Pani Smutnej” widać znów się pomyliło, bo zapukała do mnie.

I wszystko byłoby może i dobrze, gdyby nie ta zbytnio sentymentalna piosenka nadawana właśnie przez radio. Usłyszawszy ją „Pani Smutna” bardzo się wczuła. Z uczuciem ulgi zapadła się wygodnie w fotel, by oddać się szczeremu, bezmiernemu rozczuleniu. Płakała głośno i bardzo rozpaczliwie. Jej wygląd rozdzierał serce. Jednocześnie sprawiała wrażenie osoby, która nareszcie dostała to, czego tak długo pragnęła. Zawodząc wniebogłosy, przybierała miny przymilne i adresowała do mnie wyraźnie dziękczynne gesty. Próbowwała się nawet uśmiechać, choć też bardzo smutno.

Traciłam kontrolę nad sytuacją. W żaden sposób nie udawało mi się „Pani Smutnej” uspokoić. Wprost przeciwnie, wskutek moich perswazji jeszcze bardziej się w tej eksplozji rozpaczy zapamiętywała. Ja już nie na żarty przerażona, zupełnie nie wiedziałam, jak mogłabym jej pomóc. Bałam się też, że może coś ją boli, wyglądała na osobę straszliwie cierpiącą. Jednak z jej zaszlochane go bełkotu nie byłam w stanie wyłowić żadnej rozsądnej skargi, a tym samym zrozumieć krzywdy, jaka ją zapewne spotkała. Rozpaczała, była bezgranicznie nieszczęśliwa i tyle. Spektakl się przedłużał, chciałam się już tylko jak najprędzej nieszczęsnej „Pani Smutnej” egoistycznie pozbyć.

I tu trafiłam na trudność nie lada. Mój nieproszony gość za nic na świecie nie chciał skrócić swojej wizyty. Wszelkie próby wyprowadzenia jej z pokoju napotykały na gwałtowny sprzeciw, prowokowały istny szal. Widać „Pani Smutna”, nie była na tyle stuknięta, na ile ją brałam, bo reagowała adekwatnie z konsekwencją człowieka walczącego o swoje. A postanowiła widać walczyć do upadłego, wobec czego z góry byłam na pozycji straconej. Szarpała się ze mną, zapierała nogami, uszczypnęła mnie nawet dość boleśnie w ramię. Wystraszyłam się, co tu dużo mówić. Wezwałam na pomoc pielęgniarkę.

Co znaczy jednak autorytet. Pojawienie się osoby kompetentnej uspokoiło zbuntowaną „Panią Smutną” w jednej chwili. Natychmiast zapomniała, że tak bardzo chciała u mnie zostać i posłusznie, bez najmniejszych oporów dała się pielęgniarce wyprowadzić. Tylko minę miała nadal wielce bolesciwą, jak zwykle bardzo smutną. Poskarżyła się też jeszcze żałośnie, aczkolwiek cichutko, że się boi i że nie może być sama.

Chociaż z uczuciem nieklamanej ulgi, odprowadzałam do drzwi „Panią Smutną”, rozumiałam ją i szczerze jej współczułam. Dobrze wiedziałam, o czym mówi.

* * *

I przyszyli dzisiaj do mnie dzieciaki.

Serce mi mało nie wyskoczyło na ich widok. Szarpnęła mną wzbierająca od tak dawna tęsknota, a jednocześnie niepokój i żal. Takie wydawały mi się zaniedbane, brudne nawet. Ale także wydorosłałe.

Mała Dorotka to teraz wielka mądralińska. Od razu widać, że wodzi ojca za nos. W stosunku do starszego brata wydaje się być po kobiecemu wyrozumiała i opiekuńcza. Jest w tej roli zabawna i jednocześnie rozczulająca.

Michał też jakby zrogowaciał, zhardział. Taki zrobił się pewny siebie, swoich racji. To dobrze, zawsze był za delikatny, za bardzo wrażliwy. Widzę, że nabiera męskości.

Dzieciaki zachowują się bardzo uważająco i grzecznie. Są najwyraźniej zaintrygowane miejscem, w którym się znalazły. Z zaciekawieniem małych kociaków zwiedzają mój apartament-izolatkę. Wszystko im się podoba i zgodnie stwierdzają, że taki szpital jest super.

Michał, a ma to pewnie po mnie, jest wielce ciekawy tutejszego życia, a przede wszystkim innych chorych. Nalega, aby mu opisywać, opowiadać. Robię, co mogę, jednak to bardzo trudno zobrazować kliniczną rzeczywistość w kilku zdaniach.

Mój synek nie zraża się wcale moimi jakanymi, wrywkowymi opisami. Zaskakuje mnie nawet, kiedy wskazuje na moje zapisane kartki, twierdząc, że to jest właśnie najlepsze rozwiązanie. Z całą powagą jeszcze mnie zapewnia, że książka, którą o tej klinice właśnie piszę, będzie rozchwytywanym bestsellerem, takie tu wszystko jest dziwne, aż fascynujące.

Słucham mego synka i się uśmiecham. Tylko dziecko może być wobec matki, matki nawet chorej czy nieudolnej tak bardzo ufne w jej możliwości i tak optymistyczne. Jestem mu wdzięczna. Nawet nie wie, że nieświadomie trafił w niezmiernie czuły punkt. Taka wiara we mnie okazywana przez innych jest mi bardzo potrzebna. To podnosi na duchu. I to zobowiązuje.

Pragnę się nacieszyć obecnością dzieciaków. Lekarze wyraźnie zapowiedzieli, że ta pierwsza wizyta jest trochę na próbę. Nie chcieli się wypowiadać, co do częstotliwości i terminu następnych. Nie wiem, kiedy znów będę mogła je zobaczyć. Niczego nie mogę im obiecać. Odsuwam jednak teraz od siebie te niepokoje. Nie chciałabym, aby cokolwiek zaburzyło radość,

że wreszcie jesteśmy znów razem.

Staram się, aby rozmowa z dziećmi była swobodna, lekka w tonie. Rozpytuję je, jak sobie radzą, jak żyją. Przekomarzam się z nimi, dowcipkuję. Chociaż najchętniej przytuliłabym je do siebie, aby już nigdy ich ze swoich objęć nie wypuścić. Wiem jednak, że mi tego nie wolno, żadnych uczuciowych demonstracji. Nie mogę sobie wobec nich pozwolić na rozczulenie, na słabość. Wskutek mojej choroby doświadczyły tego aż nazbyt.

Słucham więc tylko jak opowiadają jedno przez drugie o szkole, o stołówce, przyjemnych wieczorach spędzonych u państwa Legrandów. Z ulgą przyjmuję do wiadomości, że na kolacjach przygotowywanych przez tatę jajecznica nie jest nawet tak często. Za to, tu czuję się uprzedzona, w domu ogromny bałagan, w ogóle nie wiadomo, gdzie co jest. Nic to. Najważniejsze, że są uśmiechnięte, zdrowe.

Takie kochane i ładne są te moje dzieci. Spierają się właśnie ze sobą zawzięcie. Obserwuję je z dumą i jednocześnie ze ściśniętym sercem. Nic na to nie poradzę, dławi mnie od wewnątrz tak znane mi poczucie winy i nieopisany żal.

Bolesna myśl kołacze się bezradnie, a jednak napiera. Jak mogłam tak o swych dzieciach zapomnieć, nie wziąć pod uwagę niechybnych, a jakże fatalnych następstw? Mając je obok siebie, nie miałam prawa do takiego zapamiętania się w rozpacz. One w tym uczestniczyły. I było to niesprawiedliwe, okrutne. Pozostawały przecież bezbronne wobec chorej matki i na pewno przeżyły poważny psychiczny szok. A gdyby doszło, bo mogło, do katastrofy nieodwracalnej i ostatecznej, jaki wtedy byłby ich los?

Myślę tak sobie i zaczynam rozumieć, o jakiej próbie mówili mądralińscy lekarze. Chodziło im o odczucia, jakie to widzenie się z dziećmi we mnie sprowokuje. Pewne jest, że na ich użytek wymyślę jutro radosną bajkę niczym niezaburzonego powitania, gdyż tę reakcję sprowadzającą się do poczucia winy będzie bezpieczniej głęboko przed nimi skryć.

I już wychodzą. Niesamowicie szybko minęło to popołudnie.

Michał jest podekscytowany. Odszukuje „przypadki”, o których mu opowiedziałam. Najbardziej chciałby spotkać „Karacistę” i „Narkomana”, który dowcipnie wypożyczył sobie telewizor. Domaga się nawet, aby wejść na salę telewizyjną, męczy go widać niezdrowa ciekawość głośno prukających z pardonem lub bez, telewizorów. Już nawet żałuję, że niepotrzebnie mu o tym wszystkim opowiadałam. Mój mąż ciągnie zdecydowanie do wyjścia. Mamy jednak pecha, gdyż rozpoczęło się właśnie niedzielne wydanie spektaklu „Babci

Zafajdanej”.

„Babcia” stoi na korytarzu w kusej koszulinie, w pozycji rozkracznej i coś tam po swojemu gaworzy. Kupy są już wszędzie. Widząc wciągającą z furią gumowe rękawiczki pielęgniarkę, cierpnę z uzasadnionych obaw na myśl o popisie przemocy, jaki z kolei ona może na oczach dzieci zademonstrować. Byłoby to dla nich bardziej bulwersujące, niż „nieszczęśliwy wypadek” starszej i chorej kobiety. Chociaż i to jest już zbyt silne. Teraz i ja popycham swą gromadkę do wyjścia.

Sprawiedliwie jednak muszę tu przyznać, że akcja „sprzątanie” przebiegła wyjątkowo spokojnie i w pełnej harmonii. Przynajmniej na zewnątrz, bo z pokoju, w którym zamknięto sprawczynię zbrodni rozległ się po chwili hurgot przewracanych mebli. To pewnie „Babcia” tak walczyła. Kategoryczne wejście pielęgniarki w jej popisowy niedzielny numer musiało mocno ją zdenerwować.

Mój mąż ma najwyraźniej dosyć. Jest zde gustowany, przerażony i nawet mu się nie dziwię. Niecierpliwie ciągnie Dorotkę ku wyjściu. Michał się jeszcze zatrzymuje, by z całym przejęciem i z niezbitym przekonaniem mnie zapewnić, że czytelnicy rzucą się niechybnie na moją książkę. On mi to gwarantuje. Tu uzasadnia – każdy chciałby wiedzieć, jak tu naprawdę jest.

* * *

Do dupy taka robota. Znów mi się pogorszyło. I jest to strasznie trudne do przyjęcia, było już przecież tak dobrze. Było i nie ma. Jestem jak chodzący kłębek nerwów. Prawie przed każdą północą biegnę do pielęgniarki po dodatkowy proszek na sen. Nie daję sobie rady. Czuję się rozstrojona, rozbita, a do tego autentycznie na siebie wściekła, że jeszcze raz dałam się sprowokować, że dopuściłam do pogorszenia mego stanu. Tak jakbym mogła coś zrobić, aby temu przeszkodzić.

A zaczęło się w czwartek od prowokacyjnego, zadufanego w sobie konowala, który miał akurat ranny dyżur.

Konował jak konował, wielu tu się takich przewija. Nawet nie wyczułam niebezpieczeństwa, a szkoda. Ten był naprawdę szczególnie, straszny bufon, a do tego „Audiowizualny”.

Faktycznie, miałam ten przyniesiony z domu sprzęt, na relaksowy użytek, jak już wspominałam, przenośny telewizorek, radiomagnetofon, swoje ulubione kasyety. Naprawdę nic więcej. To mikroskopijny rozmiar szafki sprawiał, że wydawało się tego dużo. Nigdy też nie pomyślałam, że może mi to zaszkodzić. A „Audiowizualnemu” od razu podpadł ten kącik.

Nawet się nie przywitał, prosto wystartował do sprzętu. Kto go tam wiedział, że to teletechniczny koneser i że wpadnie mu w oko akurat mój telewizorek.

Lustrował aparat na wszystkie strony, włączał go sobie i wyłączał, kręcił gałkami do upadłego. Aż się już zaczęłam na serio niepokoić, że mi wszystko rozreguluje. Spodobał mu się też chyba wielofunkcyjny rozgałęziacz, bo w swym badawczym oglądzie mało go nie rozebrał na części. Podliczył jeszcze wzrokiem stertę magnetofonowych kaset, po czym do pielęgniarki skomentował zjadliwie – Popatrzcie co za elektrotechnika w tym pokoju. Prawdziwe studio, rzecz można. Pacjentka jest dobrze „zainstalowana”. Tym lepiej, pobyt tutaj będzie się jej mniej dłużył.

A to już zabrzmiało jak pogrożka. Aż mnie ścięło, natychmiast nastroszyłam się cała. Właśnie problem dalszego tu pobytu, określenie czasu jego trwania miał stanowić kluczowy punkt dzisiejszego spotkania z dyżurującym lekarzem. Byłam beztroska i optymistyczna. Po przyspieszonej wizycie rodziny i ogólnej poprawie, jaką wszyscy mogli u mnie zaobserwować, liczyłam w duchu, że teraz cała reszta kuracji pójdzie już z górki. Miałam nadzieję najbliższy

weekend spędzić za pozwoleniem mądralińskich w domu, a zaraz potem wyrwać się stąd już na dobre.

Wszystko więc miałam poukładane, jak trzeba – konstruktywnie i optymistycznie. Oni tu na ogół bardzo lubią, jak zdrowiejący pacjent wykazuje zdrową inicjatywę. Na ogół, bo ten mi na takiego tolerancyjnego wcale nie wyglądał. Już widziałam, że mi z nim łatwo nie pójdzie. A wszystko przez to „zainstalowanie się”, które jest mu wyraźnie nie w smak.

To się narobiło. Gdybym wiedziała, że sobie tak zaszkodzę, siedziałabym tu w gołych, głuchych ścianach. Słuchać radia czy oglądać telewizję, to zdecydowanie wolałabym w domu, a tak przyjdzie mi teraz za ten ściągnięty tu dostatek ciężko zapłacić. Oj, niedobrze.

Już widzę, jak poirytowany pan doktor zasiada sobie wygodnie w fotelu, aby mnie doszczętnie zdruzgotać. A czym mnie może najwredniej ugodzić ten specjalista od sprzętu, taki mściwy za jakiś dobrze technicznie pomyślany rozgałęziacz? Oczywiście niczym innym, jak żelaznym regulaminem i terminami tak odległymi i mętnymi, że już tylko od słuchania robi mi się słabo.

Opadł bez śladu mój przedwczesny optymizm. Widzę, że mam same słabe punkty w tej partii. Wszystko jest przeciwko mnie. Pan doktor jest nie w sosie i jakby ze mnie niezadowolony, w dodatku jest niezłym bufonem i chyba się domyśla, że tak o nim mówię. Nie mam więc nawet co liczyć, że będzie mnie oszczędzał. Wprost przeciwnie, żeby sobie ulżyć, da mi porządnie w kość.

Jakbym zgadła. Ustalając w mojej kuracji tylko najbliższy harmonogram, pan doktor posługiwał się dla lepszego zobrazowania palcami i to palcami obu rąk. I tego było mu mało, gdy sadystycznie zaczął wyliczać wszystkie czekające mnie jeszcze w klinice dni. Starał się być przy tym zasadniczy i drobiazgowy, słowo regulamin nie schodziło mu z ust.

Było więc, a jakże, o mojej *cure*, która mimo przedwczesnej, tak to określił, wizyty rodziny ciągle mnie jeszcze obowiązuje, gdyż zgodnie z regulaminem kończy się dopiero za dwa dni. Powinnam już wiedzieć, zauważa, że regulaminowa procedura jest jak następuje. I tu właśnie rozcapierzył swe palce, zabierając się do szczegółowego wyszczególniania:

Tak więc, piętnaście dni absolutnej izolacji, siedem dni przystosowujących do życia poza łóżkiem, jedna lub dwie wizyty rodziny i tu ścisła obserwacja, w dalszym ciągu przy ewidentnych postępach pozwolenie na dwudobowy pobyt w domu, powrót do kliniki celem dalszego leczenia i oczywiście obserwacji, znów prawo do wizyty w trakcie tygodnia, jeszcze

następny weekend na zewnątrz potwierdzony zadowolającą kilkudniową obserwacją i dopiero wtedy – trzeba było go widzieć z jaką wredną satysfakcją tu podkreślił – i dopiero wtedy można mówić o wyjściu z kliniki na dobre. A do tego czasu nadejdzie niezawodnie niezbędne *prise en charge*.

Powiedział, co wiedział i wielce z siebie zadowolony szykował się już do odwrotu. Widząc jednak, że przytoczone przez niego na końcu sformułowanie coś jak gdyby do mnie nie dociera, zawrócił jeszcze od drzwi półobrotem i nawet nie wydawał się zniecierpliwiony. Jedyne zauważył dość zresztą zgryźliwie, że oprócz sprzętu, którym się tak obstawiłam, przydałby mi się tu niewątpliwie jakiś dobry słownik. Poza tym wydawał się być zadowolony, że może pacjentowi na coś się przydać, wyjaśnić jeszcze jeden drobiazdek. Rozsiadł się ponownie w fotelu. Widać było po nim, że bardzo wyjaśniać lubi.

Prise en charge to forma ubezpieczenia, jaką gwarantuje w przypadku leczenia szpitalnego tutejsza ubezpieczalnia, tak zwane *Securité Sociale*. Sprawa jest prosta i wyłącznie formalna, natomiast załatwiana jest zazwyczaj dość opieszale.

Normalnie – z ekstazą wymawia to słowo – dwa pełne tygodnie, podczas których pacjent normalnie śpi, więc i tak niczego nie potrzebuje, wystarczają na wymianę odpowiednich oświadczeń.

W moim przypadku – tu prelegent zaczął się jakby troszkę denerwować – wszystko jest postawione na głowie i nic już nie jest normalne – w czasie leczenia snem nie spałam, ktoś wymyślił, aby przyspieszyć widzenie z rodziną, ktoś inny, równie nieodpowiedzialny robił mi nadzieje wyjścia z kliniki na weekend. W ogóle same bzdury. No więc w związku z tym – ciągnie bez oddechu swój wątek – i oczekiwany papier, który dawno już powinien do kliniki dotrzeć, do tej pory jeszcze nie doszedł.

A ponieważ dla kliniki – czułam przez skórę, że wykładowca dociera do sedna sprawy – to potwierdzenie mojego ubezpieczenia jest koniecznym, regulaminowym zabezpieczeniem, nawet nie mam co marzyć, abym wcześniej, to znaczy zanim ta sprawa zostanie regulaminowo uporządkowana, wytknęła poza klinikę choćby nos.

Tu się pan doktor wyraźnie ucieszył. Docenił piorunujące wrażenie, jakie na mnie wywarł jego systematyczny i szczegółowy wykładzik. Już on się starał, aby nie było między nami żadnych niedomówień, nieścisłości. Złapał jeszcze w ferworze leżący na stole długopis, by na boku moich notatek wyrysować mi czarno na białym ustalony przez niego harmonogram. Były

tam wszystkie co do jednego wymienione wyżej etapy, które według jego pogroźek, bez najmniejszego już wyjątku, obejmą i mnie. Wszedł mu bardzo zgrabniutki, proceduralny, regulaminowy wykresik.

Wpatruję się w tę złowrobną bumagę – mój wyrok i nie znajduję dość sił, aby oprzeć się ogarniającej mnie panice. Podliczam w myśli wszystkie zaplanowane dla mnie periodziki i stwierdzam z przerażeniem, że siedząc tu już trzy tygodnie, w żaden sposób nie wyrwę się stąd przed miesiącem.

– O hola, hola panie doktorku! Chyba zapędził się jednak pan za daleko. Strachy na Lachy. Regulamin do szuflady. Ja już i tak zdobyłam zgodę na sobotnie wyjście – równie jak on, zjadliwie podkreślam – w rozmowie z doktorem „Patronem”.

Ale mu dopieklam i wiedziałam, co robię. Już go wyczułam i znalazłam jego wrażliwy punkt. Na oko widać, że ślepa zazdrość zre tego typu od podszewki, zaburzając jego regulaminowe *tenue*.

A jeszcze pod moim adresem, bezczelny, robił złośliwe przytyki do słabego charakteru, który niby mam. Niech martwi się lepiej o siebie, bo na wózku zawistnej chęci posiadania i z silnym kompleksem władzy, nawet w klinice psychiatrycznej za daleko nie zajędzie. Już nawet ja rozgryzłam, czym go można trafić i strzał był celny. Tym razem została boleśnie dźgnięta jego ambicja zawodowa.

Na wzmiankę o „Patronie” rzucił się wściekle, a cała zbuntowana bezsilność wobec narzuconego autorytetu wylazła z niego każdym porem. Urażony do żywego podniósł się godnie z fotela i oświadczając, że w takim razie nie będzie więcej marnował dla mnie czasu, wyleciał z pokoju jak z procy.

* * *

Wprawdzie „Audiowizualny” poszedł jak zmyty, ale ja nic pewniej się przez to nie czuję. Przecież sama wiem najlepiej, że z tą zgodą na moje wyjście w weekend to był po prostu mały *bluff*.

To prawda, że rozmawiałam na ten temat z „Patronem Synem”, bo jest jeszcze jego ojciec – „Patron Starszy”, ale była to raczej pogawędka luźna i niezobowiązująca. Rysująca się możliwość, nic więcej. Choć z drugiej strony, przy bardzo dobrych chęciach, których mam przecież bez miary, można by jednak potraktować jego wypowiedzi jako, może tylko trochę przeze mnie wymuszoną, ale mimo wszystko, obietnicę, a już na pewno jako potencjalną aprobatę.

Dobrze wiem, że wszystko zależy od „Patrona Syna” szczególnie, że wydaje się on być moim lekarzem prowadzącym. Wyrażam się z konieczności w trybie przypuszczającym, bo zakres odpowiedzialności i kompetencji tutejszego personelu pozostaje, ku dezorientowaniu pacjenta, skrzętnie przed nim skrywany.

W każdym razie ze wszystkich lekarzy to właśnie „Patron Syn” interesuje się moją osobą najbardziej. Może z racji tego, że on był tym „Świętym Piotrem”, który mnie do kliniki przyjmował. Bywa u mnie dość często, niekiedy także poza rutynowymi obchodami.

Lubię „Patrona Syna” i stosowaną przez niego formę psychoterapii. On nie gędzi, nie wyklada poglądowych pogadarek, lecz dopinguje mnie do żywych dyskusji, w których czuję się traktowana jak równoprawny partner. Chyba nie muszę dodawać, że ma to dla mnie znaczenie kapitalne.

Mobilizuje mnie zarówno do intelektualnego, jak i emocjonalnego wysiłku, stawiając przede mną problemy czy psychoterapeutyczne wymagania. Oczekuje ode mnie głębokich przemyśleń, dokonywania analizy odczuć i postaw uwieńczoną samodzielną konkluzją, konstruktywnym wnioskiem na przyszłość.

Według mnie jest świetnym psychiatrą i doskonałym psychologiem. Wobec niego nigdy nie mogę oprzeć się wrażeniu, że przejrzał mnie na wylot, że zna najskrytsze zakamarki mojej duszy. Nawet więcej, rozumie pewne aspekty mojej osobowości, których ja sama nie potrafię

zrozumieć.

Przybiera wobec mnie rolę przewodnika, który lepiej orientując się w trudnym terenie, wskazuje zagrożenia, przeszkody, które należy ominąć, aby stanąć na prostej drodze. Często mnie wręcz zaskakuje swoją wiedzą i trafną intuicją. Wprost czuję, jak mnie umiejętnie i pewnie przez te moje manowce przeprowadza.

Rozmowy z nim są w moim procesie poszukiwania samej siebie bardzo pomocne, często wręcz odkrywcze. Jest to z jego strony badanie wnikliwe i dociekliwe. Twierdzi, że dotąd nie da mi spokoju, dopóki nie rozwikłamy wspólnie do końca mojej psyche i nie określimy jednoznacznie motorów mego działania. Uważa także za niezbędne wyjaśnienie realiów mego życia, celem ustawienia ich na właściwej, zdrowej płaszczyźnie. Najważniejsze jednak jest według niego, abym ja sama zrozumiała kwintesencję i autentyczne wyznaczniki własnego ego, abym je przyjęła i wreszcie zaakceptowała. Dopiero wtedy da mi spokój, gdyż tylko wtedy będzie o mnie spokojny.

Nie da się ukryć, mądry chłop. Mam kupę szczęścia, że trafiłam właśnie na niego. Obserwując tu tę całą plejadę mądralińskich, z całą chępliwością mogę uznać, że trafiło się ślepej kurze ziarno. Nazwałam go sobie „Doktor Filozof”, z całym respektem i sympatią. Myślę, że to określenie mówi więcej niż „Patron Syn”. Synem i patronem tylko zaledwie się jest, a żeby być filozofem trzeba sobie na to zapracować lub się nim po prostu urodzić.

Tak więc „Doktor Filozof” jest na ogół ze mnie, a raczej z postępów, jakie robię bardzo zadowolony. Stwierdzając z każdym dniem wyraźniejsze przejawy powrotu do zdrowia i ustępowanie depresji, aż kraśnieje z życzliwej uciechy pełen przy tym uzasadnionej, profesjonalnej satysfakcji.

I to jest dla „Doktora Filozofa” punkt wyjścia w prognozie. W przeciwieństwie do innych, którzy swój dotkliwy brak kompetencji maskująco łątają ubzduranym regulaminem, on wyłącznie od stanu pacjenta, od stwierdzonej poprawy uzależnia dalszy przebieg leczenia, przewidującego między innymi wyjście poza klinikę na sobotnio-niedzielne dwa dni.

Jeszcze wczoraj w rozmowie uznał, że właściwie jestem już gotowa, aby mnie poddać korygującej próbie, jakim jest takie wyjście. Zostało ono pomyślane jako zaplanowana wstępna konfrontacja z dotychczasowym życiem. Nie było też mowy o jakichkolwiek papierkowych problemach, administracyjnych obstrukcjach. Mogę więc najspokojniej traktować, że mi ten weekend w domu obiecał. Dobra nasza.

I faktycznie wszystko byłoby świetnie, gdyby nie to, że „Doktor Filozof” ulotnił się jak kamfora, zniknął od wczoraj z placu boju. Od naszej budującej i napawającej mnie nadzieją rozmowy nie pokazał się ani razu. A dzisiaj jest już czwartek.

* * *

Straszny bałagan w tej klinice. Kooperacja szwankuje. Dziw, że to w ogóle jeszcze jakoś działa. Trudno się połapać, kto tu decyduje, rządzi. Chcę wierzyć, że mimo wszystko trzymają to w garści „moi patroni”. Jak by nie było, są najsympatyczniejsi. Szkoda tylko, że „Patron Starszy” to prawdziwa figura i widuje się go bardzo rzadko.

A ci wszyscy inni przyłóżą, mantykują. Dziwują się nad pacjentem jak nad egzotycznym małpiszonem w klatce. Jeśli jest poprawa, to sobie jej gratulują. A jakże. Jeśli natomiast pogorszenie, to huzia na opomego delikwenta. Jednak generalnie wszelki progres jak regres mają w nosie. Zazwyczaj zadawalają się wyszukiwaniem problemów i trudności. Bo żeby coś postanowić, zdecydować, to nie.

Autorytet drugiego lekarza, nie mówiąc już o zawodowej solidarności jest tu za psi pazur. Kolejny odwołuje, co zarządził poprzedni, jeden zaprzecza drugiemu, pozwalając sobie przy tym najczęściej na złośliwą wobec kolegi szpilę. Do tego jeszcze przerost kompetencji ze strony pielęgniarek i mamy bezhołowie, aż miło. Mały przykład, aby nie być gołosłowną.

Jeszcze w zeszłym tygodniu, na jednym z obchodów lekarz, który zawitał, był nastawiony zdecydowanie przyjacielsko i optymistycznie. Taki miał kaprys, a może zjadł wyjątkowo dobre śniadanie.

W każdym razie poinformował mnie ćwierkająco, a raczej pocieszył, że moje pozostawanie w *cure* jest już tylko na zasadzie *pro forma*. Podlegam mu jeszcze, można powiedzieć, teoretycznie ze względu na kontynuowane zabiegi. Rozsądnie uzasadnił, że nie ma potrzeby utrzymywanie reżimu przy tak dobrym stanie psychicznym, jaki wykazuję. Rozmowie tej asystowała jak zwykle pielęgniarka.

Do niej też zwróciłam się zaraz po obchodzie z prośbą o klucz do otwarcia żaluzji i okna celem przewietrzenia zatęchłego w czasie *cure* pokoju. Był to najmniejszy drobiazg, który jako pierwszy pragnęłam zmienić. Zaraz potem miałam zamiar wskoczyć w normalne ciuchy, wyjść na spacer i w ogóle nareszcie robić wszystko to, czego dotąd nie było mi wolno. Mile brzmiał mi jeszcze w uszach zapowiedziany przez lekarza pierwszy krok ku wolności.

I co? A guzik. Poza tym jaki brak respektu wobec ćwierkającego czy nie, ale zawsze lekarza.

Ta głupia prukwa klucza mi nie dała, podkreślając z dziką satysfakcją, że teoretycznie czy nie teoretycznie jeszcze przez dwa dni pozostaje w *cure*. A jak wygląda *cure*, to już ona sama, najlepiej zresztą wie.

Nie będę się z głupią babą biła, a jeszcze do tego z nieszczęśliwą, bo głuchą. Chyba, żeby była normalnie słyszająca, a tylko niesamowicie złośliwa. Tak czy inaczej, okno pozostało zamknięte, a ja przekiblowałam w smrodzie brakujące dwa dni.

I co tu mówić o autorytecie, konsekwencji, bo już broń Boże, ludzkiej życzliwości. Natomiast odwoływać się, użerać? Trzeba mieć na to kupę sił. Mogłam, co najwyżej przy następnym obchodzie, a więc nie wcześniej jak nazajutrz prostować to niby nieporozumienie, tyle że już z zupełnie innym lekarzem.

I tak się koło zamyka. Koło kwadratowe. A opowiadam o tym tylko dlatego, aby pokazać jak to tu działa. Zresztą już jutro podobny numer się powtórzy. Tym razem przełknęłam jeszcze tę pigułkę. Niech tam. I tak wiedziałam, że jestem na wylocie.

Ale jutro zareaguję, zawalczę, nie będzie mnie już więcej na taką cierpliwość stać.

* * *

No nie, do diabła. To jest celowa robota. Oni wszyscy tutaj chcą mnie doprowadzić do ostateczności jak nic. Jest już sobota po południu, a ja dalej nie mam papierka-przepustki, formalnego pozwolenia na wyjście.

Ten mój poplecznik „Doktor Filozof” był wprowadzie rano na obchodzie, lecz mimo, że się bardzo starałam, nie udało mi się przycisnąć go do muru, aby wydębic ten sakramencki podpis. Kręcił się i wiercił, zawijał ogonem. Widać, że udzielenie zgody było mu nie w smak, jednocześnie nie chciał mnie chyba zrazić zdecydowaną odmową.

I tu jest źródło tej całej kołomyi, która miała niebawem się zacząć, właśnie ten brak zobowiązującej decyzji, niechęć do stanowczego rozstrzygnięcia. Bo jak wiemy, pan doktor jest z natury bardzo sympatyczny, życzliwy i wszystkim chciałby iść na rękę, ale nie może, bo będąc jednocześnie patronem, musi mieć na oku interes kliniki, a te dwa aspekty ze sobą nie grają. I dylemat gotowy. A co za tym idzie? Ambiwalentne rozwiązanie: „Doktor Filozof” nie powiedział wprowadzie nie, ale i „Patron Syn” nie powiedział tak.

„Patron Syn” wylazł z niego jako pierwszy. Tu szczerze ubolewał nad administracyjną opieszałością. Nie zostało załatwione jak dotąd ubezpieczenie obejmujące moją osobę poza kliniką. Kto zatem byłby finansowo odpowiedzialny, na wypadek gdyby coś się stało? Sprawa jest tym bardziej przykra, że sekretariat otrzymał telefoniczne potwierdzenie i wiadomo, że niezbędny dokument jest już w drodze. W dzisiejszym *courrier* jednak go jeszcze nie było, a i w niedzielę poczta nie pracuje.

Przykra była dla „Doktora Filozofa” już sama myśl, że mógłby się komuś wydać jedynie ścisłym biurokratą. Aby więc tego uniknąć, dorzucił do swego mętnego wywodu trochę i medycznych racji.

I tu się dowiedziałam, że mimo generalnej poprawy obserwuje w moim nastawieniu pewną cechę, drobny niuans, który go niepokoi. Jest to jak gdyby jakaś blokada, wewnętrzny zatwardziały opór. Poza tym stwierdził jeszcze, wciąż pełen obaw, że traktuję przy tym niemal całe otoczenie jak potencjalnych przeciwników, a w stanach słabości wręcz wrogów. Zatrząskuję się w sobie jak w skorupie, pełna jednocześnie niewyładowanych agresji. Opieram się wszelkim

przeciwnościom ostro i bezwzględnie, ale samotnie. Jestem jak ten wbijany w cegłę niezbyt solidny, już nadpęknięty klin.

I proszę, jak zgrabnie wybrnął. Znów stanął na wysokości zadania. Muszę jednak przyznać, że ze swoimi spostrzeżeniami trafił bez pudła. Faktycznie, jestem trochę jak ten przytoczony klin, a jeszcze bardziej jak zardzewiały zacięty scyzoryk. Pożytku z niego nie ma, bo się zaciął i nie da się otworzyć, a tłukąc się bezsilnie w zamkniętej pochewce, sam siebie kaleczy, dotkliwie rani.

Wszystko się zgadza, tylko co dalej? Filozoficznymi roztrząsaniem do domu nie zajadę. Za to przejęty supłami psychicznymi pacjentki pan doktor, zadał jej na weekend materiał do przemyślenia. Rzucił jeszcze na koniec enigmatyczne – zobaczymy, co się da zrobić – i jak się miało wkrótce okazać, zniknął z kliniki, najspokojniej wybył. Dyżur na długi sobotni wieczór przejmował „Patron Starszy”. I dobrze, zawsze to rodzina.

Siedzę ja tak sobie i kalkuluję. Przez ten brak konsekwencji, bałagan w opiniach i ja mam w głowie niezły zamęt. Raz można, raz nie można, trochę za, trochę przeciw, różne takie – wicie, rozumiecie. A do cholery z tym! Nie ze mną będą grali w ciuciubabkę. Za stara jestem na to i zdenerwowana.

Jednak tylko spokój może mnie jeszcze uratować. Spokojnie więc zrekapitulujmy. O sprawy administracyjne niech się martwi administracja. Jestem w klinice pacjentem i decydować co do mnie może tylko lekarz. Nie było medycznych przeciwwskazań, abym na półtorej doby opuściła klinikę. Chcieli poprawy, to mi się poprawiło. Teraz najważniejsze, aby ta cała poprawa nie wzięła w łeb.

I tu postanawiam, że wychodzę.

Wprawdzie słuszna decyzja to połowa sukcesu, pozostaje jednak pytanie, jak podjęty zamiar przeprowadzić, jak się do niego zabrać. Jest późna godzina sobotniego popołudnia, a ja dalej kręcę się jak w matni.

Pielęgniarka nie chce nawet ze mną gadać, bo i po co, kiedy nie otrzymała od lekarza żadnych dotyczących mego wyjścia dyrektyw. Pragnąc się mnie pozbyć, odsyła mnie z reklamacjami do „Doktora Filozofa”, o którym jeszcze nie wiadomo, że już go w klinice nie ma.

Jest pomysł, punkt zaczepienia. Staję w progu sekretariatu „mojego doktora” i z przepaszającą miną za przeszkadzanie w wykonywanych obowiązkach upraszam sekretarkę o kilkuminutową u patrona audiencję. Niestety, musiałam faktycznie przeszkodzić, bo

przeciążona sekretarka tylko na maleńki moment oderwała się od swych pilnych obowiązków, aby z furią zatrzasnąć przed samym moim nosem obite skórą, nieprzeniknione drzwi.

Kto by się zaraz zrażał pierwszym małym niepowodzeniem? Dosłownie naprzeciwko jest drugi sekretariat, administracyjny. Ten sam, który do tej pory nie załatwił mojej *prise en charge*.

Nie szkodzi. Zapominam urazę. Staję przed dwiema miłymi urzędniczkami jak uosobienie nieszczęścia błagającego o wsparcie. Grzecznie referuję mój skomplikowany przypadek, przypoehleбно podkreślając, że załatwienie wszelkich formalności leży wyłącznie w ich gestii.

A one nic. Nie wzięły się na lep słodkich słówek ani na moje słodkie oczy, które przewracałam celem większego przypodobania się dosłownie do góry nogami. Też się oderwały od obowiązków, ale tylko po to, aby mnie zbesztać jak dobry Pan Bóg diabła.

I tu się dowiedziałam, że mojej sprawy mają już po dziurki w nosie. Od samego rana w ich urzędzie w związku ze mną jest tylko zamieszanie i bałagan, bo przychodzą do nich po wyjaśnienia lekarze, mój mąż telefonował już trzykrotnie, a raz urzędniczka z ubezpieczalni. Dla nich, to ja mogę wyjść sobie kiedy chcę i podlewać kwiatki.

Dla nieosłuchanych z pięknym językiem francuskim, gwoli ścisłości dodam, że tak brzmi dokładnie przetłumaczone popularne zresztą wyrażenie, które z pozoru tylko wygląda tak miło, a po naszymu jest to po prostu – spieprzaj, idź do diabła. O diable zresztą też coś tam było. Nie jestem jeszcze w końcu głucha. *A propos* francuskich sformułowań, już na samym końcu powiedziały, że robię im sraczkę. Jak to jednak każdy język ma swoje unikalne uroki.

Może jeszcze bym jakoś przeboleła te wynikające zapewne ze zbytniego przepracowania zarzuty. W końcu ma się ten silny charakter. Kiedy jednak rzuciły mi w twarz, że jako osoba nie zrównoważona psychicznie po prostu się awanturuję i poradziły mi jeszcze spieszny powrót na oddział, gdzie pielęgniarka będzie już wiedziała, jak mi pomóc, bo mnie jest potrzebna pomoc farmakologiczna i to doraźna, już nie wytrzymałam. Wyszło, że z tym awanturowaniem mają słuszną rację.

Od razu się przyznam, że nie dobieierałam wyrazów. Jakoś same w naturalny sposób wylewały się z moich ust, chociaż zawsze myślałam, że francuskich brzydkich wyrażen nie znam. Ale jak to się mówi, potrzeba matką głupich. Sypałam teraz nimi jak z rękawa. Zrównoważenie, cierpliwość, uszy po sobie – zgoda, ale pod warunkiem, że do czasu. Ubodły mnie, uraziły, niegrzecznie traktując jak „psychiczną”. Przebrała się miara tolerancji. Jak na zawołanie zadziałał zatrzaśnięty gdzieś w mojej psyche zardzewiały scyzoryk.

Poinformowałam więc dobitnie panie urzędniczki, gdzie ja mam ich stracony czas. Skarciłam za opieszałość w załatwianiu podstawowych spraw klienta, który za pobyt w klinice, a więc i za ich fuszerkę słono przecież płaci. Oświadczyłam, że o ich uprzejmości i prostackich przytykach porozmawiam przy najbliższej okazji z patronem. I nie było to powiedziane ot tak sobie, ja wiedziałam, że to naprawdę zrobię.

Panie zastygły w osłupieniu. Nieładnie pootwierały swe wymalowane buzie. Nie spotkały widocznie dotąd wariata, który potrafiłby tak się odciąć i tak zaciekle walczył o swoje.

* * *

Tyle zszarpanych nerwów i na nic. Dalej siedzę w klatce. Nie posunęłam sprawy nawet na krok. Do tego jeszcze mój małżonek, który również zwiedziony obietnicą „Doktora Filozofa” właśnie po mnie przyszedł, wcale mi nie pomaga. Sprawia, że mało nie wyjdę ze skóry.

Mówi coś do mnie o biurokracji, o złośliwym pechu i chyba o konieczności pogodzenia się z siłą wyższą. Potem jeszcze spokojnie dodaje, pewnie żeby mnie pocieszyć, że nie mam się co dalej upierać, bo ta cała batalia o wyjście trwa już od kilku godzin, czas ucieka i z tego weekendu pozostaje w sumie niewiele. Jutro przecież przyjdą wszyscy do mnie i jakoś to zleci.

Z tego co mówił, dotarło do mnie jedynie, że czas mija, a ja jeszcze tu sterczę. Co robić? Uciec, nie ucieknę, bo klinika położona jest faktycznie na wyspie. W bramie siedzi baba i robiąc na drutach tylko patrzy, kto przez nią wychodzi. A wokół za płotem wartko płynąca rzeka. Nawet nie taka szeroka i głęboka ile zarośnięta, mulista. Wybudowały sobie Francuziki drugi Alcatraz i mają, a mnie w nim.

W pokoju atmosfera ciężka. Zniechęcony i znudzony mój małżonek tylko patrzy, jakby stąd prysnąć i co z tego, że beze mnie. Już kilka razy podnosił się do wyjścia, szukając pretekstu, aby zakończyć tę męczącą wizytę. Nie zwracam na niego uwagi. Jestem jak mająca za chwilę eksplodować bomba.

Gorycz rozczarowania, poczucie bezsilnej pasji aż mnie rozsadza, roznosi. Podręcznikowy obraz skrajnej desperacji. Wiem, że powinnam wziąć się w garść. Inaczej nie wygram, a ja muszę wygrać. Nerwowo rozrywam paczkę papierosów, już chyba trzecią tego dnia. Jest godzina siedemnasta trzydzieści.

Jedno co wiem, to że nie mogę ustąpić. Jeśli nie wyjdę dzisiaj, to cała sprawa stanie od nowa na tapecie, tyle że dopiero aż za tydzień. Tak czy inaczej ostatecznie mnie stąd wypisanie uzależni od pomyślnie spędzonego weekendu. Nie ja w końcu wymyśliłam ten bzdurny proceder. Nie mam też najmniejszego pojęcia, co mogą brać pod uwagę, oceniać – o której wrócę, czy skusiłam się na alkohol, a może na przespanie się z mężem?

Rachunek jest prosty, stawka w grze określona. Jeśli stąd natychmiast nie wyjdę, stracę jeden cały tydzień, skazę się na przedłużeniu pobytu tutaj o dodatkowe siedem dni. Nie ma mowy.

Kropka. Koniec tej całej szarpaniny w poszukiwaniu rozwiązań. Przystępuję do gry. I z góry wiem, że jestem zdecydowana grać jak najwytrawniejszy szuler i że będzie to partia *va banque*.

Podnoszę się gwałtownie z fotela i zostawiając osłupiałego męża, wybiegam z pokoju jak z procy. Staję w drzwiach gabinetu pielęgniarek i nabrawszy powietrza w płuca jednym tchem oświadczam, że zdecydowałam się na bezwarunkowe i natychmiastowe wyjście z kliniki z uciążliwym zamiarem powrotu jutro o przewidzianej przepisami godzinie. Potrzebne mi są w związku z tym przewidziane na ten czas lekarstwa.

Ruletka poszła w ruch. Czekam na reakcję pielęgniarki. Siłę się na spokój, wiem jednak, że mogę w tej chwili robić za uosobienie zniecierpliwienia, uporu, wręcz zuchwałości.

Pielęgniarka uważnie patrzy na mnie, po czym wręcza mi mały świstek z miejscem na wyszczególnienie godzin i podpis. Wyda mi lekarstwa, o ile dyżurujący lekarz przystawi tu swoją parafkę, inaczej nie ma prawa. Natomiast jeśli wyjdę stąd bez lekarstw, poucza mnie jeszcze, o dziwo, bez złości, zaprzepaszczę całą kurację, przerwę leczenie. Nie będę więc miała po co jutro wracać. I jakby była po mojej stronie dodaje – Musi Pani zdobyć ten podpis.

I ja to wiem, chociaż bardzo niechętna jest mi myśl o stoczeniu kolejnej batalii z lekarzem. Zawsze już jednak coś mam, łapię pazernie od pielęgniarki niewypełniony papier.

A teraz, żeby już krótko, bo z tych silnych emocji coś za bardzo się znów rozgadałam.

W sekretariacie lekarza nikogo. Chcąc nie chcąc zwracam się do „zaprzyjaźnionej” urzędniczki z przeciwka. Ta poucza mnie zresztą słusznie, że nie pacjentowi zakłócać spokój lekarza, a jeszcze do tego w kolacyjnej już porze. Jeżeli już jest do niego sprawa, to pielęgniarka powinna najpierw telefonicznie mu ją przedstawić. I lepiej, myślę sobie. Nie ja osobiście nadstawię tu skóry.

Biegiem do pielęgniarki. Zaraz gorliwie przekażę, co pani mądra urzędniczka dla niej wymyśliła. Już ja tam wiem, jak się wzajemnie lubią. Póki co w poszukiwaniu zaginionej pielęgniarki oblatuję wszystkie oddziały, bo jak na złość, celem poplotkowania sobie z koleżanką akurat bardzo zmyślnie się schowała.

Raz znaleziona na panią mądrą z urzędu pomstuje, pod moim adresem ani słowa. Z uczuciem ulgi obserwuję, że sięga po aparat, by wykręcić numer do gabinetu lekarza.

Słyszę jak mu tłumaczy – jest u mnie pani taka a taka, która postanowiła wyjść na weekend tak czy inaczej. Potem zapewne pytanie z drugiej strony, bo po chwili dodaje – Tak, bezwzględnie. Twierdzi, że jutro wróci. Czy mam jej wydać lekarstwa? – Pytanie zawisnęło

w membranie aparatu, czuję jak serce się we mnie łomocze i w końcu słyszę – Tak, zrozumiałam, zaraz schodzę.

A do mnie już niepotrzebnie, bo i ja zrozumiałam – To był „Patron Starszy”. Kazał Panią wypuścić, ale on nie wierzy, że Pani jutro wróci.

W czasie, kiedy pielęgniarka schodzi do lekarza po podpis na przepustce, zbieram w gorączkowym pośpiechu potrzebne mi drobiazgi. Już w locie odbieram jeszcze od niej przygotowane wraz z miarką i dokładną recepturą lekarstwa. Grzecznie się żegnam i grzecznie dziękuję.

Gdy opuszczam klinikę, jest godzina osiemnasta trzydzieści.

* * *

Czuję, że nie wytrzymam i od razu teraz przytoczę niebywałą opowieść, którą jak najbardziej i z całym przekonaniem mogę zatytułować – „Moja wielka ucieczka”.

Mam pewne skrupuły, aby ją opowiedzieć w tej chwili, gdyż ta historia wybiega w przyszłość o całe dziesięć miesięcy. Ale to chyba nie szkodzi, widuje się w literackich relacjach nie takie cuda, a nie ukryję też przed tobą faktu, że do tej samej kliniki byłam zmuszona powrócić jeszcze raz.

A „Wielka ucieczka” jest bardzo na temat. Też absurdalny reżim, kompletna ignorancja wobec dosyć szczególnej, wręcz wyjątkowej, sytuacji pacjenta, piętrzące się bezwzględne administracyjne wymogi i kruczki, poczucie zagrożenia i bezsilności. Tak więc wypisz wymaluj to samo.

I oczywiście, że to samo. Bo jakby inaczej? Ta sama klinika na wyspie, ta sama pacjentka ponownie poturbowana chorobą, która nie chce łatwo ustąpić i tylko czas, który przeminął, odwróciwszy kolejną kartę życia.

Mam jeszcze jedną rację, aby historię, która ma się wydarzyć dopiero za jakiś czas, ująć w słowa przy tej okazji już teraz. Jest to prawdziwa perełka w moich wspomnieniach i szkoda by mi było ją pominąć. Za to same wspomnienia z tych lat są dla mnie w sumie bardzo przykre i trudne, nie sądzę więc, abym jeszcze kiedykolwiek poza tymi kartkami zapragnęła do nich powrócić.

Umawiamy się zatem, że przesunęliśmy się w czasie. Mamy lato, sierpień... Klaps.

Żar się z nieba leje, duszno jak cholera. Jestem już w klinice trzeci tydzień. Wypada poniedziałek. Drugi dzień, jak jestem już wolna od uprzykrzonej *cure*.

Zrobiłam kilka spacerowych rundek wokół ośrodka i siadłam sobie przy popołudniowej kawie, aby podumać. Przywołuję na pamięć wydarzenia, które się przyczyniły, że znalazłam się w tej klinice ponownie. Aż trudno uwierzyć, że tak się stało. Po opuszczeniu jej na jesieni zeszłego roku byłam przecież taka pełna jak najlepszych chęci i autentycznego zapału. Pomysłów na nowe, zdrowe już życie miałam doprawdy dziesiątki. Zresztą jeden lepszy od drugiego. Co z tego, jak wybrałam najgorszy. Postanowiłam podjąć pracę.

Zresztą same motywy były słuszne i psychoterapeutycznie wspomagające. Pragnęłam zerwać z dotychczasową rutyną i monotonią mego codziennego życia, sprawdzić się jak inni na polu zawodowym, a przede wszystkim wyjść z domu i być nareszcie wśród ludzi.

A jeszcze do tego praca w centrum Paryża, dla takiej prowincjonalnej gęsi jak ja, już samo to było atrakcją nie lada. Trzygwiazdkowy hotel, etat pokojówki z sześciomiesięcznym kontraktem. To wcale nieźle jak na początek dla emigranta, biorąc pod uwagę tutejszy rynek pracy.

Natomiast fakt, że miało to być zajęcie wobec mojego dyplomowanego zawodu z Polski niezbyt ambitne, zaledwie fizyczne, nie miał dla mnie większego znaczenia. Wierzyłam, że z każdej pracy można wyciągnąć satysfakcję i zadowolenie, jeśli się tylko chce. Poza tym co innego kraj, a co innego bezwzględne ograniczenia życia na emigracji. O pracę jest tu bardzo ciężko, moje trudności językowe spowodowane między innymi brakiem kontaktu z ludźmi były niestety dość duże, na zaczepienie się w swym zawodzie miałam jeszcze wtedy naprawdę niewielkie szanse.

I tak się zaczęła moja awantura z pracą na Zachodzie. Żeby się za długo nie rozwodzić, od razu podsumuję. Było to kompletne fiasko, niewypał i klops.

Mądry Polak po szkodzie. Teraz widzę, że sama nazwa hotelu – „*Apocalypse*” powinna mnie ostrzec i zawrócić z ryzykownej drogi. Ale gdzie tam, pełna brawury i niepomna przestróg rzuciłam się w to nowe doświadczenie, aby poznać na własnej skórze jak to jest.

Ale do rzeczy. Najpierw patroni. Francuskie małżeństwo średniej klasy. Kiedy opisuję ich innym, pełna zresztą uzasadnionego oburzenia, wszyscy orzekają, że nie opowiadam żadnych rewelacji, gdyż są to patroni jak najbardziej typowi. Po prostu patroni.

Tylko skąd ja mogłam wiedzieć, biedna sierota, nigdy dotąd nie pracując, jak wygląda typowy francuski patron? Zresztą dla mnie jest wprost nie do przyjęcia, że takie nędzne kreatury można spotkać tu na każdym kroku i niemal w każdej pracy. To niemożliwe, aby był to szablon i schemat ogólnie odbity? Jeśli jednak faktycznie tak jest, to cieszę się, że stamtąd uciekłam chociaż do tej trudnej do zniesienia kliniki i na pewno już nigdy próby podjęcia pracy nie powtórzę.

Póki co przez kilka miesięcy miałam z nimi do czynienia, w kompletnym ogłupieniu pozwalając, aby się przyczyniali do nieuchronnego nawrotu depresji. A robili to ochoczo i z dużym przekonaniem, choć po prawdzie, nie wiedzieli przecież, że mają do czynienia z osobą słabą i nadwrażliwą. Tylko by ich to pewnie bardziej jeszcze rozjuszyło w ich despotycznych

zapędach. Oni lubili słabych, a ja wiedząc o tym, z całych sił i z ogromnym zaparciem ukrywałam przed nimi swoje rozczarowanie, przykry szok oraz wątpliwości szybko przekształcające się w poczucie klęski.

Sama nie wiem jak ich opisać, aby być bardziej przekonująca. Mogłabym użyć kilku epitetów zoologicznych, ale nie byłoby to zbyt oryginalne. Sięgnę już raczej do określeń popularnie przypisywanych różnym narodowościom. Sama narodowość francuska dla moich patronów nie wystarczy i tu uzasadnię.

Są to Francuzi, a dyplomatyczni jak Anglicy, a regulaminowi jak Niemcy, a skrupulatni w ciułaniu grosza (czytaj cheiwi) jak Szwajcarzy, sprytni jak Cyganie, inteligentni jak Belgowie, popędliwi, krzykliwi i wybuchowi jak Włosi, a pewni siebie i swoich racji jak, nie przymierzając, Rosjanie. Chyba starczy. Dobrze, że się tylko do Europy ograniczyłam, bo mogło być jeszcze gorzej.

W każdym razie coś w tym sensie. Nigdy nie zadowoleni. Najmniejszego słowa zachęty, nie mówiąc już o pochvale. Zawsze tylko dąsy, ton iście patroński, nakazujący, wielkopański – proszę zrobić to, uważać na tamto. Szybko, dobrze i dużo, to jest ich dewiza. O każdego klienta walczą do upadłego. Za to irytują ich duże apetyty gości, żałują im na przykład małej dodatkowej porcji masła na śniadanie. Dać muszą, bo gość by się zraził, ale robią to z taką niechęcią, jakby ktoś z nich żyły wypruwał. Ale oszczędność, mimo że posunięta do przesady to jeszcze nic. Różne świństwa wyciągają ze zniesionego przez pokojówki śmietnika i jeśli to jest jabłko lub jogurt, to zjedzą, a trafi się napoczęte mydło, to się nim myją. A to już nie jest oszczędność, chociaż trudno mi nazwać po imieniu, czym takie zachowanie się właściwie jest.

Kiedy jest ruch w interesie, moi patroni kręcą się z takim wigorem, nic tylko powiesz, jakby mieli zamontowany wiatrak w pupie. Tyle że przy tym robią niepotrzebną panikę. Prychają, sykają bez powodu, z góry zakładając, że zrobimy wszystko za późno i bez wątpienia źle. Najmniejszego zaufania do nikogo. Tu żona własnemu mężowi nie wierzy i zresztą *vice versa*. To co można mówić o zaufaniu do płatnego wyrobnika – potencjalnego szkodnika i nieuczciwca.

Już dwukrotnie przymierzali się, aby mnie wyrzucić z pracy, a raczej nauczyć respektu, nastraszyć. Uświadamiali mi wtedy, jakie to ze mnie zero i nieudacznik. Wystarczyło im uwierzyć, by strzelić sobie z całym przekonaniem w łeb. Ale z ich strony była to tylko pokazówka, próba nerwów i manifestacja sił. Widząc, że narzucam na siebie kapotę, rzucając się ochoczo do drzwi, odwracali kota ogonem, wycofywali się na całym froncie. Tłumaczyli jeszcze

bezczelnie swoje rozdrażnienie, bądź to przemęczeniem, kiedy byli goście, bądź niepokojem o kabzę, kiedy był w klienteli zastój. Musieli mimo wszystko dobrze wiedzieć, że znaleźć drugą taką uczciwą, solidną, a jednocześnie głupią, bo zbyt pokorną, nie będzie im tak łatwo.

Poza patronami są jeszcze w „*Apokalipsie*” dwie moje koleżanki po fachu. Też niezłe numerantki. Jedna Algierka pełna kompleksów i żywej do bliźniego niechęci, druga dumna i bardzo pewna siebie Martynikanka.

Oj dały mi się i one we znaki, szczególnie na początku przy wstępnych potyczkach weryfikujących – kto kogo? Było tu podkradanie napiwków, podrzucanie brudów, wieczne skargi do patronów. W sumie nic wielkiego, też podobno typowe, małe podgryzanki, drobne świństwa jak to zwykle w miejscu pracy.

Ja jednak chyba faktycznie słabo jestem do życia przystosowana, bo jednak ciężko mi było z tą obłudą, złośliwością, nieraz wręcz zawiścią się pogodzić. Źle się czułam, nie pasowało mi i tyle.

Dobrze chociaż, że zostałam przez los obdarzona pewną dozą inteligencji i opartego na „psychologicznym” podejściu do człowieka życiowego cwaniactwa. Tylko dzięki temu jakoś sobie z tymi hienami poradziłam. Pod koniec mojego eksperymentu z pracą zrobiły się z nas dobre kumpelki solidarne przeciwko obrzydłym patronom. I dobrze, że znalazłam na nie sposób, bo by mnie pewnie rozszarpały na strzępy. Nie będę się jednak rozwodzić nad konkretnymi posunięciami, na jakie się wobec nich zdecydowałam, bo mimo wszystko jest mi trochę wstyd.

Tyle z grubsza o współpracownikach. Bo nad samą pracą nie ma co się rozczulać. Znaczny wysiłek fizyczny, który przy dobrej organizacji pracy można jeszcze było jakoś znieść.

Niekiedy przy upale ponad trzydzieści stopni trzeba było zrobić tak zwany komplet, czyli dwadzieścia cztery pokoje. Zasuważąc jak wariat, człowiek nie wiedział na jakim świecie żyje. Stawał się narzędziem, maszyną. Nieraz myślałam, że to jednak za dużo, że się nie jest w stanie takiej harówki wytrzymać. I znów się okazywało, że się myliłam, gdyż biegając przez osiem godzin jak w ukropie, kończyło się prawie na czas. Wszystko było tak akuratnie wykalkulowane, policzone.

A po pracy pozostawał jeszcze przecież dom – dzieci i te moje gary, pranie, prasowanie. Do fizycznego zmęczenia pracą w hotelu, do męczących dojazdów i wczesnego wstawania musiałam, bo nikt mi przecież dotychczasowych obowiązków nie ujął, dorzucić jeszcze to.

Do tego mój mąż nie zdecydował się aprobować tej mojej próby usamodzielnienia się

poprzez aktywne włączenie się w świat pracy. W związku z tym, chociaż do tej pory zawsze trochę mi w domowych pracach pomagał, teraz odciął się od wszystkiego, niekiedy nawet utrudniał na zasadzie – chciałaś, to masz.

Teraz wiem, że to się musiało źle skończyć. Inaczej po prostu nie mogło. Wzięłam na siebie zdecydowanie za dużo. To było jasne jak słońce.

Ale ambicja nie pozwalała mi z tak przecież entuzjastycznie podjętej inicjatywy zbyt szybko i bez walki się wycofać. Czułam się też, jak kto głupi, zobowiązana podpisanym kontraktem. Będąc też jednocześnie fizycznie zmęczona, a psychicznie coraz bardziej zdeprymowana, chyba nie za bardzo nawet zdawałam sobie sprawę do czego się nieuchronnie doprowadzam. Ale wrócę jeszcze na chwilę do hotelu.

Bywało, że w „Apokalipsie” nie było nic do roboty. I wtedy było najgorzej. Przy takich przestojach rozdrażnieni patroni stawali się jeszcze bardziej wymagający i dokuczliwi. Gdy mieli komplet gości, z niemal matczyną troską wmuszali w nas przewidziane przed pracą nasze śniadanie. Kiedy pracy nie było stawałyśmy się darmozjadami, wrogo patrzyli na każdy spożyty przez nas kęs. Było to okropne i upokarzające. Sama nie wiem, jak wytrzymałam to tak długo.

A już najgorsza ze wszystkiego była sama panująca w hotelu atmosfera. Zawsze naładowana i grzmiąca jak przed burzą. Już same wybuchy były łatwiejsze do zniesienia, niż to ciągle napięcie, zagrożenie, które z dnia na dzień coraz bardziej zaczynało mi się dawać we znaki.

Kiedy patronka deptała mi po piętach, stała za moimi plecami, patrzyła mi na ręce i z sykiem zranionej kobry ostrzegała – Uważajcie, na miłość boską! Wy to za chwilę wylejecie, zepsujecie, upuścicie! – moje ręce zaczynały chodzić jak w febrze i faktycznie bliska byłam, aby wylewać, psuć i upuszczać.

Tylko kiedy pracowałam sama w pokojach było trochę łatwiej. Ale to już przestało wystarczać. Męczyłam się okropnie i czułam coraz gorzej. Już nie tylko praca, najtrudniejsze stawało się teraz samo przełamanie się, aby tę pracę rozpocząć. Za każdym razem musiałam się mobilizować na nowo, aby rano do hotelu w ogóle wejść.

Budziłam się dużo wcześniej niż trzeba, nie tylko, aby wzmocnić się kawą, lecz by także psychicznie się przysposobić. Jeszcze z początku, gdy nie zdawałam sobie sprawy, w co się wpakowałam, jakoś to szło. Jednak później z każdym dniem było coraz ciężiej, wytworzyło się we mnie jawne psychofizyczne zaparcie. Uparte i dokuczliwe stawało co rano na mej drodze do pracy.

Na ostatnim odcinku w drodze do hotelu musiałam wyglądać jak obraz nędzy i rozpaczy. Byłam przepełniona niechęcią, dosłownym lękiem. Czułam się znów zagrożona i bardzo nieszczęśliwa. Szłam też jak na ścięcie – jeden krok do przodu, a trzy w tył. Zdarzały mi się stany zamroczenia, bliskie utraty świadomości. Nie było co się więcej łudzić, to spazmofilia podnosiła swój drapieżny łeb.

Aż wreszcie w sobotę przed dwoma tygodniami zdałam sobie nagle sprawę nie tylko z faktu, że moja wytrzymałość się wyczerpała i że nazajutrz za nic na świecie do pracy nie pójde, ale także uprzytomniłam sobie, że jest ze mną znowu bardzo, bardzo źle.

Znałam w końcu symptomy i doskonale zdawałam sobie sprawę, co mi jest. I jak zwykle depresja uderzała w najmniej odpowiednim momencie. Nasze rodzinne plany były od dawna ustalone. Dzieci wraz z ojcem właśnie nazajutrz miały się udać na wakacje do Polski, natomiast ja heroicznie zdecydowałam się zostać, by kontynuować podjęte obowiązki.

I wtedy się okazało, że ja się już do niczego nie nadaję. Nie było mowy, żebym podjęła pracę, mój wyjazd do Polski wydawał się bardzo ryzykowny, natomiast pozostawienie mnie samej w tym stanie stanowiło realne niebezpieczeństwo. Nie było innego wyjścia, a poza tym bardzo potrzebowałam już pomocy. Jeszcze w sobotę późnym wieczorem mąż podwiózł mnie pod znajome wrota „mojej” kliniki. Z przyjęciem nie było problemu, znów przypadek wymagający natychmiastowej interwencji. Tak właśnie znalazłam się tu po raz wtóry.

W związku z tą nieprzewidzianą okolicznością, wakacyjny wyjazd rodziny opóźnił się o jeden dzień. Mój mąż pozalałtawiał wszystkie formalności, trzeba też mnie było jakoś wyposażyć w najpotrzebniejsze rzeczy. Miałam przecież pozostać zamknięta, na co najmniej miesiąc, a faktycznie nie wiadomo na jak długo, bez żadnej możliwości skontaktowania się z kimkolwiek. Teraz już dosłownie odcięta od świata i zupełnie sama. Znów trzeba będzie zaczynać od początku. Ale ty już to wszystko znasz.

* * *

Miało być o „Wielkiej Wycieczce”, a wyszło o hotelowych brudach. Słabo trzymam się podjętego tematu. Wystarczy nieopatrzne skojarzenie, przypadkowy pamięciowy ślad, by uczucia ruszyły jak lawina, nie bacząc na fabułę i koronne wątki.

Już się poprawiam, wracamy do punktu wyjścia. Klinika po raz drugi. Sierpień.

Leczenie przebiegało według sztampy. W porównaniu z pierwszym razem szło to wszystko jak z płatka. I tak nie mając innego wyjścia, nie buntowałam się, nie walczyłam, a nawet więcej, poddawałam się klinicznej terapii i z dziwną zachłannością.

Przypominałam przesuszoną na popiół gąbkę, która doczekała się wreszcie ożywiającej kąpeli. Ja miałam swoje litry kroplówkowej mikstury. Ta pełna aprobata, uległość, a nawet pewna jakby wdzięczność były zaskoczeniem i dla lekarzy i dla mnie samej. Cały mój organizm reagował zupełnie tak, jakby był wykończony do ostatnich granic i teraz przyjmował wszystko, co pozwalało mu się wydzwignąć z widoczną ulgą wreszcie zaspokojonych potrzeb.

Toteż i dochodziłam do siebie piorunem. Wydawało się wręcz nieprawdopodobne, że tak łatwo i szybko stanęłam na nogi. Odzyskiwałam swe siły z godziny na godzinę. Medycy z niedowierzaniem kręcili głowami. Ja po cichu przypuszczałam, że to nawet nie był nawrót depresji, tylko ostry rozstrój nerwowy, kompletne wyczerpanie. Najważniejsze, że zaledwie gdzieś po dziesięciu dniach byłam już w pełnej psycho-fizycznej formie.

W miarę jak zbliżał się koniec mojej *cure*, w naturalny sposób zaczynał wyłaniać się problem przepustki, dnia wolnego i wreszcie wyjścia z kliniki na dobre. Cała ta procedura i terminarz.

Biorąc pod uwagę moją doskonałą formę, lekarze nie widzieli przeszkód, abym wyszła do domu na pierwszy wolny dzień zaraz po skończonym *cure*. Zbliżało się jakieś święto, w każdym razie czerwona kartka w kalendarzu, a wypadające we wtorek.

Cieszyłam się na ten dzień. Wprawdzie w domu nie było nikogo i czekały tam na mnie może jedynie domagające się podlania kwiatki, ale mimo wszystko chciało mi się tego przedsmaku wolności.

Wszystko było pięknie dopóki lekarz zdecydowany na podpisanie mojej przepustki nieopatrznie się zreflektował, aby upewnić się co do administracyjnego uregulowania całej

sprawy. Tu ścierpła na mnie skóra. Już ja dobrze wiedziałam, czym to grozi. Przeszłam już raz przecież ten cały papierkowo-finansowy magiel.

Przeczcucia miałam jak najgorsze. Miałam wrażenie, że wszyscy pokazują mnie palcami, a personel knuje jakiś podstęp. Burza wisiała w powietrzu. Pierwszy grom we mnie uderzył, gdy zaraz po obchodzie zostałam kategorycznie poproszona o niezwłoczne zwolnienie pokoju, który zajmuję i przeniesienie się do pokoju dwuosobowego na piętro, gdzie czeka już na mnie moja odtąd współlokatorka, bardzo miła i zupełnie niegroźna starsza pani.

Już wiedziałam, że jest fatalnie. Czegoś takiego poprzednio nie było, cały siedmiodniowy pobyt spędziłam bez żadnych zastrzeżeń władz administracyjnych w swojej jednoosobowej izolatce. A tu taki afront. Wyrzucić chorą, no może nie na bruk, ale zawsze. Z duszą na ramieniu pobiegłam do urzędujących w klinicznym biurze i wielce ze mną zresztą zaprzyjaźnionych pań.

Pani zaprzyjaźniona rwała sobie włosy z głowy. Taka była zszokowana i oburzona stanem rzeczy, że chwilami robiło mi się jej doprawdy żal. Bo też faktycznie stan rzeczy wydawał się oplakany. Okazało się, że absolutnie nic w związku z moim pobytem nie zostało uregulowane, co trzeba rozumieć, zapłacone. Tabula rasa, pusta szuflada, nie ma nawet, o zgrozo, niezbędnego czeku kaucji.

Nie mogła dojść do siebie tak nieprzyjemnie zaskoczona pani urzędniczka, na której to głowie pozostawały przecież całe finanse tego zakładu. A tu się okazuje, że wskutek jakiegoś karygodnego niedopatrzenia, klinika nie Chapmana jeszcze ode mnie nawet złamanego franka. Nie tylko, że nie jest zapłacone na zapas, to i skonsumowane, jeśli tak można nazwać, dotąd usługi są jakby na kredyt. Tu się dowiedziałam, że jest to niedopuszczalne, wbrew ludzkiej przyzwoitości. Pani urzędniczka wyrzucała z siebie jak z cekaemu uzasadnione wyrzuty, po czym odwołała się do mnie, jako do osoby pracującej w hotelu z prowokacyjnym pytaniem, co się robi z gośćmi, którzy nie płacą.

Próbowałam roztrzęsioną panią kwestorkę udobruchać. Widoczne było, że zaistniały problem ją przerasta. Starłam się naświetlić jak najspokojniej i detalicznie moją szczególną, wyjątkową wręcz sytuację. Opowiadałam, jak zostałam przyjęta w sobotę późnym wieczorem przez pełniącego zastępstwo lekarza, który zupełnie niezorientowany w tutejszej administracyjnej koniunkturze przyjął mnie, jak to się mówi, na gębę. Przypomniałam jej również, że w niedzielę biuro jest przecież nieczynne, a w poniedziałek mój mąż wyjechał w daleki świat. Poprosiłam ją,

aby w związku z powyższym przestała się obawiać, że to z naszej strony wymigiwanie się od płacenia czy jakakolwiek zła wola. Jest to tylko zbieg niesprzyjających okoliczności w połączeniu ze smutną konsekwencją beztroskiego zamykania tak ważnego biura po tak zwanych godzinach i na weekendowe dni.

Widać było, że wzięła sobie moje uwagi do serca. Jak nic zaczną tu teraz obsługiwać dwadzieścia cztery na dwadzieścia cztery, zupełnie jak na dobrze prosperującej stacji benzynowej. To i ja się w końcu na coś przydałam. Taka mała rekompensata, bo grosza ode mnie nie ma złamanego.

Uzyskawszy oczywiste w tej sytuacji i nieodwołalne potwierdzenie nakazu eksmisji, mocno zafasowana opuszczam biuro i próbuję podsumować swoje raczej niezbyt wesołe położenie. Jedno jest pewne, że jestem goła jak przysłowiowy turecki święty. Mój ostrożny małżonek nie zostawił mi tu większych pieniędzy ani książeczki czekowej. Te walory spokojnie zamknął w domu, tak mnie przynajmniej zapewnił. Miałam przy sobie pięćdziesiąt franków i klucze od mieszkania i według niego powinno mi to w zupełności wystarczyć. A tu taki klops.

Ewentualnym deficytem w kasie kliniki nie przejmowałam się znowu tak bardzo. Gdyby tylko o to chodziło pozostałabym sobie spokojnie pod kreską do końca. Wiedziałam jednak, że jeżeli kaucji nie zapłacę wszystko bierze w łeb. Nie ma mowy, aby wypuścili mnie choćby na jeden dzień do domu, z ostatecznym wypisaniem będą czekali na przyjazd męża, który płatności ureguluje, a także nie mam co nawet liczyć na utrzymanie jednoosobowego pokoju. To wszystko do kupy stanowiło ambaras nie lada. Chodziło już nie tylko o jakiś papier, a o żywą forszę. I wyjście było jedno – zapłacić. Tylko jak?

Szukam gorączkowo inteligentnych rozwiązań. Wymyśliłam telefoniczne skontaktowanie się z państwem Legrand. Już oni zapewne przybyliby do mnie z odsieczą, wystawili potrzebny czek. Widząc powagę sytuacji, usłużna sekretarka bez szemrania wyszukała ich telefoniczny numer. Wykręcałyśmy go wielokrotnie i bez skutku. Były przecież wakacje, widocznie wyjechali. Ostateczny klops.

Pora zwolnić pokój. Przynaglana przez pielęgniarkę i salowe ładuje wszystko byle jak w ogromną ortalionową torbę. Z trudem upycham w nią radiomagnetofon i mój przenośny telewizorek. Instaluję ten cały dobytek w korytarzu, a raczej w salonie poczekalni. Przydzielony mi wraz ze współlokatorką pokój na piętrze postanawiam stanowczo zignorować.

Robię minę zawziętą i obrażoną. Nie mając prawa do osobnego pokoju, będę koczowała

w hallu. Ja jestem pacjentka trudna, pałaca, słuchająca muzyki, fanatycznie oddająca się pisaniu, a na dokładkę przeraźliwie chrapiąca w nocy. Zdecydowanie nie mam prawa narażać drugiej osoby i to do tego chorej na swoje kłopotliwe towarzystwo.

Tak sobie postanawiam, jeszcze się jednak na razie w saloniku nie urządzam. Zasiadam w fotelu i pałac papierosa za papierosem, czekam, co będzie dalej. Swoją torbę postawiłam obok siebie, cokolwiek na widoku, żeby wszyscy zainteresowani od razu widzieli, jak się sprawy mają.

Kręcąca się w tę i z powrotem urzędniczka-skarbniczka, potykając się o moje gospodarstwo, wzrusza z lekceważeniem ramionami, jakby takie demonstracje pacjentów były w klinice na porządku dziennym. Widać jednak, że udaje, gdyż co jakiś czas specjalnie opuszcza swoje królestwo, aby sprawdzić, czy ta goła bez grosza dalej manifestuje brak dachu nad głową. Pufa pod nosem, robi małpie miny. Wreszcie, widać, nie wytrzymała nerwowo, bo i poleciała z rwetesem po „Patrona-Syna”.

„Patron Syn” był rozdwojony. Szarpał się między patronem jako takim, a filozofem, któremu leży na sercu moja sympatyczna osoba w niezachwianej równowadze ducha. Trudną miał rolę do spełnienia i nawet delikatnie mi zarzucił, że go postawiłam w kłopotliwym położeniu. Wiedziałam przecież, że był gotowy podpisać moje jutrzejsze wyjście, a nic nie powiedziałam w jak opłakanym stanie pozostaje finansowy aspekt sprawy. Oczywiście – tu bez większego przekonania zaznaczył – wobec aspektu zdrowia, jest to szczególnie drugorzędny, tym niemniej, nie chciałabym pewnie, aby on musiał pokryć nieuregulowane koszty z własnej kieszeni. Sympatia i zrozumienie to jedno, a wyłożenie gotówki na stół to już zupełnie inna sprawa.

Tu mnie dopiero naprawdę wystraszył. Pomyślałam sobie – jak już i „filozof” mówi o pieniądzach, to znaczy, że faktycznie nóż jest na gardle. Wypytywał mnie coś jeszcze o przyjaciół, znajomych, którzy mogliby zapłacić kaucję, myślał chyba nawet o skontaktowaniu się z mężem w Polsce, potem znów się usprawiedliwiał, ale już go dalej nie słuchałam.

Mnie wystarczyło tego, co wiedziałam. Wszystko stało się klarowne i oczywiste. Sama nie wiem, na co ja liczyłam do tej pory. Za to teraz już wiem, że w tej beznadziejnie głupiej sytuacji, w jakiej się znalazłam, mogę liczyć wyłącznie na siebie.

Czas goni, desperacja wzrasta. Decyzja już właściwie dojrzała. Kołaczący się w mym mózgu od kilku godzin zwariowany zamiar zaczyna przyoblekać konkretny kształt. Już wiem, na co muszę się zdobyć, co zrobić. Obym tylko stanęła na wysokości zadania.

Zataszczam swój bagaż na górę, w końcu ktoś mi musi go popilnować. Odszukuję

wyznaczony mi pokój wraz z „Panią Starszą”, która okazuje się faktycznie miłą. W miły sposób uspokaja mnie na wstępie, że moja polska narodowość nawet jej zbytnio nie przeszkadza, abym tylko zachowywała się spokojnie i cicho, bo ona jest chora na nerwy i niepokoi ją nawet najmniejszy hałas. Uspokajam na odczepnego „Panią Starszą”, że jestem cicha jak trusia, udaję, że słucham jej miłych narzekań, ale myślami jestem już gdzie indziej.

Szykuję się do drogi. Nierozpakowany bagaż stawiam przy przygotowanym dla mnie łóżku. Nie przebieram się, pozostaję w może trochę zbyt azurowej letniej garsonce. Do jednej kieszonki pakuję pięćdziesięciofrankowy banknot i małego plastikowego niedźwiadka, którego dostałam „na szczęście” od Dorotki, do drugiej wrzucam papierosy, zapalniczkę i klucze.

Miłą „Panią Starszą” informuję, że udaję się na przechadzanie po parku. Uzasadniam dobitnie, gdy mnie usilnie zatrzymuje, że nie chciałabym nadużywać jej gościnności i swoją obecnością w pokoju przeszkadzać, a i mnie mały spacer przed kolacją dobrze zrobi, jako że miałam dzisiaj wyjątkowo ciężki dzień. Dochodzi godzina szesnasta.

Już wcześniej robiłam wstępne rozpoznanie terenu. Nie żeby z potrzeby, z czystej ciekawości. Podczas rzadkich wprawdzie, bo chodzić nie lubię, przechadzek usilnie wypatrywałam w tym na oko zupełnie jednolitym, ciągłym ogrodzeniu jakiejś dziury, jakiegoś przejścia.

Wiedziałam, że takie przejście istnieje, bo opowiadał mi o nim jeden z „alkoholowych” pensjonariuszy. Nie wiem, czy tę dziurę odkrył, czy też sam sfabrykował. W każdym razie bardzo się chlubił, że w brakujące artykuły zaopatruje się samodzielnie i na zewnątrz z pominięciem bzdurnych przepustek.

Co mi z tego, przegapiłam sprawę. Gdybym wiedziała, na co mi przyjdzie, wzięłabym od niego szczegółowy szkic terenu. Niestety, „alkoholowego” wzięli na ścisły odwyk, a ja bez najmniejszego sukcesu szukam teraz przysłowiowej dziury w całym.

Jest straszliwy upał. W parku nie ma prawie nikogo. Jakiś robotnik ścina na tyłach budynku krzewy, salowa wyrzuca śmiecie. W jednym z okien widzę siedzącą babcię. Drzemie sobie, czy może też mnie obserwuje, nie potrafię z takiej odległości ocenić.

Trzeci już raz robię taką rozpoznawczą rundę. Metr po metrze oceniam solidność parkanu, nienawistnym spojrzeniem obrzucam osaczającą mnie zewsząd rzeczkę.

I jest dziura, nawet wystarczająco duża, aby przez nią przejść. Zasłonięta też dobrze od strony budynku, gdyż jest w samym kącie z tyłu boiska. Co z tego, jak po drugiej stronie panoszą

się skłębione zarośla i do wysokości człowieka rozbijały pokrzywy. Wśród nich straszące wraki powyginanego na wszystkie strony zardzewiałego żelastwa. Z ciężkim sercem, bo nadzieja była już duża, stwierdzam, że tędy nie przejdę, a już na pewno nie tak ubrana. W lekkiej jak mgiełka garsonce, z prawie bosymi, bo w plecionych sandałkach nogami wyszłabym z tych gąszczy podrapana, poparzona ze szczętem. To przejście nie wchodzi w grę. Trzeba szukać czegoś innego. I spieszyć się, przede wszystkim spieszyć. Dochodzi już wpół do piątej.

Rozglądam się coraz niecierpliwiej. Niespokojnie oglądam się poza siebie, szukam wzrokiem ogrodnika. W uszach pobrzmiwa mi uporczywie refren ostatniego przeboju Johny Hallyday'a – *La liberté, il faut la rever...* – co się tłumaczy – Wolność, trzeba o niej marzyć... Ładnie powiedziane.

I ja chcę tej wolności za wszelką cenę. Jeszcze raz oglądam się na ponury blok klinicznych budynków. Przede mną parkan. Taki jak wszędzie wokół: wysoki na trzy metry, druciany w drobne kwadraty i groźnie nabity na górnym wylocie licznymi kolcami. Wybieram odcinek, który jest trochę przesłonięty niewielką kępą drzew. Nie może mnie stąd dostrzec ścinający krzewy robotnik. O babci w oknie w ogóle zapominam.

Sprawdzam jeszcze, czy mam maskotkę w kieszeni, do niej kieruję gorączkowe zakłęcie, aby mi pomogła i zgodnie z przykazaniem Dorotki przyniosła mi teraz szczęście. A potem już tylko zdecydowany uchwyt rękami drucianego okratowania i sandalek za sandalkiem, oczko za oczkiem, aby w górę. Na samej górze boleśnie się drasnęłam, jak było do przewidzenia, o ostro wystający szpic. Za to potem poszło mi jak po maśle, te same ruchy tylko już po drugiej stronie, wreszcie skok.

Nawet już nie oglądam się za siebie. Z kontrolowanym przyspieszeniem kryję się w pobliskim zagajniku. Nie biegnę, nie uciekam. Ja się po prostu oddalam. Noga krwawi dość mocno. Przyklejam na ranę pośliniony listek, a moja dowcipna pamięć jak na zawołanie podsuwa następną zwrotkę nuconego przed chwilą przeboju – *La liberté, on l'a payée...* – co znaczy – Wolność, zapłaciliśmy za nią... Mówiłam, że na temat.

Ale co ja tu o piosence. Trzeba się spieszyć. Zaczynam teraz biec i to nawet dość szybko, widać nerwy mnie ponoszą. Pod ochroną drzew zbliżam się już do najbliższych domostw. Idę wzdłuż szczelnych, zagradzających mi drogę, uniemożliwiających jakiegokolwiek przebicie się przydomowych parkanów i płotów. Nareszcie widzę koniec tej bariery. Podchodzę z nadzieją.

Niech to wszyscy diabli. Płot urywa się nagle, dochodząc do dość stromego urwiska, a w

dole płynie sobie równiutko i spokojniutko wszędobylska rzeka.

Wielka to niesprawiedliwość. Jestem już przecież po drugiej stronie, a tu znów pułapka. Chociaż uczyłam się w szkole geografii, strasznie trudno jest mi się teraz pogodzić z bezsprzecznym faktem, że wyspa lubi otaczać się morzem lub rzeką.

Do cna zawiedziona niespodziewaną przeszkodą próbuję ocenić sytuację. A sytuacja wygląda mniej więcej tak:

Rzeczka płynie gdzieś na półtora metra w dole. Jest rozlana, błotnista, a nad jej mazistym brzegiem panoszą się nadrzeczne, skotłowane chaszczki. Ściana długiego, murowanego płotu kończy się dokładnie nad jej brzegiem. Za murem wolny świat. Dociera do mnie stamtąd szum normalnego ulicznego ruchu.

Teraz już naprawdę czuję się jak w potrzasku. Nie mam powrotu. Przecież, za nic na świecie nie przeskoczę klinicznego parkanu jeszcze raz. Muszę się stąd wydostać za wszelką cenę, choćbym tę rzeczną breję miała przebrnąć w pław.

Kombinuję rozpaczliwie i szukam zawzięcie. Słyszę w oddali toczący się pociąg. Ten odgłos mnie motywuje, dodaje sił. I od razu dostrzegam nowy szczegół, który być może zdecyduje o wyjściu z tej idiotycznej sytuacji.

Dociera do mnie, że ulica przebiega dokładnie w przedłużeniu muru. Nie może więc być inaczej, jest ona zatem jednocześnie mostem przerzuconym ponad dwoma oddalonymi od siebie na kilka metrów brzegami. Jeżeli jest mostek, musi być na nim i jakaś barierka. I ta barierka jest. Dokładnie za załomem muru dostrzegam niezbyt wysoką żelazną przegrodę, prosty płótek z kilku połączonych prętów.

Znalazłam więc jedyne w tym miejscu odgródzenie między rzeką a ulicą. Już widzę, że będzie musiało mi ono wystarczyć. Nie będzie to proste, bo ja stoję na brzegu, nie dość że o jakiś metr poniżej poziomu ulicy-mostu, to jeszcze mam tę przeszkodę nie na wprost siebie, ale oddaloną na szerokość muru po swojej prawej stronie z boku. Czeka mnie więc wywindowanie się w górę pod ostrym kątem, a do tego dojście do barierki jest, jak już mówiłam stromiaste. Trochę się boję, że będzie to karkołomny, tyle że nie skok, a raczej podskok.

Innego wyjścia nie widzę. Muszę spróbować, a może się uda. Przeczekuję jeszcze przechadzającego się po drugiej rzeki zapalonego wędkarza, potem przejeżdżający ulicą samochód. Coraz bardziej się denerwuję, a tu napatoczył się akurat pan z dziecięcym wózkiem.

W głowie mi szumi. I chyba wiem, dlaczego. Mój doktorzek pragnąc mnie zniechęcić do

wtorkowego wyjścia, roztaczał przede mną przekonujące i obrazowe wizje wysoce podobno prawdopodobnych kryzysów w osłabiającej reakcji intensywnie podawanych kroplówek. Myślę teraz o tym, bo robi mi się jakby trochę słabo. Choć jest to swoją drogą trochę paradoksalne, bo nie powiem, śmieszne. Były obawy co do mojego pozostawania w domu, a tu prawdziwie brawurowa awantura. Kto by przypuszczał, że jeszcze przed przewidzianym wyjściem przyjdzie mi zaliczać takie cyrkowe numery.

Bo że można skrócić kark, to można. Żeby tylko nie zgubiła płytko zatkniętych w kieszeń bluzki kluczy. Podsuwam do samego muru leżący obok pień, zarabiam w ten sposób z pół metra. Cisza i spokój, atakuję. Trzeba dosięgnąć do najbliższego pręta, uchwycić się go z całej siły, a potem wybalansować ciało, aby mając gdzieś ze dwa metry skośnie do góry, podnieść się i wydzwignąć. Nic więcej. W dole złowrogo szumi rzeka.

I jestem. Teraz jeszcze tylko nogi przez barierkę i stoję już na ulicy. Nawet się nie oglądam, czy ktoś obserwował mój wielki skok. Nic mnie to nie obchodzi. Jestem na wpół świadoma, dygocę. Strofuję się w myślach za zbytnią ekscytację.

O dziwo, nawet się orientuję, gdzie wylądowałam. Parkan opasujący klinikę pozostał kilkadziesiąt metrów za mną. Jestem wolna. Teraz już prosto na dworzec. Choć tę drogę zawsze przemierzałam w samochodzie i to w nienajlepszym stanie, nieomylnie ustalam kierunek. Powietrze ciągle bardzo ciężkie, rozdygotane upałem. Jestem zlana potem. W gardle mi tak zaschło, że aż mnie dusi i piecze. Oddałabym górę złota, gdybym miała, za jedno rozkosznie zimne, kochane piwko. Ale się spieszę. Biegnę zrywanym truchtem, to maksimum, na które mnie w tej chwili stać.

Siedzący w dworcowej kasie facet trzykrotnie ponawia pytanie, o jaki bilet mi chodzi. Nie mogę wydobyć z siebie głosu. Jestem spięta do ostatnich granic. Na dworcu przedwieczorny ożywiony ruch. Dociera do mnie nagle, że znalazłam się wśród normalnych ludzi, którym mogę się wydać w takim stanie wariatem, co to się wyrwał z wariatkova. Mobilizuję więc ostatek woli, aby się odprężyć, uspokoić. Muszę przynajmniej z siebie wydusić, dokąd chcę jechać, bo inaczej w ogóle nie pojadę.

Za niecały kwadrans jestem w Brunoy, tam gdzie mieszkam. Dochodzi godzina szósta. Dziesięciminutowy spacer – truchcik od dworca do domu. I oto zdyszana, ledwie widząca na oczy stoję przed naszą bramą. Piękna w stylu, dwupiętrowa willa niby pałacyk poprzez podmurowane, żeliwne ogrodzenie jawi się już okazale przede mną. A tu niespodzianka.

Widocznie w naszym królestwie nikogo nie ma, możliwe że sąsiedzi są na wakacjach, bo wszystko pozamykane na cztery spusty: brama, furtka i okiennice ich mieszkań też. Nic to, nie szukam przecież towarzystwa. Pojawia się natomiast gorszy problem, bo klucz od furtki, którym dysponuję i który jak dotąd działał bez zarzutu, teraz nie otwiera. Do licha z tym, musieli zmienić zamek. Z rezygnacją wdrapuję się na odgradzający mnie od mojej książeczki czekowej żeliwny płot.

Co to dla mnie? Drobiażdżek, tylko mała powtórka. Nawet już nie zważam na dowcipnie klaksonujący pewnie na mój widok przejeżdżający samochód. Gdzie tu wymagać, abym przejmowała się jeszcze, co ktoś sobie o mnie pomyśli. Byłby to zbędny psychiczny luksus, a na luksusy mnie tymczasem nie stać. Najważniejsze w tej chwili, że jestem już u siebie, jestem w domu.

Pustka, bałagan, stężyły odór opuszczonego mieszkania. Wyłączona lodówka ziejże pustką, nie znajduję nawet kropli jakiegoś napoju. Działam szybko. Otwieram okna, pokrzepiam się kilkoma szklankami wody z kranu, z rozkoszą splukuję też pod nią spoconą głowę, zabieram książeczkę czekową i trochę gotówki, podlewam jeszcze kwiatki i przywołuję telefonicznie radio-taxi. Taka się już zrobiłam przedsiębiorcza. Jest piętnaście po szóstej.

Mam wrażenie, że taksówkarz widząc mnie wprawnie przeskakującą przez bramę, trochę zwątpił. Musiałam też zresztą wyglądać dosyć dziwnie, a już na pewno powabnie z podciągniętą przy tym okracznym przełożeniu do wysokości uszu garsonką. Może też nigdy dotąd nie zdarzyło mu się zabierać klienta wprost z parkanu, bo spoglądał na mnie oniemiały i nawet przez moment się obawiałam, że w miejsce zahamowania zdecydowanie doda gazu.

A już kiedy mu podałam docelowy adres naszego kursu, wyglądał na przestraszonego nie na żarty. W swym trudnym zawodzie spotykał najróżniejsze typy, a tu skojarzenia nasuwały się same. Przez całą drogę nie odezwał się ani słowem, obserwował mnie tylko bacznie, rzucając raz za razem nieufne spojrzenie w tylne samochodowe lustro. Nie podobała mi się taka podejrzliwość, napiwku nie dałam.

Jestem przed kliniką równo o siódmej. Teraz zostaje jeszcze tylko przedostanie się na jej teren z powrotem. Taksówka podwiozła mnie pod samą wejściową bramę. Postanawiam przejść normalnie jak gdyby nigdy nic, wmieszawszy się między przychodzących na wizyty ludzi. Udając, że zawiązuję rzemyk przy sandałku, czekam na panią, która zmierza wprost do kliniki. Wolę nie przechodzić sama, aby za bardzo nie rzucać się w oczy. Znudzony strażnik przechadza

się po trawniku.

Mimo świadomości, że jest to już teraz tylko błaha końcówka, mam jednak duszę na ramieniu. A nuż mnie rozpozna, zidentyfikuje kuracjuszkę – uciekinierkę? Nie wiem też, co zastanę w klinice. Może moje „wyjście” zostało zauważone i zdążyli podnieść już alarm? Ściskam w spoconej dłoni mojego niedźwiadka-maskotkę, odsuwam z czoła znów spocone włosy. Obie z panią podchodzimy do bramki, którą wartownik za naciśnięciem guzika uprzejmie przed nami otwiera.

Zostaliśmy wpuszczeni na więzienny podwórzec – zwracam się ze skomentowaniem tak ważnego faktu do swego misiaczka, który mi w tej wyprawie towarzyszył i zgodnie z przykazaniem Dorotki przyniósł mi szczęście. Strach pomyśleć, jak przy braku szczęścia mogło się to wszystko skończyć. Udało się jednak i znów jesteśmy w naszej klatce-pułapce. – To wszystko dzięki tobie, Misiaczk. – Ściskam czule wierną maskotkę, wpatruję się w nią. O do diabła, to wcale nie niedźwiadek. To baranek.

Ominąwszy wejście główne, dostaję się bocznymi schodami do pokoju gościnniej „Pani Starszej”. Wszystko jest już przygotowane dla nowej pacjentki: posłane łóżko, czyste ręczniki, zapas mineralnej wody. Mój nierozpakowany bagaż stoi spokojnie obok.

„Pani Starsza” mile ucieszyła się na mój widok i bez złapania oddechu podjęła swoją wyliczankę skarg. Od razu złapała niedokończony wątek, by kontynuować dalszy ciąg wynurzeń, jakby zupełnie nie było w naszej rozmowie tej ponad trzygodzinnej przerwy.

Zaraz po moim przyjsciu pojawia się pielęgniarka. Wyrażając nadzieję, że będzie mi u nich równie dobrze jak na dole, grzecznie proponuje, abym się już tutaj zagospodarowała, gdyż zbliża się kolacja i wieczorny obchód. Potakuję, też grzecznie, ale jej wyjaśniam, że przedtem mam jeszcze w biurze do załatwienia pewną małą sprawę. Muszę się pospieszyć, gdyż zaraz kończą się godziny urzędowania. Wychodzę więc, ale za chwileczkę wrócę.

Panią urzędniczkę cofnęłam prawie od drzwi. Szykowała się właśnie do wyjścia, mając zamiar wrota swojego królestwa zamknąć na skobel aż do środy, bo nazajutrz wypadło święto.

Udając zaskoczenie i zaaferowanie, opowiadam jej w skrócie, jak przy okazji przeprowadzki znalazłam zupełnie niespodziewanie wśród swych rzeczy ukrytą sprytnie i jak się okazało skutecznie książeczkę czekową oraz pieniądze. Na słowo pieniądze pani urzędniczka zastygła w odruchu wyjścia jak porażona prądem i trochę bezwładnie opadła na urzędniczy stołek.

Odrywam już czek, gotowa do złożenia podpisu, zapewniwszy przedtem panią, że jestem co

do tego pełnomocna. Zawsze taka nieufna, teraz jest gotowa od razu zawierzyć. Proszę tylko o podanie konkretnej sumy, którą trzeba wpisać, inaczej mówiąc zwracam się o wystawienie mi rachunku.

Wszystko idzie jak z płatka, wymieniamy podpisy, potem uściski dłoni. Galanteria i najwyższa kultura. Nie przymierzając jak przy podpisywaniu międzynarodowego traktatu o zawieszeniu broni.

Potem jeszcze pani urzędniczka, pewnie, aby mi się przypodobać z niejakim spoufaleniem się gorąco zapewnia, że do kogo jak do kogo, ale do mojego rozsądnego i przezornego małżonka miała od początku zaufanie i ani przez moment nie wierzyła, by mógł mnie zostawić tutaj samą bez żadnych środków płatniczych. W jego imieniu czuję się podbudowana tym wyróżniającym zaufaniem, osobiście mam na ten temat swoje prywatne zdanie, obydam się bez komentarza.

A już przy samym pożegnaniu, prawie na wylocie kokietyjnym tonem zostaje poinformowana, że gdybym dalej miała ten swój niewinny kaprys zatrzymania do końca pobytu jednoosobowego pokoju, to zwolnił się akurat bardzo ładny, bo z widokiem na rzekę i może być jak najbardziej do mojej dyspozycji. Więcej spraw do załatwienia nie miałam.

I tak w niecałe cztery godziny, licząc od początku mojej „wielkiej ucieczki” znalazłam się w ładnym pokoiku na własny użytek, a do tego z widokiem na rzekę, która miała mi odtąd przypominać tę zwariowaną wyprawę. Następny dzień, sierpniowe święto spędziłam, tak jak było przewidziane, bez żadnych już przeszkód w domu, a w tydzień potem zostałam wypisana z kliniki na dobre.

Muszę przyznać, że jestem bardzo dumna z siebie, trochę jak spadochroniarz ze swego pierwszego skoku, a trochę jak niesforny uczeń, któremu się udało wykręcić nielubianemu belfrowi złośliwy sztubacki numer. A numer był, musisz przyznać, z fantazją i nawet nikt niczego nie zauważył.

Tylko pielęgniarka, robiąc mi wieczorem zastrzyk, aż zamarła ze zgrozy na widok licznych sińców i zadrapań. Powiedziałam jej, że spadłam ze schodów, gdyż miewam, widocznie po kroplówkach silne zawroty głowy. Przełknęła wyjaśnienie bez mrugnięcia okiem, poratowała mnie kompresami i maziłem. Chociaż w pewnym momencie stwierdziła z niejakim przekąsem, że wyglądam, jakbym spadła co najmniej z drugiego piętra.

* * *

Jeszcze tylko jedna noc pod dachem kliniki i skończy się mozolne i długotrwałe restaurowanie mojej duszy. Wreszcie lekarze uznali, że jestem gotowa do spasowania się z życiem. Wypuszczają mnie na szerokie wody, na których potwierdzi się lub nie, zasadność zastosowanej przez nich psychoterapii. I z tego, co wnoszę, są optymistyczni. Wierzą, że oddają życiu wyleczoną z okaleczeń, wydzwigniętą z załamania i podniesioną z solidnych fundamentów odrestaurowaną osobowość. Ta osobowość to ja.

Z tym że osobiście nie jestem ani tak pewna zupełnego sukcesu, ani tak optymistyczna. Zadawałam się umiarkowaną aprobatą dla zmian, które we mnie zaszły. Dzięki Opatrzności i lekarzom udało mi się raz jeszcze przewyciężyć chorobę, ale atak jej był wyjątkowo silny, a walka bolesna i może stąd się bierze pewien przeżyty szok, a już na pewno ciężki uraz. Wiem, że istnieje we mnie jakaś słabość, która co jakiś czas wytrąca mnie z normalnego biegu, zagraża, a daleko mi jeszcze do dojrzałości emocjonalnej i mądrości życiowej, które pozwoliłyby mi opracować skuteczną przeciw niej obronę.

Mimo że sportem specjalnie się nie pasjonuję, zdaję sobie sprawę, że w każdej rozgrywce decydujące znaczenie ma poznanie, a nawet więcej, rozpracowanie przeciwnika. Bez tego nie ma mowy o skutecznej technice ataku czy obrony.

Moje zmagania z depresją nauczyły mnie wiele. Zrozumiałam jej genezę, poznałam mechanizmy, a nawet także jej niektóre brzydkie sztuczki. Nie jestem też taka głupia i potrafię wyciągnąć z pewnych faktów wnioski. Dalekie to jest jednak od założenia zabezpieczającej osłony, od znalezienia stuprocentowego remedium na tę chorobę. Poznałam przeciwnika, wiem już mniej więcej, na co go stać i jedno jest dla mnie pewne – muszę być bardzo czujna i do ewentualnego ataku dobrze przygotowana, gdyż nie jest to przeciwnik, którego można zlekceważyć.

I stąd pewnie przed tą nową próbą, jaka się w mym życiu otwiera, trochę wątpliwości, trochę lęku i jakiejś jakby tremy. Ale pocieszam się, że to tylko przejściowe po sztucznej izolacji klinicznego zamknięcia. Może na zewnątrz tego klosza uda mi się mimo wszystko złapać właściwy rytm, ustawić na korzystnej pozycji, może, może... Lekarze uznają, że jestem gotowa

do borykania się z życiem, a w końcu to chyba oni wiedzą najlepiej, jak to z człowiekiem powinno być.

Najbardziej przejęty czekającym mnie przekroczeniem bariery klinika – życie jest oczywiście „Doktor Filozof”. Chociaż – przejęty, to chyba niezbyt trafne słowo.

Mówiłam już, że to bardzo dobry psychoterapeuta. Zawsze czułam, że jest w jakiś sposób zaangażowany w moje problemy, dylematy, z tym że jest to zaangażowanie w pewnym sensie obiektywne, oderwane, z utrzymaniem widocznego profesjonalnego dystansu. Kiedy snuję przed nim swoje wynurzenia, najpierw z całą otwartością wysłuchuje, dopiero potem interpretuje i też odwołując się zawsze do mojej partycypacji.

Bardziej rozumie, niż współczuje. Ingerując jest ostrożny, powściągliwy. Próbuje jedynie ustawić mój sposób myślenia i odczuwania na odpowiedniej płaszczyźnie. Ułatwia mi zrozumienie samej siebie, uznając że ma to znaczenie wręcz kapitałne.

Jeżeli już dotrze do jakiejś psychicznej zadry, która uwiera, jątrzy ranę i przeszkadza, uparcie i konsekwentnie doprowadza mnie do jasnego skonstatowania jej istnienia, łącznie z jej duchowymi następstwami. Co do samego zabiegu usunięcia zadry, jak i zabezpieczenia się na przyszłość przed następnymi, „Doktor Filozof” odwołuje się do mojego czynnego udziału, a zaleca przy tym wykorzystanie wszystkich zdrowych postaw i korzystnych możliwości. Sam w podsuwaniu gotowych korekcyjnych rozwiązań jest bardzo uważający, dyskretny.

Może mi i nawet nie współczuje. Mimo że wiele razy, podczas przykrego rozdrapywania swych ran, ja sama rozmazałam się przed nim sentymentalnie, bezsilnie i głupio jak głupi maślak w śmietanie. Za to rozumie, niczemu się nie dziwi. Zresztą nie wiem, czy w depresji było mi potrzebne, aby ktokolwiek ślimaczył się razem ze mną. Mnie przynosiło ulgę same zerwanie tamy czarnych uczuć, zawierzenie ich komuś, kto ze zrozumieniem wysłucha. A „Doktor Filozof” umie mądrze słuchać, płacz z całą wyrozumiałością akceptuje, w pewnym oderwaniu jak gdyby z lotu ptaka uważnie śledzi zawile ścieżki moich duchowych rozterek.

Nigdy nie krytykuje, nie wytyka błędów, a wprost przeciwnie, bardzo dużo już zrobił, aby mnie we własnych oczach dowartościować, wyciągnąć z matni samoobwiniania się przekreślającego wszelkie istniejące mimo wszystko obiektywne walory.

Stosowana przez „Doktora Filozofa” psychoterapia ma charakter aktywny, angażujący pacjenta i zdecydowanie partnerski. Bazuje ona, nie na pseudopsychologicznych dewizach, a tym bardziej sloganach, nawet nie na książkowych prawidłach, lecz opiera się na przemyśleniach,

własnych poszukiwaniach pacjenta, któremu mądry psychoterapeuta tylko pomaga lepiej poznać siebie, a przede wszystkim uwierzyć w siebie.

I mnie się zdarzało, że w trakcie tych dyskusji naprowadzona umiejętnie przez niego odkrywałam w dosłownym tego słowa znaczeniu, że posiadam pewne cechy charakteru, które są wartościowe w szerokim ogólnoludzkim sensie. Wtedy to napływała sugestia psychoterapeuty, a może silniej, nacisk, abym odtąd budowała swe duchowe życie, nie w ucieczce przed słabością i błędami, ale właśnie w oparciu o te mocne punkty, dobre strony.

To nic przesądającego, perswadował mi „Doktor Filozof”, że jestem nadwrażliwa, perfekcjonistka zbyt dużo wymagająca od świata i siebie, może za bardzo ambitna, za bardzo irracjonalna, za bardzo też drobiazgową w szukaniu dziury w całym czy dzieleniu włosa na czworo. Są to wszystko pewne cechy charakteru, bo nie wady, które na pewno utrudniają mi życie i zaburzą relacje z innymi, nie stanowią jednak katastrofy, nie przekreślają możliwości pełnej psychicznej równowagi. Bo przecież nie ma ludzi idealnych. I bardzo byłoby nawet szkodliwe, gdybym w swoich staraniach taki ideał stawiała sobie jako absolutną dyrektywę i wymóg.

Mam pewne słabsze strony, które powinnam uznać, być ich jak najbardziej świadoma. Jednak w pewien filozoficzny sposób trzeba je ignorować, nauczyć się żyć obok nich. Poza tym całym śmietnikiem sfuszerowanych psychicznych bublei, mam jednocześnie, pociesza mnie życzliwy pan doktor, wyrobione pozytywne cechy, na których mogę oprzeć konstruktywne życie. I tu się dowiaduję, że bardzo dobrze, że jestem ambitna, wrażliwa, wymagająca i analizująca. Mocnym też atutem jest bezsprzecznie moja silna wola.

I jak tu się od razu lepiej nie poczuć? Nie docenić takiego psychoterapeuty. Przy moich zatwardziałych kompleksach tak przychylnie traktowanie, stawiało mnie psychicznie na nogi.

A przed moim wyjściem zabrał się do mnie bardzo poważnie. Wyzaczył mi spotkanie, jak to określił, rozrachunkowe *rendez-vous*. Z góry mnie uprzedził, że mam przyjść do niego przygotowana. Zadał mi kilka problemów do przemyślenia, oczekując na refleksje, konkluzje. Upewnił się raz jeszcze, że jestem z nim zgodna, co do rozumienia potrzeby, a raczej konieczności wprowadzenia w moim systemie postaw i wartości pewnych istotnych zmian.

Potakiwałam z przekonaniem jak studentka przed profesorem i już wiedziałam, czego oczekiwać. Szykowało się poważne seminarium na temat higieny psychicznego życia.

Gorliwie się też przygotowywałam. Z tych wielce głębokich przemyśleń, dociekliwego

poszukiwania zmian na lepsze aż mnie łeb rozboleł. To tak jakby wymagać od rozstrojonego pianina, aby wydało z siebie nagle czysty w muzycznym brzmieniu ton. Albo inaczej, bo lubię porównania, jakby połamanego okutego w gips łamagę dowcipnie poprosić, aby wdzięcznie przebiegł przez trawnik.

Wymagać można, ale trudność duża. Bo też faktycznie, nie ma nic prostszego dla podepresyjnego rekonwalescenta jak roztrząsanie egzystencjonalnych łamigłówek.

Mierz siły na zamiary, przykazał wieszcz. Toteż dałam z siebie, co mogłam. Zgłosiłam się do „Doktora Filozofa” jak na kolokwium – kartka z notatkami, długopis, w głowie natłok nieśmiałyh pomysłów na samą siebie i życie. Chociaż po prawdzie, więcej tam było wątpliwości i retorycznych pytań.

I dobrze zrobiłam, że się tak przygotowałam, bo i profesor podszedł do seminaryjnego tematu systematycznie i po akademicku. Nie dość, że mnie sprawdził, osaczając kontrolnymi pytaniami, to jeszcze sklecił na mój osobisty użytek mały „filozoficzny” wykładzik. A zaczął ni mniej ni więcej tylko od Narcyza.

W mitologii greckiej, Narikossos był młodzieńcem niezwyklej urody. A zakochał się on we własnym odbiciu, które podziwiał z braku lustra w źródlanej wodzie. Wziął się więc i zakochał w samym sobie, zresztą bardzo namiętnie i jak się miało okazać na umór. I zrobił głupio, a także nierozważnie, bo potem z tej niezaspokojonej tęsknoty za nieuchwytnym kochankiem wykończył się marnie. Utopił się, czy otruł, już nie wiem.

Sama bajeczka ładna i wzruszająca jak lubię, ale słuchając, jak „Doktor Filozof” rozwija ten wątek o samouwielbieniu, poczułam się trochę nieswojo. Byłam przekonana, że w ten zawoalowany sposób moje wrodzone wady jak egocentryzm, sobkostwo, a może i zarozumiałość bierze teraz na swój psychoterapeutyczny widelec.

Aż się trochę zmartwiłam, że przyjdzie mi niechybnie wysłuchać, nawet od tak tolerancyjnego i przymykającego oko na ludzkie słabości profesjonalnego duszpasterza dyskretnie nagannego potwierdzenia własnego obnażonego w swej szpetocie charakteru.

Jednak to wszystko, co o „Doktorze Filozofie” powiedziałam, nie było tylko taką pożegnalną laurką. Jest on duszpasterzem całą gębą. Krytyka nie przyszła mu nawet do głowy, a co dopiero mówić o potępieniu. Ta mitologiczna przypowieść miała mi tylko uzmysłwić odniesienie narcyzmu do moich własnych nastawień w kluczowym punkcie samooceny.

Chociaż na początku pan doktor mnie pocieszył, że z samouwielbiającym się Narcyzem nie

mam nic wspólnego, zaraz potem mnie zmartwił, że to bardzo niedobrze. To jest właśnie w mej psychice bardzo „niehigieniczny” punkt.

Okazuje się, że ze mną w porównaniu z zakochanym w sobie bożkiem jest akurat odwrotnie. Mówiąc zwięźle, przeginam pałę w drugą stronę. Nie tylko, że o zakochaniu się w sobie nie ma mowy, to się jeszcze wprost przeciwnie, chociaż tylko podświadomie nie lubię, nie akceptuję, a niekiedy wręcz nienawidzę. Alkohol, ciągła irytacja, niezdrowy tryb życia dowodzą tylko braku respektu wobec siebie samej.

W samoocenie jestem bezwzględna i bezpardonowa, a to prowadzi do samoobwiniania się, od którego już tylko jeden krok do nieuchronnej autodestrukcji. A to właśnie nic innego jak autodestrukcja jest motorem i jedyną racją bytu depresji. Wewnątrz mnie toczy się nieustanna walka i jest to walka przeciwko sobie samej. Nie akceptuję obrazu, jaki mają o mnie inni ludzie. Mam w głębokiej pogardzie, to co sobą reprezentuję. Absolutnie nie podoba mi się mój własny autoportret.

Tu przerwał pan doktor na moment swoje *résumé*, ale tylko po to, by zgnębić mnie pytaniem.

Dlaczego jestem dla siebie tak surowa? Czym wytłumaczę zbyt wysoki pułap oczekiwań i wymagań, jakie sobie stawiam? Dlaczego wreszcie nie pogodzę się z sobą taką, jaka jestem ze wszystkimi błędami, jakie mi się zdarza popełniać i drobnymi mankamentami?

I tak doszliśmy do sedna sprawy, dobrze śledziłam tok rozumowania wykładowcy – byliśmy przy problemie samoakceptacji.

Mówiłam już, że nie jestem aż taka głupia i sama rozumiem, jakie to ważne, żyć ze sobą w wewnętrznej zgodzie. Tylko jak się do tego zabrać, jak przeprowadzić? Bądź tu nagle mądry i spraw, żeby się polubić. I za co?

Nie chciałam zrobić zawodu solidnemu duszpasterzowi. Tym bardziej, że udało mu się przekonać błędną owieczkę-duszyczkę, jak niebezpieczne są dla niej manowce, a jak pożywna jest za to i ładna mała zielona łączka. Już nawet tylko, żeby mu sprawić przyjemność, wzięłabym się i zaakceptowałam, a jeszcze przy okazji wszystkim przyszłym depresjom urwałabym łeb. Niestety, przynajmniej na razie przyszłoby mi to z pewnym trudem, gdyż ten brak samoakceptacji kształtował się w złożonym procesie i to w przeciągu wielu, wielu lat. Wchodzi tu w grę moje całe dotychczasowe nie za szczodrnie usłane różami życie.

Za to, że nie byłam rozpieszczana w dzieciństwie, że we wczesnej młodości przeżyłam bolesny miłosny zawód, że przed kilku laty Zła Opatrzność ukarała mnie, odbierając życie

mającemu narodzić się dziecku, nie znajdując potwierdzeń, że jestem doceniona, kochana, nie sprawdzwszy się w eksperymencie z emigracją – za to wszystko ja szukam winy w sobie. I ja tę winę znajduję, jest to poza racjonalną perswazją.

Przynajmniej jak dotąd, bo obiecuję „Doktorowi Filozofowi”, którego zdążyłam już polubić i któremu przede wszystkim ufam, że wiedząc już teraz, co jest „higieniczne”, a co nie, umieszczę ten kluczowy problem w rekonstruowanej strategii wewnętrznych przeobrażeń.

I z tą strategią wyleciałam widać w samą porę, bo „Doktor Filozof” poprawiwszy się tylko wygodniej w fotelu, przeszedł do małej powtórki z zadanej uczniowi lekcji, stawiając cały zestaw pytań dotyczących właśnie programu, planów, zamierzeń. Chciał wiedzieć, jak myślę pokierować sobą w czekającym mnie poza progiem kliniki życiu. Była to szczegółowa ankieta, a wyglądała mniej więcej tak:

Jak jestem przygotowana na nieuchronne stresy, frustracje, mniejsze i większe smutki, rozczarowania i przeszkody?

Na ile myślę zmienić mój stosunek do innych i ich opinii o mnie?

Jakie widzę punkty zaczepienia przy konstruowaniu pozytywnego życiowego programu?

Czy boję się nawrotu depresji?

Co myślę o motywacji i częstotliwości picia alkoholu?

Dlaczego nie zrobiłam dotąd prawa jazdy?...

Pytania psychiatry są sondujące, dociekliwe. Wiem, że jak zwykle wysłucha mnie wnikliwie i przyjrzy się zaprezentowanym przemyśleniom okiem wytrawnego eksperta.

Czy nie wydam mu się jednak mało pilna lub co gorzej śmieszna w tym „przygotowaniu” do życia opierającym się na razie jedynie na intencjach, cichych życzeniach? Snują mi się po głowie pewne zamiary, decyzje. Zaczynam wyodrębniać kilka punktów zaczepienia, od których będę musiała zacząć. Czy słusznie myślę, czy wyciągnęłam właściwe wnioski? Nie jestem co do tego zbyt siebie pewna. Już tu przed moim doktorem mam tremę, to co będzie w życiu?

Zaczynam od prawa jazdy, to najprostsze. Teraz nareszcie czuję się gotowa je zrobić. Dotąd paraliżowana irracjonalnym lękiem przed tragicznymi wypadkami, czyhającymi tylko na kierowcę na jego samochodowej trasie i biorąc to do siebie, nie odważyłam się na wyczyn samodzielnego prowadzenia auta. Traktowałam to jako prowokacyjne wyzwanie dla fatalnego losu. Widziałam jedynie potencjalne ryzyko, nic poza tym.

Myślę, że razem z chorobą wytłumiłam w sobie takie fatalistyczne podejście. Trzeba tylko

dobrze opanować maszynę, trzymać się znaków drogowych i przepisów ruchu. Poza tym w czasie jazdy, postawić nie na lęk i przewidywanie najgorszego, tylko na pewność siebie i ostrożność.

Widzę nieraz za kierownicą dosłownie zgrzybiałych staruszków. Dlaczego więc nie miałabym tej sztuczki opanować i ja? I to jest dobry pomysł, gdyż możliwość samodzielnego prowadzenia samochodu bardzo by ożywiła rutynę mojego z konieczności ograniczonego przestrzennie powszedniego życia. Byłaby to taka mała codzienna wolność.

Życiem trudniej prowadzić jak samochodem. Ono się opiera, zastawia pułapki. Zrobię jednak wszystko, aby wykorzystać całą zdobytą wiedzę, tak jak kierowca o maszynie – ja, o osobowości, jak również o przepisach – prawach psychologii. Mając już pewien bagaż informacji i doświadczeń, łatwiej mi będzie na pewno obrać właściwą trasę, nadać życiu bardziej sensowny kurs.

Pierwszym nieodzownym punktem, bez którego samochód w ogóle nie zapali jest przekręcenie kluczyka w stacyjce. Dla mnie tym samym jest odnalezienie wiary w siebie. Bez tego, jak zrozumiałam, nie zajadę daleko, a nawet nie zastartuję.

Trzeba więc będzie przestać tak się przejmować opiniami innych. Zaaprobować własną osobowość taką jaka już jest. Spojrzeć na siebie bardziej trzeźwo i sprawiedliwie. Są gorsi ode mnie, a bardzo się cenią i kochają. Może i mnie uda się wreszcie trochę siebie polubić, bo i dlaczego by nie?

Kocham moje dzieci i potrafię im to okazać. Respektując ich indywidualność, staram się je modelować do ogólnie przyjętych wartościowych wzorów. Mam z nimi wspaniały kontakt, darzą mnie zaufaniem. Jestem więc dobrą matką.

Od siedmiu lat mieszkam z rodziną na poddaszu. Mieszkanie należy do banku, w którym głowa rodziny pracuje, więc koszt jego wynajmu jest niski. I dobrze. Trafiło się nam ono jak ślepej kurze ziarno, gdy startowaliśmy goli i bosy w desperacko podjęte emigracyjne życie, ale... czas mija, życie ucieka, a my tam ciągle tkwimy.

Jest to faktycznie dość spora mansarda w pięknym starofrancuskim budynku otoczonym wspaniałym ogrodem. Na pewno może się podobać takie lokum komuś, kto przyjdzie z wizytą lub spędza tu jedynie weekend. Ja mam go już serdecznie dość. Borykam się jednak, jak mogę z harówką, jakiej taki zaniedbany apartament wymaga. Wszystko tu już woła o remont, inwestycję w sensie zmiany tapet, podłogowej wykładziny czy mebli. Nie dzieje się nic. Mimo

tego w mieszkaniu jest zawsze czysto, przynajmniej zawsze wysprzątane. I chociaż robię wszystko ze zniechęceniem, jak ja to nazywam, na żyłę, niczego nie można zarzucić wypełnianym przeze mnie obowiązkom. Jestem więc też dobrą gospodynią. Do tego zmierzałam.

A przy okazji. Moim marzeniem, które powinno w najbliższej przyszłości przyoblec kształt konkretnej decyzji i planu jest właśnie wyrwanie się z tych smutnych, bardzo odciętych od świata i ludzi poddaszowych ścian. Tam czuję się źle i to z roku na rok coraz gorzej. Mam zawsze wrażenie, że jestem odizolowana, osaczona, zamknięta. Jeżeli ma być ze mną lepiej, to przede wszystkim temu trzeba położyć kres. Raz jeszcze rzucić życiu tak ważne i pełne nadziei hasło – przeprowadzka. Ale to na boku. Wrócę jeszcze na chwilę do niewdzięcznego wysiłku dowartościowania swojej zakompleksiałej osoby.

A faktem jest, że jeśli cię zaproszę do siebie, będziesz przyjęty, oczywiście na miarę możliwości, jak muzułmański wezyr. Tylko wybieraj specjalności z kuchni różnych narodów i tak wszystko będzie smaczne, urozmaicone i przygotowane na czas. Gościnnie, dobra kucharka – taka już jestem.

Do bliźnich mam stosunek przyjazny i szczerzy. Zawsze gotowa jestem poradzić, pomóc i wspomóc. Jak to się mówi, ostatnią koszulę bym z siebie zdarła, gdy widzę kogoś w potrzebie.

Krytyczny małżonek moje relacje z ludźmi ocenia za przesadzone i zbyt egzaltowane. Twierdzi, że to chorobliwe. Wiecznie mi wytyka, że wygląda, jakbym starała sobie ludzi „kupić”, a w każdym razie zdobyć ich sympatię czy uznanie za wszelką cenę. Według niego od lat odgrywam z wielkim przejęciem, uporczywie, aczkolwiek nieudolnie rolę dobrej ciotki z Ameryki. Może i jest w tym trochę racji. Trzeba będzie zrewidować i ten punkt widzenia. Bo co ja dostaję w zamian w tych relacjach, to już jest odrębna, następna sprawa.

Żeby się nie dać znów speszyć krytyce, pospiesznie kontynuuję. W każdym razie najbardziej ze mnie kochająca córka i siostra, a również sprawdzona kumpelka lub jeśli ktoś się sprawdzi i otwiera na przyjaźń, także niezawodny, wierny przyjaciel.

Kontynuowałabym tak to samochwalstwo pewnie bez końca, ale doszło wreszcie do podsumowania mojej roli jako żony, jako partnerki w czyimś życiu. Nie mam tu zbyt wielu sukcesów, wprost przeciwnie. Ponieważ jednak założone mam na dzień dzisiejszy myślenie wyłącznie pozytywne, pominię zatem tę stronę mego życia dyskretnym milczeniem. Już tylko w głowie przepowiem sobie wszystkie nasuwające się decyzje, ewentualne przedsięwzięcia. Postanawiam, że nie będę tu robiła tak zwanego prania brudów. Tym bardziej, że opowieści tej

słucha też osoba najbardziej zainteresowana, mój mąż.

Z napiętą uwagą śledzi moje przemyślenia – wątpliwości „Doktor Filozof”. Wydaje się, że mnie rozumie. Chyba zdaje sobie sprawę z niewątpliwego wysiłku, jaki mnie czeka. Indaguje mnie jednak dalej, podkreślając dobitnie, że muszę znaleźć coś w życiu, co nada mu sens. *S'accrocher* – brzmi to po francusku obrazowo i dobitnie. Trzeba się życia uchwycić, ucześcić za wszelką cenę, choćby jak tonący brzytwy, a wisielec gałęzi. Złapać się kurczowo tego, co stanowi istotę i zasadność życia. Należy wykorzystać wszystko, co wybija od dna i pozwala utrzymać się na powierzchni.

Ja mam szczęście. Moje realne i napawające budującą nadzieją *attachement* – przywiązanie to dwójka kochanych, wspianiałych dzieci. Nie muszę szukać niczego więcej, ja dla nich muszę żyć.

I chociaż niestety nie mogłabym z przekonaniem zaśpiewać z moją ulubioną Edytą Geppert – „Życie, ja kocham cię nad życie...”, to jednak mimo wszystko podejmę oferującą się rozgrywkę z losem. I zrobię to już tym razem rozważniej, ostrożniej. Nie będę się niepotrzebnie narażać, gdyż ważne jest, abym wyszła bez szwanku. Nie mogę przegrać kolejny raz.

Koniec z majakami. Trzeba zaakceptować wreszcie życie takim, jakie jest. Zaprzestać ciągłych, męczących złudzeń, że się ono zmieni samo z siebie i z dnia na dzień.

Mam już prawie czterdzieści lat na karku. Moje życie jest już skonstruowane i pewnie w ponad połowie dokonane. Nie ma co dłużej czekać na pięknego księcia, który się pojawi, aby mnie uwięzić na swym rumaku w baśniowy kraj niepowszedniego piękna i wiecznej szczęśliwości.

Życie to nie bajka. Jak powtarza często mój francuski przyjaciel, jest ono bardziej porównywalne do kanapki posmarowanej gównem, z której zmuszeni jesteśmy odgryzać mały kęs każdego dnia. Może niesmaczne, ale nieuniknione. Toteż i ja muszę zaprzestać tej bezsensownej walki, jaką toczę z dniem dzisiejszym. Skończyć ze sztywnym przeciwstawianiem się realiom, które niekoniecznie są po mojej myśli. To nic nie daje, nie pomaga, a często kończy się wręcz fatalnie. Dając się sprowokować, zapragnęłam udowodnić, że i ja potrafię pracować zarobkowo i w efekcie wpadłam jak śliwka w kompot.

Trzeba życie przyjmować takie, jakie jest – twarde, niebezpieczne, nieraz złośliwe. Problem polega jedynie na tym, aby starać się nie wypuścić nad nim kontroli. Nie wolno pozwolić, by jego nieprzychylnie okoliczności nami manipulowały, zaburzając nasz system wartości i ocen.

A będąc przy manipulowaniu, wróć raz jeszcze do moich relacji z innymi ludźmi. Zaczynam rozumieć, że za dużą wagę przywiązuję do ich opinii, niepotrzebnie przejmuję się nawet płytkimi krytykami, zbyt gorliwie chcę się wszystkim podobać. Nie jest to na pewno w sensie psychicznym zdrowe, gdyż takie uwarunkowanie odbiera mi wiarę w siebie i przysparza wyłącznie bolesnych rozczarowań.

Ile to razy płakałam, że dając z siebie co najlepsze, napotykam u innych złą wolę, interesowność lub obojętność, która była jeszcze najbardziej uczciwa. Ile to razy „zainwestowałam”, zaangażowałam się uczuciowo w kontakty, które okazywały się absolutnym niewypałem.

Byłam wykorzystywana, wciągana w brudne intrygi. W żadnym wypadku nie natrafiłam na przyjaźń, której tak gorąco pragnęłam. Z samą bezinteresowną i szczerą życzliwością były już kłopoty, a ja uparcie, wręcz obsesyjnie brałam fałszywe monety ludzkiej hipokryzji za poszukiwane złoto. Dawałam się zwodzić, ulegałam złudzeniom. Z całą naiwnością graniczącą z głupotą w swym zamierzeniu stwarzania kontaktów sięgających niemal ideału, w rzeczywistości budowałam zamki na lodzie i raz za razem spadałam na zbity łeb.

Trzeba to zmienić. Muszę wreszcie przyjąć i się z tym liczyć, że inni ludzie, podobnie jak ja, są omylni i mają również swoje wady. Bywają zazdrośni, złośliwi, nieraz zawistni. Moje uparte oczekiwanie uprzejmości za uprzejmość, dobroci za dobroć wydaje się być pewnym nieporozumieniem.

I powinnam się kontrolować, by nie szukać w każdych okolicznościach akceptacji w oczach innych, a już na pewno, nie jak dotąd, za wszelką cenę. Robić, co się uważa za słuszne, a resztę mieć w nosie. Nigdzie też nie jest powiedziane, że muszę być przez wszystkich doceniana i lubiana. Jeśli nie chcą dostrzec moich wartości, tym gorzej dla nich, jak mówią Francuzi – *tant pis*.

Tak więc przestać się szarpać i walczyć. Może za to dla odmiany zacząć korzystać trochę z życia nawet z jego skromnymi możliwościami. I tu znów przede wszystkim dzieci – czerpać więcej radości, satysfakcji, po prostu szczęścia z mojej wspaniałej parki. Poza tym ze swojej strony, poświęcać im więcej uwagi, zrobić wysiłek, by dać im z siebie maksimum, gdyż na to w pełni zasługują, a obawiam się, że nie rozpieszczałam ich dotąd w tym względzie.

A co jeszcze? Może mniej wczuwać się w jakże czarne i pełne beznadziei refreny typu – „Pokolenie utraconych marzeń, generacja zmarnowanych szans...”. I tak świata nie zwojuję, do

diabła z tym. Przestać analizować, roztrząsać, rozdrapywać, co się w duszy kołacze. Koniec z bezkresem sentymentów, bezpłodnymi nadziejami, majakami egzaltowanej wyobraźni. Spojrzeć realiom w oczy. Koncentrować się bardziej na konkretnej sytuacji niż psychice. Nie bać się faktów. Wziąć się z życiem za bary.

I proszę, jak to wszystko dzielnie brzmi.

A jeszcze jedno i wcale nie błahe. Ten cały przytoczony wyżej koncert życzeń ma być przeprowadzony – na trzeźwo! Alkohol – *fini*.

Ucieczka w odmęty tego niby sojusznika była kolejną złudą. *Summa summarum*, alkohol nic nie załatwia, pogarsza za to mój stan. Jeszcze zadrażnia wszelkie dotkliwie bolączki. Nie wiem na razie, jak to w praktyce przeprowadzę, ale decyzję podjęłam. Koniec z piciem. I tu jestem siebie pewna. Wiem, że się na sobie nie zawiodę.

Poza tym może jakiś basen, aerobik, maseczki piękności czy masaże ciała. Prawo jazdy i jeżeli już kontynuowanie pracy, to tylko w swoim zawodzie, a więc może jakiś kurs?...

Snują mi się tak po głowie te mniej lub bardziej realistyczne pomysły, zamierzenia, decyzje. Jedno jest w tych poszukiwaniach pewne. Jeśli mam po ludzku żyć, muszę zawalczyć, muszę chcieć. Wszystko, aby nie powrót obezwładniającej stagnacji. Zaczynam czuć w sobie pewną konstruktywną siłę, trochę nawet więcej jak umiarkowany zapal. A to już coś.

Ale przede wszystkim odczuwam ogromną ulgę, że raz jeszcze udało mi się wyrwać szponom bezlitosnej choroby. Mówię, bezlitosna, gdyż jest ona faktycznie ślepo zaborcza i bezwzględna. Depresja, choroba-misterium, która degraduje, zabija w człowieku ambicję, własną dumę i chęć do życia. Szczęśliwa jestem, że się wydzwignęłam.

Oglądam się za siebie i nieopisaną zgrozą napawa mnie sama myśl, że mogłabym tę druzgocącą siłę napotkać jeszcze kiedyś na swej drodze.

Oglądam się za siebie i widzę porzucone, nagle opustoszałe krzywe zwierciadło, które wszystko przeinacza, wykoślawia, okalecza i niszczy... krzywe zwierciadło, które z ciemności straszy.